



9 772084 962703

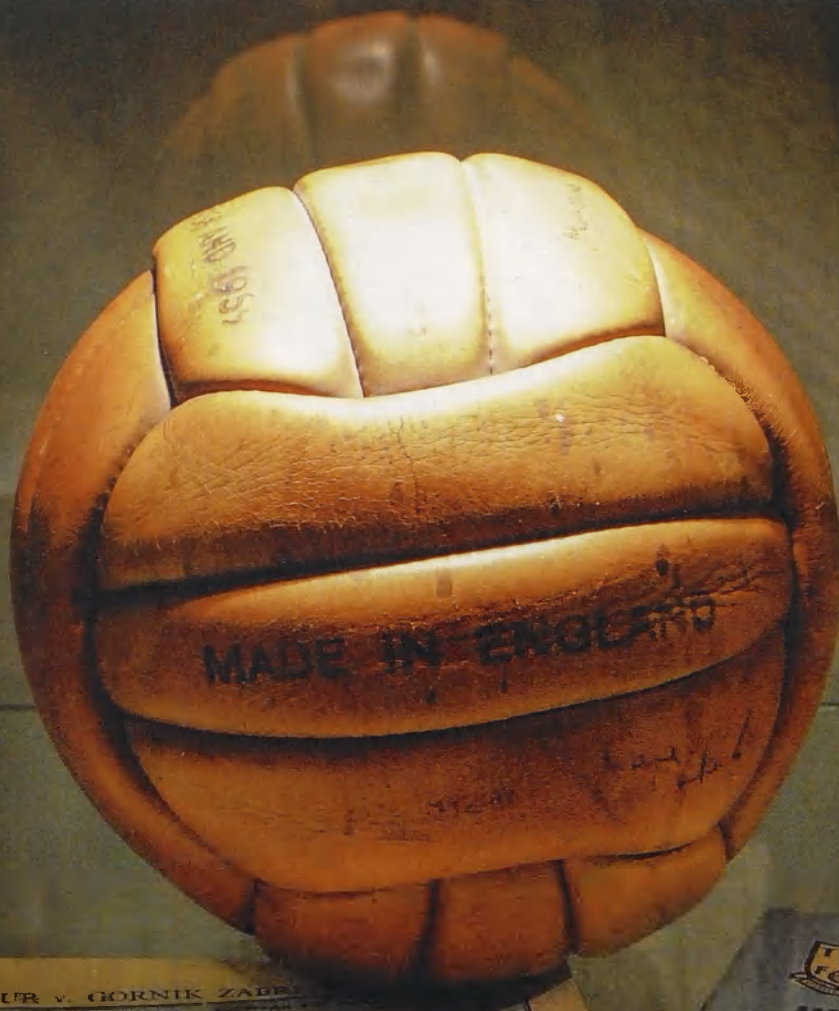
Nr 1 (15) 2017

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK



NA SPORTOWO

BĘBNIK, CZADO, GRYGIERCZYK, KADŁUBEK,
NIEMIEC, SMOLORZ, STEUER, WIATR I INNI



Przenieś się w czasie!... Handluj akcjami, pobieraj opłaty, sprzedawaj nieruchomości.
Inwestuj w koleje, huty i kopalnie. Rozwijaj osiedla, browary i fabryki. Nie daj się wyprzedzić
konkurentom i zbierz największy majątek! Ostatecznie pozostanie tylko jeden...

PRZEMYSŁOWY MAGNAT

GRA OPARTA NA FAKTACH...

GRA RODZINNA

2-5 

+8 LAT

 Śląskie. Pozytywna energia

EKONOMICZNA GRA PLANSZOWA OSADZONA
W BURZLIWYCH CZASACH INDUSTRIALIZACJI

PRZEMYSŁOWY MAGNAT

GRA OPARTA NA FAKTACH...



Wyjątkowa premiera!
Nadchodzi „Przemysłowy Magnat”
– gra oparta na faktach!



Gry dostępne są w sprzedaży w następujących punktach:

- Regionalny Instytut Kultury w Katowicach, ul. PCK 19, Katowice,
- Bookiestra, plac Wojciecha Kilara 1, Katowice,
- Geszeft, ul. Morcinka 23-25, Katowice,
- Gryfnie, ul. Andrzeja 8, Katowice,
- Muzeum Powstań Śląskich, ul. Wiktora Polaka 1, Świętochłowice

oraz na stronie: www.fabrykasilesia.pl



Nr 1 (15) 2017

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Wydawca:

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach –
Instytucja Kultury Województwa Śląskiego
ul. PCK 19, 40-057 Katowice
www.rik.katowice.pl

p.o. dyrektora: Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19

Tel.: (32) 201-77-74

E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl

Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

E-wydanie na: publio.pl i virtualo.pl

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl)

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,
Ingmar Villquist

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska

Korekta: Grażyna Kwiek

Na okładkach:

1. Piłka z debiutu pucharowego

Górnika Zabrze z Tottenhamem.

Zdjęcie: A. Korol-Chudy (włas. Muzeum Miejskie
w Zabrzu)

4. Stadion Górnika Zabrze

Zdjęcie: Arkadiusz Gola/Dziennik Zachodni

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym
(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego
kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,
RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

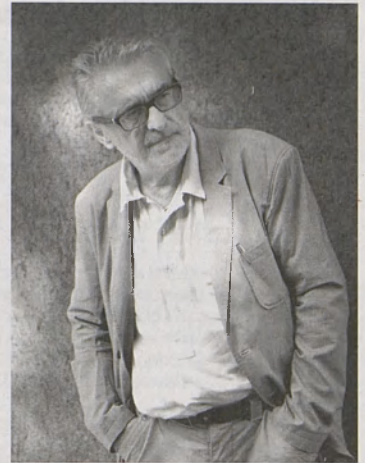
Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)



Wydano z finansowym wsparciem
Samorządu Miasta Zabrze

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.
W materiałach przyjętych do druku, także fotogra-
ficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów
zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania
internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.
Nakład: 1300 egz.

Wszyscy byliśmy
sportowcami, choć
nie mieliśmy „orlików”
i porządnych sal
gimnastycznych.
Niektórzy z nas marzyli
o wielkich karierach, co
przecież mogło udać
się tylko nielicznym.
Ale za to pozostaliśmy
kibicami.



Gdy byłem dzieckiem, wydawało mi się, że nie ma lepszej pracy niż
dziennikarz czy sprawozdawca sportowy. Taki to mógł robić, co chce i co
lubi, a na dodatek wolno mu było przekraczać granice, podróżować po
krajach szczęśliwszych od naszego, poznawać obce kultury i ludzi, do
których my, zwykli śmiertelnicy, nie mieliśmy dostępu. Wtedy jeszcze nie
wiedziałem, jak trudna i stresująca to robota, wymagająca nieustannej
czujności i dyspozycyjności. Ale pewnie nie dlatego nie powtórzyłem –
toutes proportions gardées – losu Kazimierza Wierzyńskiego, który łączył
literaturę i kulturę ze sportowymi pasjami i ideałami. Teraz doczekałem
się swoistej rekompensaty.

Znajdziecie tu Państwo teksty, których bohaterami są herosi
wychowani na górnośląskich *placach* i w robotniczych *familokach*.
Niebawem zawiądnęli zbiorową wyobraźnię współczesnych i wytrwali
w legendzie aż do dzisiejszych czasów. Wilimowski i Cieślík. Potem
– Pohl, Lubański czy Banaś. I tylu innych, dla których – niestety – nie
znaleźliśmy tu miejsca, choć przecież wiemy, że śląscy sportowcy nie
tylko z umiejętności kopania piłki byli i są znani. Iluż mieliśmy wspaniałych
lekkoatletów, kolarzy, ciężarowców, zapaśników, judoków, narciarzy czy
gimnastyków! Przez długie dekady śląskie kluby dominowały,
a przynajmniej wyznaczały ton w sportach drużynowych: piłce ręcznej,
koszykówce, siatkówce, hokeju...

Czy musimy używać czasu przeszłego? Nie odpowiem jednoznacznie,
choć łatwo się przekonać, że większość naszych autorów głęboko
zanurza się w historii. Wierzę, że właśnie tego oczekiwaliście.

Krzysztof Karwat
redaktor naczelny

4 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Ćwiczące życie i śląski duch perfekcji

Sport jest jednym ze sposobów dobrego życia w sensie filozoficznym. Sport to marzenie o doskonałości. W sporcie wychodzi na jaw pragnienie perfekcji. Ten duch perfekcji przede wszystkim chce przeskoczyć historię. Ma zamiar wygrać wyścig ze wszystkim dookoła.

10 | KRZYSZTOF KARWAT

Istota boska i triumfująca

Czy można sobie dzisiaj wyobrazić, że wybitny poeta obejmuje funkcję redaktora naczelnego gazety sportowej? Pytanie retoryczne. I wcale nie dlatego, że tkwimy w epoce, która domaga się wąskich specjalizacji, a w takim przypadku – także menedżerskich talentów, umiejętności twardego stapania po ziemi, a nie metaforyzowania rzeczywistości.

13 | ANTONI STEUER

W zdrowym ciele zdrowy duch

Historia kultury fizycznej na Górnym Śląsku to dzieje zjawisk cywilizacyjno-kulturowych, jakie miały miejsce na tej ziemi od czasów feudalnych począwszy. Ma ona rodowód zarówno swojski, jak i obcy.

18 | PAWEŁ CZADO

Tramwajem za granicę

Zwycięski mecz reprezentacji Polski z Niemcami, który odbył się w październiku 2014 roku, przeszedł do historii jako ten, w którym Polacy pierwszy raz zwyciężyli Niemców. Jednak warto pamiętać, że udało się to przecież znacznie wcześniej, jeszcze przed wojną – na Górnym Śląsku. W latach 20. i 30. coroczne mecze piłkarskich reprezentacji polskiego i niemieckiego Śląska rozpalaly wśród widzów gigantyczne emocje.

24 | MARCIN WIATR

... a bramki są dwie

W książce *Wilimowski* (Wrocław, 2016) bośniacki pisarz Miljenko Jergović opisuje fenomen śląskiej tożsamości na tle losu jednego z najwybitniejszych górnośląskich piłkarzy XX wieku, Ern(e)sta Wil(l)imowskiego.

30 | Grzegorz Bębnik

Do pustej bramki



Mecz rozegrany w Katowicach 25 września 1927 roku pomiędzy miejscową drużyną 1. FC Kattowitz a zespołem krakowskiej Wisły wykraczał daleko poza ramy sportowego wydarzenia. Zdawali sobie z tego sprawę zarówno sami piłkarze, jak i wyjątkowo licznie przybyli kibice; bez wątpienia również władze – i miejscowe, na czele

z wojewodą Michałem Grażyńskim, i warszawskie. Stawka była bowiem nie byle jaka; niewiele brakowało, by mistrzem Polski została drużyna reprezentująca niemiecką mniejszość w województwie śląskim, otwarcie nawiązująca do pruskiego dziedzictwa.

36 | MARIUSZ KOWOLL

Piłka tylko dla Polaków

17 lutego 1945 roku Aleksander Zawadzki, pełnomocnik rządu w regionie śląsko-dąbrowskim z ramienia Polskiej Partii Robotniczej, dekretem reaktywuje ruch sportowy; jedne kluby wznowiają działalność, inne organizują się zupełnie od podstaw. 15 marca odbywa się pierwsze zebranie Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Katowicach. W październiku rusza ligowy sezon.

40 | ZBIGNIEW GOŁASZ

Każdy to powie: czternastokrotni mistrzowie!



Z piętnem dwóch totalitaryzmów... Przez lata użytkował obiekt sportowy, który nosił imię wodza III Rzeszy Adolfa Hitlera. Narodziny klubu były ściśle związane z tzw. zjednoczeniem bratnich partii, czyli Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, a de facto likwidacją pluralizmu partyjnego na polskiej scenie politycznej. Eufemistyczne „zjednoczenie” oznaczało bowiem likwidację ostatniej siły politycznej, która mogła przeciwstawić się sowietyzacji kraju.

46 | DAWID SMOLORZ

Gwiazda

3 lipca 1974 roku. Frankfurt nad Menem. W meczu o awans do finału piłkarskich mistrzostw świata mierzą się reprezentacje Niemiec Zachodnich i Polski. Spotkanie toczy się w strugach ulewnej deszczu. To bardziej piłka wodna niż futbol. Ale w 43. minucie Janowi Banasiowi udaje się przedrzeć przez ogromne kałuże i niemiecką defensywę. Strzałem nie do obrony pokonuje Seppa Maiera i daje prowadzenie biało-czerwonym. Nie oddają go już do końca meczu. W finale czeka na nich Holandia. Ostatni z wątków to oczywiście fikcja.

50 | PIOTR LACHMANN

Na śmierć piłkarza

52 | ANDRZEJ GRYGIERCZYK

Odmienne stany nabożności

Mam do piłkarzy nabożny stosunek... Piękne, proste zdanie, nie moje, niestety. Oddaje te wszystkie uczucia, które od dzieciństwa żywiłem wobec tych, którzy w 22 biegają po boiskach za jedną piłką. I nie tylko wobec nich. Bo również przedstawicieli innych gier zespołowych. I lekkoatletów, i zapaśników, i dżudoków. Długo by wymieniać.

56 | RYSZARD NIEMIEC

Jak upadały stereotypy



Przyszedłem na świat w centrum cywilizacji galicyjskiej. Rzucany z rodziną po terenach dawnego zaboru austriackiego (wieś Bażanówka w powiecie sanockim, Iwonicz-Zdrój, Brzozów, Rzeszów, Przemyśl), zakotwiczyłem po studiach w Krakowie. Ludzie z tych stron, opisywani przez Ślązaków jako gorole, byli dla nich sąsiadami z pełną gamą uczuć: zazdrości, niechęci, podziwu i przyjaźni.

62 | ZYGFRYD NOWAK

My som stond

W pracy zbiorowej *Z dziejów Bogucic* Antoni Steuer podjął zadanie opisanie historii rozwoju życia sportowego w tej miejscowości, obecnie dzielnicy Katowic. Na „liście sukcesów bogucickiego sportu” na pozycji nr 1 pojawia się zdobycie przez AZS Katowice w 1949 roku 3. miejsca w bobslejach. Podobnych sukcesów wymieniono 16 – wszystkie związane z dzisiejszym Śląskim Uniwersyteciem Ekonomicznym. Aż 11 dotyczy piłki ręcznej, kobiet i mężczyzn.

66 | JAN PRZEWOŹNIK

Gens una sumus!

Prawdopodobnie postronnemu obserwatorowi Śląsk bardziej niż z szachami kojarzy się ze skatem, tak kiedyś popularną grą karcianą. – Łożywności! – Mom! – Dwajścia! – Grej! – Grom krojca! – Kontra! – Ry!

70 | HENRYK GRZONKA

Na wielkopieczowym żużlu

Najdłuższą historię wyścigi motocyklowe mają w Stanach Zjednoczonych. Rywalizację podjęto tam już pod koniec XIX wieku. Warkot silników, niezwykła w tamtych czasach prędkość, pęd powietrza – to wszystko zachęcało śmiałków, którzy chcieli ujarzmić moc „stalowych rumaków”.

76 | WALDEMAR SZYM CZYK

Górnicy. Choć bez kopalni

Kleofas nie fedruje już od 13 lat, ale klubowi 06 Kleofas Katowice udało się dotrzeć do 110. urodzin. Jubileusz nie przypominał gali mistrzów sportu, jakie oglądaliśmy w telewizji. Zabrakło drogich alkoholi, wytrawnego menu, szykownych kreacji. Kilku dziesięciu facetów usiadło przy stole, by zjeść rosół, rolażę, napić się zimnej wódki i powspominać czasy, kiedy stawiali na ringu w barwach ukochanego klubu.

82 | JAN MATUSZYŃSKI

Czas triumfów i dramatów

Wbijamy szpilkę z nitką na mapie, mierzymy długość nitki do Haliż, Tarnicy, Rysów, Trzech Koron, Babiej Góry, Łysicy, Skrzycznego i Śnieżki. Z żadnego większego miasta w Polsce w te rejony nie jest relatywnie tak blisko, jak z Katowic. „Stolica polskich gór?”

88 | MARCIN ZASADA

Dogonić stracony czas

Śląsk był sportową potęgą przed i po wojnie. Z infrastruktury zbudowanej nie tylko 50, ale nawet 100 lat temu korzystamy do dziś, czym chwalić mogliby się chyba tylko niezbyt już architekci. Zaniedbania w tej materii odrabiamy, ale często wbrew realiom ekonomicznym.

92 | PAWEŁ CZADO

Wieloryb, który nie może zmienić się w białego słonia



Gdyby ktoś kazał nam znaleźć tylko jedno skojarzenie ze śląskim sportem, byłby to zapewne wspaniały stadion w Chorzowie. Zbliży się czas, kiedy wreszcie znów będziemy mogli z jego trybun oglądać wielkie mecze.

98 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

W pełnym składzie

Drużyna związana jest z życiem i rytmem miasta. Przynajmniej kiedyś tak było. Świetliste, przez chwilę zielonkawe, potem żółtawe i niebieskie płaszczyzny boiska ostrawskiego mienia się i są środkiem potężnego działania pamięci. Dookoła wysoka temperatura głosów.

100 | INGMAR VILLQIST

TOR!!!

Było to oczywiste i nieuchronne jak nauka chodzenia, obecne i niezbędne dla dziecięcego bycia we wspólnocie.

102 | KRZYSZTOF KARWAT

Ach, ten Lubański

Największe, najważniejsze wydarzenie sportowe związane z Górnym Śląskiem? Trudny wybór, bo niektóre miały miejsce daleko od Katowic czy Opola, a ich bohaterów i świadków nie ma już wśród nas.

104 | KSIAŻKI

Nadesłane i wypatrzone

*Sprostanie próbie
w zawodach uwalnia od trosk.*

Pindar: Oda olimpijska druga

Zbigniew Kadłubek

Ćwiczące życie i śląski duch perfekcji

4

5

Fabryka Śląska

Fabryka Śląska

Sport jest jednym ze sposobów dobrego życia w sensie filozoficznym. Sport to marzenie o doskonałości.

W sporcie wychodzi na jaw pragnienie perfekcji. Ten duch perfekcji przede wszystkim chce przeskoczyć historię. Ma zamiar wygrać wyścig ze wszystkim dookoła. Peter Sloterdijk twierdzi, że „ćwiczące życie to dążenie do wyzwolenia jeszcze w tym życiu”. Bez wątpienia ćwiczące życie jest rodzajem walki czy wojny zarówno z ludzką cielesnością, jak i z ograniczeniami duchowymi bądź emocjonalnymi.

6

Stary grecki filozof, z którego dzieł zachowały się niewielkie fragmenty, Heraklit z Efezu mówił: „Wojna jest ojcem powszechnym i królem: jednych przemienia w bogów, innych w ludzi; jednych zniewala, innych wyzwala” (przełożył Adam Czerniawski). W oryginalnym tekście greckim słowo „wojna” to „polemos”. Słowo „polemos” nie oznacza jedynie bitewnego tumultu, lecz spór, sprzeczkę, waśń, niesnaski, zatarg, szaloną konkurencję, spotkanie pojedynekowe. Grecy upatrywali w sporze i rywalizacji rdzenia każdej relacji ze światem. Nie tylko tej jednostkowej – ale także społecznej, wspólnotowej, państwowej. Słowo „agon” to, podobnie jak wspomniany „polemos”, konkurowanie, rywalizacja, gromadzenie się na igrzyskach, mityng sportowy. Jerzy Łanowski pisze: „Bez pojęcia *agon* nie sposób zrozumieć helleńskiej kultury i helleńskiej natury, w których zakorzenione były współzawodnictwo, rywalizacja, chęć przodowania i porównania się z innymi”.

W różnych ośrodkach akademickich na całym świecie prowadzi się badania nad sportem. Mają one charakter ontologiczny, historyczno-materialny, krytyczno-socjologiczny. Bada się także sport z perspektywy strukturalno-etnologicznej. Na przykład Institut für Sportwissenschaft na Christian-Albrechts-Universität w Kilonii w Niemczech jako jeden z pierwszych opublikował w 1996 roku *Podręcznik filozofii sportu* pod redakcją Herberta Haaga. Pierwszą chyba w ogóle pogłębioną refleksją nad sportem i jego sensem filozoficznym i społecznym była praca Paula Weissa opublikowana w Carbondale (Southern Illinois University Press) w 1969 roku. Nosi ona tytuł *Sport: Philosophic Inquiry – Sport: studium filozoficzne*.

Niezależnie od tego, że nam brak filozoficznych analiz fenomenu sportu, moglibyśmy sport odnieść do praktykowania życia i uwarunkowań antropotechnicznych. Pomaga nam w tym praca Petera Sloterdijka pt. *Musisz życie swe odmienić. O antropotechnice*. Napięcie wertykalne – termin ten pożyczam właśnie od Petera Sloterdijka i jeszcze do niego wrócę, bo wydaje mi się tutaj kluczowy – to inaczej napięcie metafizyczne, niezależnie od tego, że moglibyśmy się do metafizyki w tej chwili zdystansować. Puste serce, niezdolne do pasji i wyobrażania sobie wyżyn – nie ćwiczy się. Sportowa rywalizacja – jako logika przekraczanie ograniczeń – niezawodnie rozwija namiętność wertykalną, wewnętrzną dążność do celu, który jest wysoko. Komuś objawia się sens celu – w konsekwencji dąży do niego jako ideału. Dochodzi do aktywizacji w sportowcu ideału doskonałości. Sport to również doskonała ikona agonistycznej kultury – streszczenie cywilizacji agonu. Kultura agonu, czyli konkurencji, to pierwotna kultura europejska. Kultura ta kocha się w wysiłku i w nagrodzie za wysiłek.

Temat sportu wpisuje się jednoznacznie w sferę ascetologiczną. To znaczy wchodzi w orbitę różnego typu przekroczeń: ćwiczeń, wysiłków, wyrzeczeń, praktykowania pewnych sposobów życia, diet. Kultura europejska – właśnie jako kultura agonu – to wszelako dominium autotresur i autotrenujących.

Bycie-ku-doskonałości

Motyw sportowej rywalizacji przejął chrześcijaństwo. Ponieważ w chrześcijaństwie dochodzi do apogeum napięcia wertykalnego, był ten motyw wyjątkowo atrakcyjny. Sportowiec walczy, ponieważ czeka na niego nagroda. Chrześcijanin żyje po chrześcijańsku, ponieważ czeka na niego nagroda niebieska. Teologia chrześcijańska jest swoistą teorią treningu. Św. Paweł szczególnie lubił ten metaforyczny motyw walki sportowej (*agon*) i nagrody sportowej (*athlon*). W jego pierwszym *Liście do Tymoteusza* czytamy to piękne zdanie: „Walcz wspaniałą walkę wiary” (*agonízdu tôn kalòn agóna tes písteos*) (1 Tm 6,12a). Chociaż bardziej znane jest to zdanie św. Pawła: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4,7). Chrześcijaństwo – tak samo jak bieg biegaczy i każdy sport – jest byciem-ku-doskonałości. Żadnym Heideggerowskim byciem-ku-śmierci! Zarówno w sporcie, jak i w chrześcijaństwie – specyficznie zachodnia ścieżka duchowego rozwoju – pojawia się mistrz, który nie musi być doskonały; taki mistrz, który czyni ze swej słabości część swej nauki. Trener czy selekcjoner nie musi być królem strzelców, przewodnik duchowy nie jest bez grzechu albo serafinem.

Grecki wyraz *athlon* – nagroda w igrzyskach czy w ogóle zawody, w których można było wygrać jakąś nagrodę, łączy się oczywiście z wizerunkiem atlety. Może on być zapaśnikiem, może mieć uda jak odpoczywający bokser z brązowego posągu Apolloniosa. Może wreszcie być każdym innym zawodnikiem ubiegającym się o zwycięstwo w zawodach. Platon nosił imię, a właściwie przezwisko, związane z jego ćwiczeniem się, z gimnastyką, którą uprawiał. Trenerem Platona był niejaki Ariston z Argos. Być może to on nadał mu imię „Platon”, to znaczy ten, który jest masywnie zbudowany, szeroki w plecach, z dużą klatką piersiową. Gimnastyka dla Greków oznaczała wychowanie fizyczne, najogólniej rzecz ujmując, sport wyczynowy zaś to dla Greków atletyka. Gimnazjony były klubami fitness czy klubami sportowymi. Gimnastyka bierze swą nazwę od greckiego przymiotnika „gymnòs” – bez odzienia, nagi; „gymnadzejn” – to trenować, ćwiczyć się nago.

Przygotuj się do porażki

Wychowanie do rzeczywistości wymaga przygotowania do znoszenia rzeczy nieprzyjemnych. Taki przynajmniej był grecki ideał wychowania, który w istocie był odszkolniony i przygotowywał do odszkolnionego społeczeństwa *polis*. Dobra kondycja, jako egzystencjalna *stabilitas*, pomyślona w średniowiecznej Europie z monastycznym nieruszaniem się z miejsca, w starożytności była pracą nad wytworzeniem w człowieku wewnętrznej immunologii gotowej na przyjęcie potężnego trudu życia. Sport jako wydarzenie biomimetyczne przygotowuje także do wielu klęsk. Życie składa się bowiem z etapów, eliminacji, turniejów, hymnów, wykluczeń, wieńców laurowych, wyścigów i punktów karnych.

Imperatyw uprawiania sportu, jak będę próbował przekonywać, może mieć swe źródło w napięciu wertykalnym. Byłaby to energia, tworząca się z odległości między niższymi i wyższymi formami życia. Ale nie ma zawodów bez nagrody. Nie ma igrzysk bez *athlon*. Nie wiem, czy grecki zapaśnik lub inny zawodnik wzięby udział w igrzyskach, gdyby nie miał nadziei wygrania trójnogu, dzbaną, konia, muła, byka lub cennego przedmiotu z żelaza. Bez nagrody bowiem nie działa magnetyzm celu – nawet presja konkurencji staje się bezsensowna. Ale w każdym sporcie istnieje także pewne (niematerialne) przyciąganie potencji wzrośnięcia – tak jak ujmuje to Seneka we frazie: *crescere posse* – możliwość wzrostu nęci. Albowiem doskonałość sama w sobie również stanowi rodzaj nagrody. Sport to dobra asceza, dobre ćwiczenie się – nawet jeśli czytamy sport jako formę samoudręczenia. Sloterdijk notuje: „Zdrowi (...) są ci, którzy chcą, ponieważ są zdrowi, doskonalić się przez ascezy dobre”. Niemiecki filozof nie wyklucza ascezy złych. Igrzyska przybierają postać zbiorowej ascezy. Najstarsze opisane w literaturze zawody europejskie to „athla epì Patroklo”, zawody ku czci Patroklosa w Homerowej *Iliadzie*. Pograżony w żałobie Achilles urządza igrzyska ku czci poległego przyjaciela. Z tej starej anegdoty wynika, że sport, fizyczność cielesna, aby była cielesnością ćwiczącą, musi się odwołać do jakiejś metafizyki.

Najbardziej znane są Święte Igrzyska Olimpijskie (*hieroj olypikòj agones*). Odbywały się one w Elidzie, Olimpii, mieście na Peloponezie. Olimpię zamieszkiwali Elejczycy. Podobno jeszcze zanim odbyły się pierwsze igrzyska olimpijskie w Olimpii, istniała tam już jakaś tradycja turniejów, to jest agonów. Gdy w całej Helladzie panował chaos i każdy walczył z każdym, i gdy wewnętrzne wojny niszczyły świat, Ifitos, władca Elidy (IX wiek przed Chrystusem), poszedł do wyroczni delfickiej zasięgnąć rady, jak zaradzić szerzącemu się złu i przywrócić

Sport był i pozostaje śląskim
samodoskonaleniem – które
odbywa się pozawerbalnie.

Sport był i jest odwróconą
pracą, inwersją ciężkiej roboty
– także pracą, która nie jest
nakierowana na zysk ani
na kapitalistyczną realizację
(niezależnie od współczesnego
ukorporacyjnienia sportu). Był
wszelako taką sztuką czy taką
formą kultury, która oznaczała
negację tej rzeczywistości,
którą odbierano jako coś
niedookreślonego – albo
przeciwnie: określonego zbyt
wyraźnie przemocą.

ARKADIUSZ ŁAWRYNIAK



pokój. Pytia mu powiedziała, że jedynym ratunkiem będą zawody sportowe – i żeby czym prędzej wskrzesił igrzyska w Olimpii. Na dysku z brązu podpisali wówczas władca Elidy, Lykurgos, prawodawca Sparty, i Kleostenes, król Pisy, że będą dbali o regularne odbywanie się igrzysk. Igrzyska miały gwarantować pokój – czyli to, co po grecku nazywano *ekecheiria*. Każdy, kto przeszkodzi zawodnikom zmagać się pokojowo ze sobą, popełnia świętokradztwo.

Nie sądźmy, że Grecy sport wyłącznie wychwalali jako część osobistej kultury i kultury wspólnot. Niejaki Ksenofanes z Kolofonu, filozof i wędrowny bard, potępiał w swoim utworze pt. *Szyderstwa* pięściarzy i sportowców. Bolał nad tym, że bokser czy jakiś koń, który wygrał w wyścigach, cieszy się większą sławą (i honorarium) od najslawniejszego poety; że ludzie bardziej ufają celebrytom niż nauczycielom mądrości. Na Ksenofanesa w ostateczności możemy przymknąć oko. Bo zostaje inne marzenie: Nie ma takiego biegacza, który nie śniłby o tym, by biec jak Ifiklos, jeden z uczestników sławnej wyprawy łodzią Argo. Ifiklos potrafił tak lekko i szybko mknąć na swych kształtnych nogach, że gdy przebiegał przez łan zboża, żaden kłos ani drgnął. Sport to ćwiczenie się w pięknie, w pięknym wyglądaniu. „Piękno młodego człowieka – pisze Arystoteles w *Retoryce* – to mieć ciało zdolne zarówno do ponoszenia trudów biegu, jak i do mocowania się, i jednocześnie takie, że miło na nie spojrzeć. Dlatego najpiękniejsi są pięciobości – gdyż w naturalny sposób są przystosowani zarówno do wysiłku, jak i do szybkości”. Pięcioboista grecki, uczestnik pentatlonu, uprawiał takie dyscypliny, jak biegi, skoki, rzuty dyskiem i oszczepem oraz boks. Harmonijnie zbudowane ciało ludzkie – nawet gdyby nie przejmować się wspólnototwórczą zaletą igrzysk – to już wielka wartość: trzy tysiące lat temu i dzisiaj. Heros musi być aż tak heroiczny i półboski, jak może pragnęlibyśmy tego, ale powinien nieźle wyglądać. Niemniej jednak sport podszyty jest duchem heroicznym, to znaczy duchem wzięcia się za bary zarówno z tym, co boskie, jak i z tym, co ludzkie (własną biologią). Sportowiec chce być herosem, kimś, kto posiadał walory trochę większe niż reszta ludzi. We współzawodnictwie świętych igrzysk musi zatem być coś świętego – jak o tym przekonywali Grecy – świętszego niż w religiach. „Kiedy ćwiczącemu chodzi – posłuchajmy raz jeszcze Sloterdijka – nie tylko o rzemiosło czy naukę kunsztu, co może być uwiecznione zdobyciem mistrzostwa, lecz o sztukę egzystencji, w której życie w ogólności dąży do wywyższenia i przemienienia, to nieuchronnie spotykają się ze sobą śmierć i doskonałość”. W greckim rozumieniu sportowym wieczność zdobywa się zwycięskim imieniem. Potwierdzili to tacy poeci, jak Bakchylides czy Pindar z Teb. „Ten, kto mówi o samostwarzaniu się człowieka, nie mówiąc o jego formowaniu się w ćwiczącym życiu (*das übende Leben*), rozminął się z tematem już od samego początku”, przestrzega Sloterdijk. Innymi słowy: człowieczeństwo staje się tym, czym winno być w człowieczeństwie ćwiczącym się, formującym.

9

Przewyższyć samego siebie

Wydaje mi się, że ponadwymiarowe znojenie się Górnego Śląska zakotwicza się w sportowym napięciu. W ascezie cielesno-duchowej wyrażonej różnymi dyscyplinami sportu. Można powiedzieć, że Górny Śląsk jako kraina pograniczna – czerpiąca z kondycji rozpołowień i uwarunkowań dialektycznych – był szczególnie predestynowany do wyrażania swej tożsamości w ćwiczącym życiu. Sport był i pozostaje śląskim samodoskonaleniem – które odbywa się pozawerbalnie. Sport był i jest odwróconą pracą, inwersją ciężkiej roboty – także pracą, która nie jest nakierowana na zysk ani na kapitalistyczną realizację (niezależnie od współczesnego ukorporacyjnienia sportu). Był wszelako taką sztuką czy taką formą kultury, która oznaczała negację tej rzeczywistości, którą odbierano jako coś niedookreślonego – albo przeciwnie: określonego zbyt wyraźnie przemocą. Swoistą refleksją, swoistą kulturą wyższą zredukowaną do ruchu mięśni. Górnośląska furia ascetyczno-sportowa – nie jako pokuta, lecz jako zdumiewający agon – była wymierzona w nieprzejrzystość historyczną i polityczność, która nie dawała pola śląskości. Kondycja śląska jest ze swej natury sportowa: jest możliwością poddawaną utrzymującemu się stale napięciu, napięciu potęgującemu możliwość. Nie przesadzę, jeśli powiem, że śląski sport to performatywna próba wyrażenia tożsamości. Wzmocnienie obecności ideału atletyczności na Górnym Śląsku było odpowiedzią na deformującą i okaleczającą ciała pracę w hutach i kopalniach. Doskonalenie ciała zastępowało w jakimś stopniu doskonalenie religijne, gdy religię niespecjalnie obchodziła kondycja ludzi z *familoków*. Ale bez religii nie słabnie w człowieku napięcie wertykalne i pragnienie doskonałości – i wyraża się ono śmiało w zorganizowanym sporcie. Gimnastyczne i atletyczne wykształcenie ciał mogło być samoistną ekspresją ducha ku doskonałości – śląskim ćwiczącym życiem. Używając frazy Ryszarda Kapuścińskiego (*Lapidarium IV*), sport był uprawianiem kultu góry. Nieznający Sokratesa uprawiający sport dziewczęta i chłopcy z *familoków* z czerwonej cegły kierowali się sokratejskim dogmatem mówiącym o tym, że człowiek jest istotą przewyższającą siebie. ■

Zbigniew Kadłubek

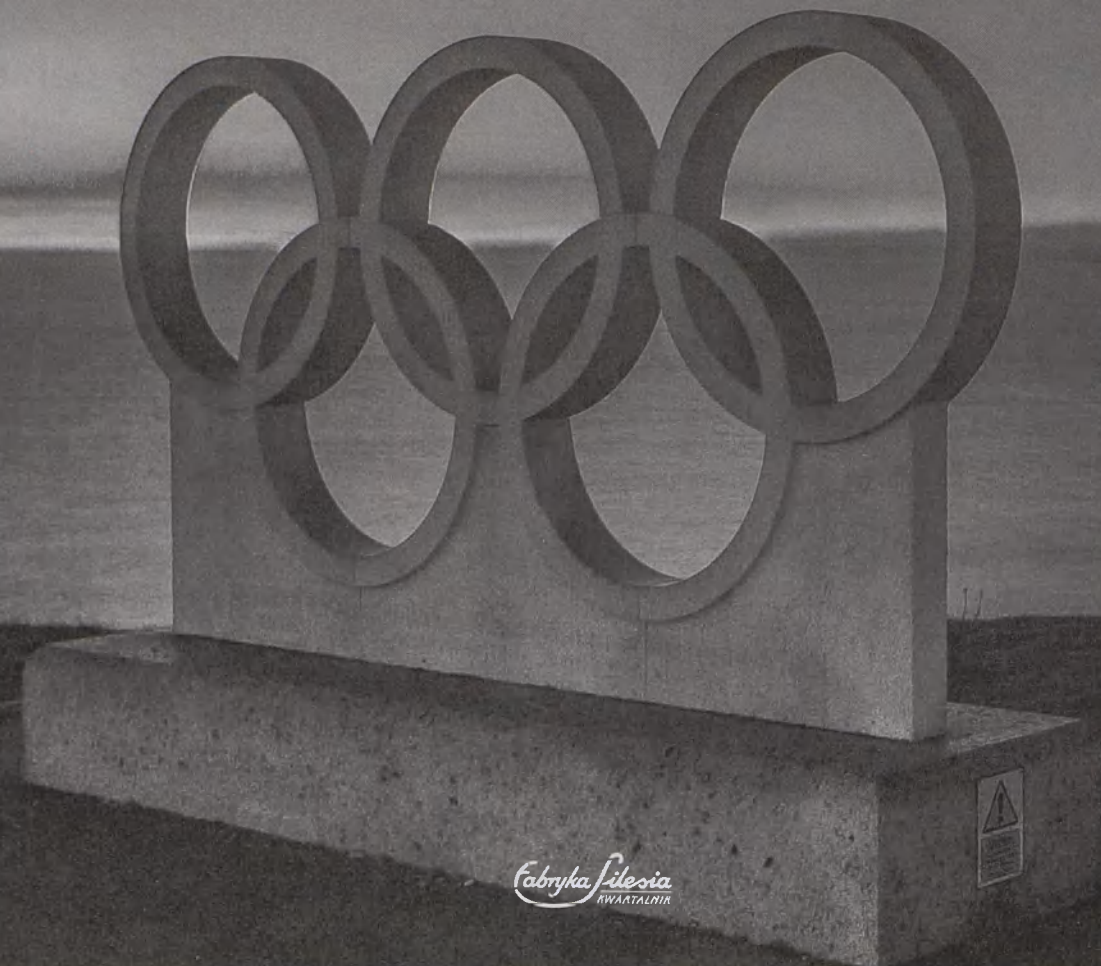
– eseista, komparatysta, tłumacz, profesor Uniwersytetu Śląskiego

Krzysztof Karwat

Istota boska i triumfująca

Czy można sobie dzisiaj wyobrazić, że wybitny poeta obejmuje funkcję redaktora naczelnego gazety sportowej? Pytanie retoryczne. I wcale nie dlatego, że tkwimy w epoce, która domaga się wąskich specjalizacji, a w takim przypadku – także menedżerskich talentów, umiejętności twardego stąpania po ziemi, a nie metaforyzowania rzeczywistości.

10



Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Rzecz w tym, że sport, choć zagarnia emocje i wyobraźnię milionów ludzi, nierzadko stając się przynoszącym niewyobrażalne zyski i zarobki biznesem, wyrwał się z biosfery idealów i marzeń, kojarzonych z nazwiskiem barona Pierre'a de Coubertina, trafnie nazywanego ojcem nowożytnego olimpizmu. Sport nie jest już częścią *sacrum*. A w każdym razie bywa nią nader rzadko.

Zapewne inaczej to widział Kazimierz Wierzyński. Miał 32 lata, gdy obejmował „Przegląd Sportowy”. Kierował tą do dziś istniejącą, najstarszą polską gazetą sportową przez pięć lat i dobrze mu szło, skoro to za jego kadencji zaczęła ukazywać się dwa razy w tygodniu, podniosła nakład i poziom merytoryczny.

Wierzyński był już wtedy związany ze „Skamandrem”, legendarnym pismem literackim i grupą poetycką o tej samej nazwie. Dawno miał też już za sobą ciepło przyjęty debiut książkowy. Jego wiersze, pisane po wygaszeniu Wielkiej Wojny i odzyskaniu przez Polskę niepodległości, bodaj najżywiej obrazowały optymizm i witalizm nowych czasów. Sport jako zjawisko społeczne dość świeżej wtedy daty zdawał się doskonale mieścić w wizji człowieka – „istoty boskiej i triumfującej”, która w warunkach wolności i pokoju nareszcie zaczyna oddychać pełną piersią, odnajdując harmonię ze światem, tym zewnętrznym i wewnętrznym. Sport stał się wyzwaniem o wymiarze, co się zowie, humanistycznym. A taka perspektywa obecnie – kóż zaprzeczy? – jest coraz częściej zamazywana.

Olimpijska zasada, że przede wszystkim „liczy się udział”, niby jest powszechnie znana, ale czy traktuje się ją poważnie? Jeśli się ją w ogóle przypomina, to jakby z poczucia nudnego obowiązku. Przywołuje się ją bez wiary i przekonania, że stoi za nią realna treść, którą można by odnieść do rzeczywistości. Niekiedy dziennikarze czy komentatorzy sportowi powtarzają ją niczym wykuty na pamięć pacierz, którego słowa odlepiły się od sensów. Przecież współczesny sportowiec, który chciałby w tę zasadę bezkrytycznie uwierzyć, musiałby od

razu niejako sam siebie przekreślić, bo w ogóle nie zostałby dopuszczony do rywalizacji. Nie tylko podczas igrzysk olimpijskich. Stąd systemy kwalifikacji, nieraz bardzo skomplikowane, i selekcji, zespolone z taryfikatorami nagród, premii finansowych czy stypendiów. Liczy się przede wszystkim wynik. Liczy się tylko wynik!

W roku 1928, podczas IX Letnich Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie, jeszcze wyznawano ideały, które przecież dopiero się kształtowały. Niektóre z nich pojawiały się nagle, budząc wiele emocji i sprzeciwów. To dopiero wtedy po raz pierwszy dopuszczono kobiety do dyscyplin lekkoatletycznych, zresztą z dobrym skutkiem dla reprezentacji Polski. Dyskobolka Halina Konopacka zdobyła w Holandii pierwszy złoty medal olimpijski dla naszego kraju. A była wszechstronnie utalentowana. Zwyciężała także w kilku innych dyscyplinach, bo to była epoka, gdy wybitni sportowcy nie ograniczali się do jednej tylko konkurencji. Ba, Konopacka pisała też wiersze i była całkiem niezłą malarką.

Panie na start!

Sport bywał więc domeną elit, o czym przekonują biografie nie tylko polskich zawodników. Jednocześnie z dekady na dekadę zagarniał coraz szersze kręgi społeczne, by w końcu stać się rodzajem „opium dla mas”, quasi-religią wyznaczającą ostre podziały na „naszych” i „waszych”, ożywiająca plemienne różnice i atawizmy. Wprawdzie ciągle żywa jest teoria, zakładająca, że rywalizacja na boiskach i stadionach katalizuje, ale i pokojowo rozładowuje negatywne emocje, stając się swoistą formą bezkrwawej, a więc nikomu nie zagrażającej wojny, rodzajem „wentyla bezpieczeństwa”, to jednak nie ulega wątpliwości, że polityka nieraz beczelnie wkracza tam, gdzie miało jej nie być. Po raz pierwszy tak wyraźnie, ale nie ostatni, w Berlinie, w roku 1936.

Ale my zatrzymaliśmy się wcześniej. Jak się zdaje, tych zagrożeń wtedy jeszcze nie odczuwano powszechnie. Ideały

11

Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Pierre'a de Coubertina porywały tych wszystkich, którzy marzyli o lepszym świecie, sprawiedliwym, wolnym i integralnym – jak owe splecione w jedną olimpijskie koła. Podniet i wzorców szukano w antyku, dopełniając je nowymi, wcześniej nieznanymi wyzwaniami. Rolę herosów wyznaczano już nie tylko wybrancom bogów. Medale zaczęli zdobywać sportowcy o innym niż biały kolorze skóry. I – jako się rzekło – kobiety, które jeszcze nie wszędzie cieszyły się pełnią praw obywatelskich, politycznych i wyborczych, zostały dopuszczone do rywalizacji na tych samych prawach co mężczyźni.

Panie na start! – wołał Kazimierz Wierzyński w wierszu o takim właśnie tytule. Być może współczesne feministki odbiorą te słowa z pewnym dystansem, lecz zważyć trzeba, że napisano je 90 lat temu. Czytając te strofy, miejmy w pamięci konteksty społeczne i polityczne, zręcznie ukryte za antycznym sztafażem: *Nagość ciał naszych jest korą/ jędrnego, ścisłego drzewa, / W piersiach się naszych jak w dzbanach/ krew mleka przyszedłego przelewa. (...) // Bierźcie nas, silni efebi, / w mocy swej niestrudzonej, / Do ramion waszych biegniemy, / dziewice wasze i żony. / Do meły swej – urodzaju, / by powić wami nową ziemię, / Spartanki i amazonki, / zwycięskie, radosne plemię.*

Największe Colosseum świata

Rywalizowano nie tylko na stadionach, bieżniach czy parkietach. Komplety medali przyznawano wtedy także w dyscyplinach artystycznych, co było aż nadto czytelnym nawiązaniem do greckich korzeni. W Amsterdamie Kazimierz Wierzyński zdobył złoto za cykl wierszy *Laur olimpijski*. „Zyskał wawrzyn, przekłady i rozgłos” – pisał po latach Michał Sprusiński. – „Wierzyński stworzył bardzo wartościowy cykl, który na kanwie sportowego rywalizowania mówi o wysiłku, zwycięstwie i tęsknocie do doskonałości (...). Sport jest tutaj domeną czystej walki. Nie ma w jego mechanizmie żadnych dwuznaczności, dźwiga jednostkę i zmusza do doskonalenia, do lotu na Olimp (...). Szybkość, ruch, działanie, chwila monumentalnego bezruchu, wszystkie owe sekwencje biegu, skoku, gry kadruje poeta tak, jakby należał do najlepszych uczniów Pindara z mistrzem rywalizujących”.

W wierszu *Nurmi* (poświęconym legendarnemu fińskiemu biegaczowi długodystansowemu) naturalne i będące istotą sportowej rywalizacji dążenie do zwycięstwa jest zredefiniowane tak, by cel walki niejako przesunął się w głąb człowieka, który podjął boski trud, by pokonać przede wszystkim własne słabości czy ograniczenia, a nie przeciwnika. Szlachetność tego wysiłku będzie wprawdzie sownie nagrodzona, lecz rozstrzygnięciem się w wewnętrznej przestrzeni ducha. Oto kwintesencja mozolnego dążenia do celu, którego mistrzowskie wykonanie wyrzyna się z ram racjonalizmu i materializmu:

*Skokiem przesadam trybuny,
mijam krzyczące stadiony,
Niesie mnie wiatr moich skrzydeł,
wiatr wielki i niezmierzony.*

*Skanduję tempo i wzmagam,
przechodzę już do finiszu,
Powiedzcie tym tłumom ludzi –
niech zmiłkną, niech się uciszą.
Nie chcę żadnego zwycięstwa,
nie chcę ich braw, ani krzyku,
Chcę przerwać taśmę i spocząć
na starym, greckim pomniku.*

Każda epoka ma swoich bohaterów sportowych. Prawdziwych herosów, których powszechnie podziwia się, czy wręcz uwielbia. Kilku z nich znajdziemy w *Laurze olimpijskiej*. Legenda wspomnianego już Paavo Nurmi, jednego z pierwszych wielkich lekkoatletów, których sława miała wymiar globalny, właściwie nigdy nie wygasła. Kiedy Wierzyński o nim pisał, fiński biegacz był już wielokrotnym mistrzem olimpijskim i rekordzistą świata na kilku dystansach (a jeszcze wtedy nie powiedział ostatniego słowa). I rzeczywiście, jak w wierszu – a nie miał nawet 30 lat – stał już na „greckim pomniku” (choć w pobliżu Stadionu Olimpijskiego w Helsinkach). Historycy sportu twierdzą, że był pierwszym sportowcem, który za życia doczekał się takiego upamiętnienia.

Można w tym akcie widzieć pewną cezurę. Odtąd tytani sportu zaczęli odgrywać rolę większą, niż można było na początku XX wieku oczekiwać. Ich głos ważył także w przestrzeniach publicznych, nie mających nic wspólnego z rywalizacją stadionową. W tle pojawiły się pieniądze, duże pieniądze, coraz większe. A skoro tak, to i polityka. Zwłaszcza rządy autorytarne szybko zrozumiały, że sport może być też narzędziem propagandy i czymś jeszcze więcej – pożywką dla kształtowania pożądanych postaw ideowo-politycznych. Zawołanie „chleba i igrzysk” ujawniło swój zjadliwy sens i pojawienie się niebezpieczeństw, których Pierre de Coubertin nie mógł przewidzieć.

Na razie jeszcze trwał pasjonujący mecz, a rozentuzjzmowani kibice nie dostrzegali czarnych chmur, mających przesłonić niebo nad stadionem. Na razie publiczność „traci oddech”, widząc powietrzne parady Ricardo Zamory, najlepszego bramkarza na świecie, „piękniejszego niż Don Juan”:

*Oto tu jest największe Colosseum świata,
Tu serce żądz i życia bije najwymowniej,
Tu tajemny sens wiąże i entuzjazm brata
Milion ludzi na wielkiej rozsiadłych widowni.*

*Zamora wsparty w bramce o szczyt Pirenejów,
Piękniejszy niż Don Juan, obciśnięty w swetrze,
Jak dumny król, w chaosie center i wolejów,
Śledzi kulę świetlistą, przując powietrze. (...)*

*Pocisk skacze kozłami od miasta do miasta,
Z jednej strony jest Moskwa, z drugiej Barcelona,
Już steruje ku siatce, już spod stóp wyrasta,
Trybuny tracą oddech, cały stadion kona.*

(Match footballowy)



Antoni Steuer

W zdrowym ciele zdrowy duch

13

Historia kultury fizycznej na Górnym Śląsku to dzieje zjawisk cywilizacyjno-kulturowych, jakie miały miejsce na tej ziemi od czasów feudalnych począwszy. Ma ona rodowód zarówno swojski, jak i obcy.

Chłopiec grający w palanta.

Gruss aus Lublinitz O.-S.
Schützenhaus
Inhaber E. Mann



14

Z jednej strony jej źródłami były gry i zabawy ludowe, z drugiej zaś wywodzące się z tradycji flandryjskich struktury i idee bractw strzeleckich (zwanymi też gildiami). Czynnikiem spajającym koegzystujących obok siebie nurtów był kalendarz, a zwłaszcza umieszczone w nim święta: Boże Narodzenie dla wyścigów sań zaprzężonych w konie, urządzanych przez chłopów z Podlesia do kościoła parafialnego w Mikołowie; Wielkanoc – wyścigi konne chłopów po konnej procesji w niektórych parafiach Raciborskiego; witające wiosnę i jesień potyczki palantowe między sąsiednimi wsiami. W Zielone Świątki zaś odbywały się turnieje gildii strzeleckich.

Z Anglii do Wrocławia, Gliwic i Katowic

Kulturę fizyczną od czasów antycznych postrzegano bądź w aspektach prestiżowo-propagandowych (tradycje ateńskie i igrzysk olimpijskich) oraz proobronnych (tradycje Sparty). Te ostatnie zdominowały kulturę fizyczną na Górnym Śląsku aż do końca drugiej dekady XX wieku. Dla obrony miast, tych otoczonych murami, ćwiczyli już członkowie gildii, przyćmieni przez ruch turnerski stworzony pod Berlinem w 1811 roku przez

Friedricha Jahna. Oparty na trzech formach ćwiczeń (na przyrządach gimnastycznych, prostych lekkoatletycznych i ciężkoatletycznych), wymuszał na uczestnikach poczucie karności. Został w latach 1816-1819 zaszczipiony na grunt pszczyński przez księcia Ludwika Anhaltu (także pioniera turystyki) i jego nadwornego aptekarza Zoellnera.

Postrzegany jako przejaw młodego i niedojrzałego jeszcze nacjonalizmu niemieckiego ruch turnerów został stłumiony ustawami karlsbadzkimi z 1819 roku, odrodził się w połowie XIX wieku m.in. pod wpływem Ignacego Lorinzera, naczelnego lekarza rejencji opolskiej, który nadał mu znaczenie prozdrowotne. A także militarną politykę Prus, która potrzebowała żołnierzy zdrowych do realizacji celów, jakie sobie stawiała. Na Górnym Śląsku miało to miejsce w Katowicach, gdzie Turnverein powstał w 1860 roku.

Tak jak w kulturze, tak i w kulturze fizycznej obecny był mecenat. Obok książąt pszczyńskich czy raciborskich pojawiają się tworzące się elity mieszczańskie, których przedstawicielem był np. dr Richard Holtze. W połowie XIX wieku na terenie Rybnika w tej roli wystąpił Kościół katolicki. Najpotężniejszym z mecenasów okazał się jednak przemysł.

Dom gildii
strzeleckiej
w Lublińcu.

Wszystkie te podmioty objęły mecenatem nie tylko istniejące dotąd prądy w kulturze fizycznej, ale również ruch sportowy. Typowa dla niego idea rywalizacji opierała się na powszechnie akceptowanych przepisach charakterystycznych dla każdej z dyscyplin i konkurencji z osobna. Z tego powodu czyniła ona sport płaszczyzną wymiany międzynarodowej. Jej pięcioczęściową strukturę tworzyły drużyny, sekcje, kluby, związki i związki związków sportowych. Ojczyzną sportu była Wielka Brytania, skąd rozpoczął się jego pochód we wszystkich kierunkach świata. W połowie XIX wieku dotarł na Śląsk (Uniwersytet Wrocławski), skąd posuwając się na Wschód, mimo oporów zwolenników dotychczasowych systemów, w latach 90. dotarł do Gliwic, a ok. roku 1897 także do Katowic.

Pierwsi byli cykliści

Prekursorską w tym procesie rolę odegrało kolarstwo. Niewątpliwie do sukcesu tej dyscypliny przyczyniła się możliwość różnorodnego wykorzystania roweru (do transportu, w służbach policyjnych, wojskowych, pocztowych i w rekreacji). Na początku XX wieku kluby kolarskie dały początek organizacji sportu motocyklowego na Górnym Śląsku.

Oporo w niektórych kręgach społecznych wzbudzała zwłaszcza piłka nożna. Jej zaczątki stworzył pochodzący z Kanady student Tom Dutton na Uniwersytecie Wrocławskim. Obce brytyjskie słownictwo, jakie się szerzyło wraz z pochodem tej dyscypliny sportu, a także niegermański jej rodowód przysparzały przeciwników. Jednak jej zwolenników stopniowo przybywało. Dyscyplinę tę wprowadzono do akcji Volks- und Jugendspiele, rozwijanej w strukturach szkolnictwa rejencji opolskiej. Była ona reakcją na skostnienie programowe ruchu turnerskiego. Piłka nożna znalazła się w jej programie po nadaniu jej dość oryginalnego rodowodu sięgającego do tradycji wikingów. Twórcą akcji był królewskohucki nauczyciel wychowania fizycznego Michael Münzer. Jej program zawierał wieloboje lekkoatletyczno-gimnastyczne, biegi terenowe, palant, tamburyno, piąstkówkę, piłkę uszatą, bieg gońców, walkę narodów, pod koniec drugiej dekady XX wieku także korfball; do zajęć zimowych wprowadzono łyżwiarstwo figurowe.

Na łyżwach i nartach

Rozwój kultury fizycznej objął także tę część Śląska, która po wojnach śląskich pozostała w granicach monarchii habsburskiej. Pod wpły-

wem Wiednia na początku II połowy XIX wieku w Opawie, a nieco później w Bielsku i w Cieszynie powstały kluby łyżwiarstwa figurowego, cieszące się powodzeniem wśród miejscowego mieszczaństwa. Do rozwoju narciarstwa, najpierw turystycznego, a następnie sportowego, przyczynił się Beskidenverein i wydzielony z tej organizacji w 1907 roku Winter Sport Club w Bielsku. Niezależnie od rozwoju ruchu sportowego na terenach tych istniały stare struktury reprezentowane przez bractwa strzeleckie i organizacje turnerskie.

Do 1919 roku w rozwoju kultury fizycznej zarówno na Śląsku Pruskim, jak i Austriackim dominowały struktury niemieckiej kultury fizycznej. Ta przewaga wynikała zarówno z pozycji ekonomicznej ludności niemieckiej, jak również wsparcia administracyjnego i finansowego rodzimego kapitału, zwłaszcza przemysłowców, np. ze Spółki Akcyjnej Giesche. To z jej inicjatywy w 1906 roku powstał pierwszy na ziemiach polskich, istniejący po dziś dzień mimo licznych reorganizacji, jakie przeszedł po drodze, Klub Sportowy Kleofas 06 (nawiązujący do tradycji nominalnie). Wsparciem dla niemieckich struktur były też żydowskie organizacje gimnastyczne i sportowe.

Pierwsze pęknięcia o charakterze narodowym miały miejsce w Cieszynie w 1891 roku, a na terenie przemysłowym Górnego Śląska w 1895 roku w Bytomiu; podobnie jak we wczesnej fazie nacjonalizmu niemieckiego (młodoniemieckiego), tak również w dziejach polskiego ruchu narodowego rolę tę odegrała organizacja gimnastyczna – Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. W swoich działaniach połączyła kulturę i kulturę fizyczną. Te dwie płaszczyzny zostały spocone lapidarnie brzmieniem, ale wiele mówiącym hasłem: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. W domyśle – duch narodowy, wykreowany w procesie zapoczątkowanym przez ćwiczenia fizyczne i wzmacniany polskim słowem, pieśnią, czczeniem uroczystości narodowych (np. w wieczornicach poświęconych bohaterom narodowym, rocznicach istotnych dla Polski wielkich wydarzeń itp.). Organizacja, która nie posiadała w zasadzie możnych mecenasów, jak niemiecka kultura fizyczna (w niektórych gniazdach górnośląskich dążeń gimnastyczny z konieczności musiała imitować żerdź), mimo kar finansowych i wyroków sądowych, aresztowań utrzymała się na powierzchni życia społecznego. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej stała się bazą dla ruchu niepodległościowego. Z niej wywodzili się przywódcy powstań śląskich, z Wojciechem Korfantym na czele.

Nieco wcześniej podobną rolę odegrało pracujące w lepszych warunkach Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” na ziemi cieszyńskiej. Jego członkowie two-



Członkowie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Szopienicach (1899 r.).

rzyli kompanię śląską w ramach 3 Pułku Piechoty Legionów Polskich w II Brygadzie Karpackiej pod dowództwem Jana Łyska. Oddziały te brały udział w wojnie polsko-czechosłowackiej w 1919 roku.

Wolno się boksować

Wraz z zakończeniem pierwszej wojny światowej, równoległe z walkami o zmianę przynależności państwowej Górnego Śląska miała miejsce rewolucja cywilizacyjno-obyczajowa. Sfrustrowane klęską wojsk kajzerowskich społeczeństwo górnośląskie znalazło winnego powojennej sytuacji. Był nim nauczyciel wychowania fizycznego. Młodzież – zwłaszcza ta, która przeszła przez angielskie czy francuskie obozy jenieckie – zachwycała się dorobkiem zwycięskiego Zachodu (państw alianckich) w zakresie kultury fizycznej. W ten sposób na Górny Śląsk został przeszczepiony boks, dotąd zakazany ustawami policyjnymi. Na Śląsk Cieszyński zaś hokej na lodzie, którego ojczyzną jest Kanada. Sport rozpoczął zwycięski pochód zarówno wśród tych, którzy optowali za Niemcami, jak i tych, którzy głosowali za zmianą przynależności państwowej Górnego Śląska.

Do 1920 roku polskich klubów sportowych było niewiele. W okolicach wybuchu wojny światowej

istniały krótkotrwałe próby tworzenia polskich towarzystw cyklistów („Wesoła Jazda” w Kochłowicach, „Sport” w Radzionkowie). W roku 1919 środowisko niepodległościowe i peowiaczkie (m.in. Jan Lortz, Stanisław Mastalerz, Rudolf Niemczyk, Rudolf Kornke) zapaliło „zielone światło” dla 10 klubów sportowych, w tym m.in.: Strzały Ruda Śląska, Poniatowskiego Szombierki, Jedności Makoszowy, Iskry Siemianowice, Kościuszkowscy Niedobczyce.

Gwałtowne zmiany w rozwoju sportu polskiego nastąpiły w 1920 roku. W sprzyjających warunkach (usunięcie Niemiec ze światowego ruchu olimpijskiego) wzmoгло się zainteresowanie wymianą sportową klubów odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej z ekipami z Górnego Śląska, a także tworzonych przy jednostkach wojsk alianckich stacjonujących na obszarze plebiscytowym struktur sportowych. Pojawiła się możliwość uczestnictwa w barwach reprezentacji Polski na VII Igrzyskach Olimpijskich. W takich okolicznościach powstały 184 polskie kluby sportowe. Największą popularnością cieszyły się piłka nożna i ciężka atletyka, do której zaliczano zapasy, podnoszenie ciężarów i boks; ponadto powstało kilkanaście sekcji lekkoatletycznych, palantowych, piąstkówek, tamburyna i piłki uszatej.



Drużyna piłki nożnej KS Gwiazda Bogucice (1920 r.).

W służbie polityki

Wojciech Korfanty docenił znaczenie sportu w propagandzie plebiscytowej. Z tego względu nadano mu strukturę. Mecenat nad tą dziedziną życia społecznego objął Wydział Wychowania Fizycznego Polskiego Komisariatu Plebiscytowego z siedzibą w Bytomiu, na którego czele stanął znany lekarz dr Maksymilian Wilimowski. Podległy mu Oddział Sportu objął inny lekarz – mieszkający w Siemianowicach dr Jan Nepomucen Stęślicki. Wśród działaczy, którzy wówczas rozpoczęli pracę, znaleźli się m.in. Edmund i Stanisław Grabianowscy, Edward Superniok, Alojzy Budniok, Stanisław Flieger i Wilhelm Kordula. Ich działalność w ruchu sportowym na Górnym Śląsku doprowadziła do przełamania monopolu niemieckiej kultury fizycznej.

Niemiecki komisariat plebiscytowy objął w tym samym okresie pieczę nad organizacjami niemieckimi. Odpowiednią instancją odpowiedzialną za sprawy niemieckiej kultury fizycznej kierował pochodzący z Dąbrówki Małej nauczyciel Paul Stephan.

Okres rozkwitu polskiego ruchu sportowego nie trwał jednak długo. Wybuch III powstania śląskiego wstrzymał jego rozwój. Sportowcy wielu polskich klubów, niekiedy wraz z członkami gniazd

Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i harcerzami, weszli w skład tworzących się powstańczych jednostek bojowych. Wielu z nich poległo. To była jedna z przyczyn kilkuletniego kryzysu. Drugą była likwidacja struktur polskiego komisariatu plebiscytowego. Zabrakło pieniędzy na prowadzenie dalszej działalności przez kluby sportowe. Jedynie katowicka Pogoń otrzymała wsparcie finansowe na dalszą działalność sportową od Komisji Likwidacyjnej Polskiego Komisariatu Plebiscytowego.

Na efekty sytuacji, w jakiej znalazły się polskie kluby sportowe, nie trzeba było długo czekać. Niemiecki ruch sportowy, wspierany przez rodzimych kapitał, odzyskał utracony niedawno teren. Według dostępnych statystyk zachowało się jedynie 28 polskich towarzystw. Zapoczątkowany został (zakończony w 1924 roku) nowy kierunek w dziejach górnośląskiej kultury fizycznej oparty na polsko-niemieckich fuzjach klubowych (przykładem połączenie KS Ruch Chorzów z BBV Bismarckhütte).

Regres ogarnął też ruchy gimnastyczne. Działacze niemieccy zredukowali liczbę towarzystw turnerskich do kilku, ale za to z ogromną liczbą członków. W sokolstwie nastąpił kryzys ideowy. ■

Antoni Steuer

– historyk sportu, pracuje w Muzeum Historii Katowic

Paweł Czado

Tramwajem za granicę

Zwycięski mecz reprezentacji Polski z Niemcami, który odbył się w październiku 2014 roku, przeszedł do historii jako ten, w którym Polacy pierwszy raz zwyciężyli Niemców. Jednak warto pamiętać, że udało się to przecież znacznie wcześniej, jeszcze przed wojną – na Górnym Śląsku. W latach 20. i 30. coroczne mecze piłkarskich reprezentacji polskiego i niemieckiego Śląska (zwanego też w polskich gazetach „opolskim”) rozpałały wśród widzów gigantyczne emocje.

18

„Rokroczne spotkania pomiędzy temi dwoma reprezentacjami należą do wydarzenia bardzo wielkiego i z obu stron doceniane jest kolosalnie (...). Jest ono probierzem sił i poziomu klasy piłkarskiej obu okręgów granicznych” – pisał z emfazą [zapis oryginalny – P.Cz.] wydawany w Katowicach dziennik „7 groszy”. Polityczne konteksty tych spotkań były bardzo wyraźne. Kiedy w 1935 roku polski Śląsk pokonał niemiecki Śląsk aż 9:1 (to rekordowe zwycięstwo w tych zazwyczaj zaciętych meczach), kibice wychodzący z meczu komentowali, że po tak fatalnej klęsce członkowie drużyny z pewnością zostaną wysłani do... utworzonego dwa lata wcześniej obozu koncentracyjnego w Dachau!

Emocje były wielkie. Kibice jeździli na te spotkania... tramwajami na drugą stronę granicy. Tak było choćby w 1934 roku przed meczem w Beuthen (Bytomiu), kiedy organizatorzy przewidzieli nawet specjalne ulgi dla fanów („W godz. 12-14 pasażerowie linii tramwajowej do Bytomia mogą skorzystać z biletów dziecięcych, o ile wykupią bilety powrotne”). Dla górnośląskiej prasy zaś, zarówno polsko- jak i niemieckojęzycznej, były to wręcz „małe mecze międzypaństwowe”. Trudno się dziwić, bo te spotkania zawsze organizowano z ogromną starannością, z dbałością o szczegóły. Przed spotkaniami uroczyście odgrywano hymny państwowe. W 1934 roku z okazji meczu między oboma Śląskami na stadionie Policyjnego Klubu Sportowego w Katowicach (nieistniejące już dziś boisko przy obecnej ul. Moniuszki) po raz pierwszy zagrano hitlerowski człon hymnu narodowego Niemiec, tzw. Horst Wessel-Lied, obowiązkowy od 1933 roku. Bardzo prawdopodobne, że mogło to być pierwsze publiczne wykonanie zmodyfikowanego niemieckiego hymnu na ziemiach polskich. Te prestiżowe spotkania były też okazją do prezentowania różnych technologicznych nowinek. Przykład? Przed jednym z meczów sprawozdawca zauważył z dumą, że specjalnie dla publiczności puszczane będą płyty gramofonowe przez specjalny aparat radiowy i megafony!

Curt Stanitzek, utalentowany bramkarz VfR Gleiwitz, bronił w opisywanych tutaj meczach w 1937 i 1938 roku. Po wojnie został wywieziony na niewolniczej roboty do jednej z kopalń Donbasu, skąd już nie wrócił.



Z ARCHIWUM PAWŁA CZADO

19

We własnych butach

Śląskie potyczki zaczęły się pod koniec 1924 roku – w momencie kiedy stosunki między oboma państwami były na tyle poprawne, że można było zmierzyć się na boisku. W jakiś sposób te spotkania wyprzedziły epokę, bo pierwszy oficjalny mecz międzypaństwowy między Polską i Niemcami odbył się przecież dopiero dekadę później, na początku grudnia 1933 roku w Berlinie. Tamto inauguracyjne spotkanie biało-czerwoni przegrali, jak to zwykle kiedyś przegrywało się z Niemcami: jedyną bramkę w przedostatniej minucie towarzyskiego meczu wbił Josef Rasselberg z VfL Benrath. To były już czasy, kiedy na Górnym Śląsku w corocznych potyczkach dominowali raczej Polacy.

W latach 30. na polskim Górnym Śląsku pojawiło się pokolenie wybitnych zawodników, z Ernestem Wilimowskim na czele. Byli to piłkarze na tyle znakomici, że nie tylko mieli miejsce w reprezentacji Polski, ale wręcz decydowali o jej obliczu. Sytuacja śląskich piłkarzy po niemieckiej stronie granicy w tym samym czasie była inna: kilku zdolnych zawodników z Gleiwitz i Beuthen zdołało się wprawdzie przedrzeć do kadry Niemiec, ale żeby znaleźć miejsce w składzie na najważniejszych światowych imprezach, zabrakło już im talentu i klasy.

Zupełnie inaczej było jednak dekadę wcześniej: w latach 20. w tych meczach zdecydowanie lepsi byli Górnoślązacy z niemieckiej strony granicy, z czym Polakom oczywiście trudno się było pogodzić. Czasami narzekano więc na brak ambicji piłkarzy reprezentujących polski Śląsk – jak choćby po meczu przegranym w czerwcu 1925 roku: „niech o tym świadczy fakt, że dwóch graczy w ogóle nie stawiono się do zawodów, tłumacząc się brakiem czasu i chorobą!”. Pojawiały się również inne poważne zarzuty wobec piłkarzy, narzekano na przykład, że niektórzy przystępowali do tych meczów w zupełnie nieodpowiedniej formie. O co chodzi? Jednemu z obrońców 1.FC Katowice, drużyny, z którą sympatyzowała



20

Zdjęcie z meczu polski Śląsk – niemiecki Śląsk, który odbył się 16 czerwca 1927 roku na stadionie Pogoni Katowice (dzisiejszy stadion AWF-u). Obie drużyny i działacze zrobili sobie wspólną fotkę. Mecz skończył się zwycięstwem gości 2:1. Paweł Lubina stoi drugi z prawej w górnym rzędzie.

mniejszość niemiecka w stolicy województwa śląskiego, zarzucano, że „na boisku pojawił się w niezupełnie trzeźwym stanie i miało się wrażenie, że pomaga Niemcom” (sic!).

Jednocześnie trzeba pamiętać o specyficznych okolicznościach, które dzisiejszym futbolistom i miłośnikom piłki trudno w ogóle sobie wyobrazić. To nie były czasy, gdy futbol był tak sprofesjonalizowany jak dziś. Uczestnicy przedwojennej rywalizacji polskiego i niemieckiego Śląska dostawali tylko stroje, ale musieli grać we własnych butach. O premiach pieniężnych oczywiście nie było mowy, zawodnicy mogli liczyć tylko na zwyczajową kolację, organizowaną przez gospodarzy spotkania. Śląscy piłkarze z polskiej strony granicy najczęściej występowali w niebiesko-białych barwach, na koszulkach był naszyty duży śląski orzeł. Niemieccy rywale zazwyczaj w białych koszulkach i żółtych spodenkach.

Pierwsze spotkanie odbyło się 7 grudnia 1924 roku na boisku 1. FC Katowice. Na mecz przyszło osiem tysięcy kibiców. Władze województwa śląskiego potraktowały zawody bardzo poważnie. „Kattowitzer Zeitung” donosił, że już dwa dni wcześniej publicznie „zakomunikowano, że z uwagi na mecz w niedzielę od godziny 12 obowiązuje na terenie aglomeracji zakaz gry w piłkę nożną, bo o godzinie 14 rozpoczyna się wspomniane spotkanie”. Polskie gazety donosiły nawet, że w niedzielę w ogóle innych zawodów piłkarskich w regionie przeprowadzać nie było wolno!

Inauguracyjny mecz w Katowicach zakończył się remisem 3:3, padły aż trzy gole samobójcze (dwa strzelili gospodarze, jednego goście)! W inauguracyjnym spotkaniu wzięli udział zawodnicy reprezentujący siedem klubów z polskiej strony granicy i osiem z niemieckiej. Kilku z tych graczy zrobiło potem karierę. Małutki Józef Sobota nie miał nawet 160 cm, ale to właśnie on dwa i pół roku później strzelił pierwszego historycznego gola dla Ruchu w rozgrywkach ekstraklasy, on będzie także pierwszym reprezentantem Polski wywodzącym się z tego klubu.



21

Z ARCHIWUM MARIANA LUBINY

Prawdopodobnie żadnych zamieszek podczas tego inauguracyjnego rywalizację spotkania nie było, bo gazety nie wspominały o jakichkolwiek niepokojach wśród kibiców, a przecież gorącokrwistych i zagorzałych sympatyków po obu stronach nie brakowało.

Pamiętny *hat-trick*

Obie strony traktowały tę rywalizację nadzwyczaj prestiżowo. W takich okolicznościach nie mogło więc zabraknąć wzajemnych boiskowych złośliwości, a nawet i brutalnych zagrań. W czerwcu 1927 roku na boisku katowickiej Pogoni goście stracili „znakomitego obrońcę Urbanskiego, który przy zderzeniu doznał złamania nosa”.

Pod koniec lat 20. asem niemieckiej drużyny był rodowity katowiczanie Erwin Palluschinski, który polską ekipę gębił potężnymi strzałami z dystansu. W meczach w 1928 i 1929 roku strzelił trzy gole i przesądził o zwycięstwach Niemców. To był sportowy obieżyświat, grał m.in. we Wrocławiu, Dreźnie, Bytomiu i Zaborzu. Był masywnym, bardzo silnie uderzającym piłkę środkowym napastnikiem, z wiekiem przesuniętym do środka pola. Miał dowódcze predyspozycje, w Beuthen 09 uchodził przez pewien czas za duchowego przywódcę drużyny. Po II wojnie nadal mieszkał w Bytomiu i tam został pochowany.

Złą passę udało się przełamać reprezentacji polskiego Górnego Śląska dopiero w ósmym meczu. W październiku 1929 roku trzy tysiące kibiców radowały się na stadionie Pogoni (dziś boisko AWF-u przy ul. Kościuszki)

Prawdopodobnie nie było żadnych zamieszek podczas inauguracyjnego rywalizację spotkania, bo gazety nie wspominały o jakichkolwiek niepokojach wśród kibiców, a przecież gorącokrwistych i zagorzałych sympatyków po obu stronach nie brakowało.

**1 września 1935 roku
Polacy odbili sobie
wszystkie wcześniejsze
niepowodzenia
i wygrali aż 9:1.
Dziennikarze nazwali
ten mecz „Grunwaldem
piłkarstwa
niemieckiego”.
Najlepszy okazał się
będący w fantastycznej
dyspozycji strzeleckiej
Edmund Giemsa
z Ruchu, który zaliczył
hat-trick.**

ze skromnego zwycięstwa 1:0. „Prawda, że w naszej reprezentacji grało aż czterech graczy bielskich, jednak nie przynosi to barwom polskim żadnej ujmny” – komentowała zadowolona korfantomowska „Polonia”.

Role się odwróciły. Niemiecki Śląsk dostawał wciry coraz częściej. Żeby ratować sytuację, tamtejsi działacze zaczęli zasilać skład graczami z dolnośląskiego Breslau – takimi, którzy regularnie brali udział w rozgrywkach o mistrzostwo Niemiec. Dlatego także strona polska starała się wystawić jak najsilniejszy skład, ale nie zawsze się jej to udawało. Kiedy w 1934 roku nasi działacze dowiedzieli się o ściągnięciu na mecz graczy wrocławskich, Śląski OZPN zaczął starać się o przełożenie ligowego meczu Warta Poznań z Ruchem Wielkie Hajduki – po to, żeby mogli zagrać zawodnicy ówczesnych mistrzów Polski. PZPN jednak zgody nie wyraził.

Lata 30. to dominacja polskiego Śląska. „Polscy piłkarze nie zawiedli, mimo, że ich przeciwnicy mieli handicap w postaci własnego boiska, sędziego i publiczności” – mogła pisać nawet po wyjazdowych meczach polska prasa. Również cztery lata przed wybuchem wojny na stadionie katowickiej Pogoni doszło do meczu, który odbił się szerokim echem nie tylko nad Wisłą, ale i w Niemczech. 1 września 1935 roku Polacy odbili sobie wszystkie wcześniejsze niepowodzenia i wygrali – jak wspominałem wcześniej – aż 9:1. Polacy nazwali ten mecz „Grunwaldem piłkarstwa niemieckiego”. Najlepszy okazał się będący w fantastycznej dyspozycji strzeleckiej Edmund Giemsa z Ruchu, który zaliczył *hat-trick*. Po meczu rozentuzjuszowana publika zniosła go z boiska na rękach. Zwłaszcza jego rzut wolny po godzinie gry był przednią urodą. „Giemsa spowodował, że samopoczucie moralne tyłów drużyny niemieckiej było zupełnie słabe (...). Tem czym Giemsa osłabiał siły moralne przeciwników, podnosił duch i zapal zespołu, do którego należał” – pisała z uniesieniem „Polska Zachodnia”.

Wilimowski na Adolf Hitler Kampfbahn

Świetnie spisywał się oczywiście Ernest Wilimowski, choć z różnych względów często te mecze opuszczał. Wystąpił jednak w niezwyklej spotkaniu w marcu 1935 roku: na Adolf Hitler Kampfbahn (obecny stadion Górnika). Do Zabrze przyjechała na mecz właśnie reprezentacja polskiego Śląska.

Stadion otwarto we wrześniu 1934 roku. Pierwotnie uroczystość miała się odbyć w sierpniu, ale akurat zmarł marszałek Paul von Hindenburg, którego postanowiono upamiętnić, zmieniając nazwę miejscowości z Zabrze na Hindenburg. W cieniu uroczystości żałobnych nie wypadało organizować efektownego otwarcia stadionu. Dlatego pierwszy poważny mecz odbył się dopiero 24 marca 1935 roku. Z tej okazji „stadion udekorowany był imponująco dziesiątkami sztandarów obu państw”; hitlerowcy zawsze mieli obsesję na tym punkcie.

Bohaterem meczu był Wilimowski, który zdobył dla Polaków wszystkie gole i uratował remis 3:3. Pierwsza bramka padła po jego dalekim, precyzyjnym strzale, druga – po szybkiej zespołowej akcji, trzecia – po pięknej główce z podania klubowego kolegi Teodora Peterka. Mecz odbił się echem także poza Śląskiem. „Niemcy koronkowej pracy napadu Polaków przeciwstawili szybkość i skuteczność prostych podań” – pisał „Kurier Sportowy”, dodatek do „Ilustrowanego Kurjera Codziennego” z Krakowa.

Niestety, z powodu ligi i meczów reprezentacji Polski coraz trudniej było o wolne terminy. Mimo to śląscy kibice zawsze czekali na te mecze, więc grano nawet w święta. Przykład? W drugi dzień świąt, 26 grudnia 1937 roku, na Stadionie im. Hindenburga w Bytomiu reprezentacja polskiego Śląska wygrała z gospodarzami 4:2. Polityka odgrywała coraz większą rolę. Zespół polski wystąpił bez kilku asów, którzy odbywali służbę wojskową. Reprezentanci Jerzy Wostal z AKS-u Chorzów, Hubert Gad ze Śląska Świętochłowice i Ewald Dytko z Dębu Katowice nie zagraли, bo nie otrzymali pozwolenia na wyjazd za granicę.

Ostatni gwizdek

Ostatni mecz odbył się w styczniu 1939 roku. Stosunki polsko-niemieckie były już w tym czasie bardzo napięte. Niemcy bardzo chcieli wygrać. Satysfakcja gospodarzy była wielka, bo od dawna nie wygrali żadnego spotkania i właśnie w tym meczu przełamali

złą pasę. Tym razem Wilimowski nie pomógł, Polacy zapadali się po kostki w śniegu i gospodarze, którzy lepiej przystosowali się do tych warunków, wygrali 5:3.

Różnie potoczyły się losy uczestników tego meczu. Tragicznie skończył choćby napastnik Adolf Obsto, który strzelił polskiemu Śląskowi jedną bramkę. W czasie wojny został wysłany na front wschodni i jako żołnierz Wehrmachtu za odmowę sforsowania odcinka frontu (przedtem zginęli w tym miejscu wszyscy jego poprzednicy) został zastrzelony przez dowódcę. Dwa gole w tym meczu Polakom wbił Hubert Renk. On przeżył wojnę, pozostał na Śląsku i... zagrał w polskiej lidze jako zawodnik Szombierek Bytom.

Ostatnim, który strzelił gola w tej rywalizacji, na cztery minuty przed ostatnim gwizdkiem, był Leonard Piontek, przedwojenny gwiazdor AKS-u Chorzów. To nie był jego ostatni sezon gry. W czasie okupacji AKS zmienił nazwę na Germania Königshütte i stał się najsilniejszą drużyną piłkarską na Śląsku; walczył nawet w finałowych meczach o mistrzostwo Niemiec. W nowym klubie dominowała starszyzna AKS-u, właśnie z Piontkiem na czele. To on poszukiwał dawnych kolegów i przekonywał ich do powrotu na boisko. Potrafił to zrobić, bo cieszył się ogromnym szacunkiem. Przeżył wojnę i został na Śląsku, zmarł w 1967 roku w Chorzowie.

WYNIKI MECZÓW

polski Śląsk – niemiecki Śląsk

1924	Katowice	stadion 1.FC	3:3 (2:2)
1925	Beuthen	stadion 09	1:3 (1:3)
1927	Beuthen	stadion 09	2:2 (2:1)
1927	Katowice	stadion Pogoni	1:2 (0:1)
1928	Beuthen	stadion 09	2:4 (1:2)
1928	Katowice	stadion Pogoni	0:2 (0:0)
1929	Hindenburg	stadion Preussen	2:3 (1:1)
1929	Katowice	stadion Pogoni	1:0 (0:0)
1930	Hindenburg	stadion Preussen	2:0 (0:0)
1931	Katowice	stadion Pogoni	2:1 (1:1)
1932	Beuthen	stadion 09	1:1 (1:0)
1934	Beuthen	stadion 09	0:0
1934	Katowice	stadion Policyjnego KS-u	0:2 (0:2)
1935	Hindenburg	Adolf Hitler Kampfbahn	3:3 (1:1)
1935	Katowice	stadion Pogoni	9:1 (3:0)
1936	Beuthen	stadion im. Hindenburga	3:1 (1:0)
1936	Katowice	stadion Policyjnego KS-u	3:2 (1:2)
1937	Beuthen	stadion im. Hindenburga	4:2 (2:0)
1938	Katowice	stadion Pogoni	2:1 (0:0)
1939	Beuthen	stadion im. Hindenburga	3:5 (1:2)

23

Wykorzystałem niektóre informacje, które zawarłem w tekstach: *Wielka przedwojenna rywalizacja: piłkarskie mecze Polski Śląsk – Niemiecki Śląsk* [w:] GW Katowice, nr 137/2006, oraz *Katowice, boisko Pogoni, 1 września 1935: Grunwald piłkarstwa niemieckiego* [w:] GW Katowice nr 138/2006. Napisałem je wspólnie z Marianem Lubiną, którego ojciec Paweł strzelił gola w tej rywalizacji w meczu, który odbył się w 1925 roku; był też jednym z pierwszych śląskich piłkarzy, którzy zagrali w reprezentacji Polski. W latach 30. Paweł Lubina był kapitanem związkowym śląskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej, czyli powoływał również skład na mecze reprezentacji Górnego Śląska (także w meczach przeciwko niemieckiemu Śląskowi). ■

Paweł Czado

– publicysta sportowy, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”

... a bramki są dwie

W książce *Wilimowski* (Wrocław, 2016) bośniacki pisarz Miljenko Jergović opisuje fenomen śląskiej tożsamości na tle losu jednego z najwybitniejszych górnośląskich piłkarzy XX wieku, Ern(e)sta Wil(l)imowskiego.

Pisze: „Między dwoma narodami niejednakowej liczebności, o różnej historii i kulturze, o odmiennych zbiorowych instynktach i narodowych maniach żyli Górnoślązacy, którzy i jednych, i drugich znali od środka, czuli ich. Oni, wśród Polaków Niemcy, wśród Niemców Polacy, byli – w późniejszym rozumieniu – żywą figurą i metaforą tolerancji. Swoimi indywidualnymi losami, ale i wspólną górnośląską tożsamością wrosli między sąsiednie tak różne narody niby jakiś żywy cud (...). Tak będzie dopóty, dopóki trwa pokój. Ale kiedy znowu wybuchnie wojna i zmusi ich, by swoją podwójność albo potrójność zredukowali do niepodzielnej jedności, wybierając z rozsądku przynależność do tych, wśród których będą mieli większe szanse przeżycia, Górnoślązacy staną się albo zbrodniarzami, albo męczennikami, a potem wraz z końcem wojny znikną, jakby ich nigdy nie było i jakby tacy ludzie, Niemcy i Polacy zarazem, nie mogli na tym świecie istnieć”.

Jergović ma rację. Bo Górny Śląsk to jeden z tych regionów Europy, którego piłkarze w burzliwym XX stuleciu grali zarówno dla niemieckiej, jak i dla polskiej reprezentacji i – w zależności od koniunktury politycznej – płacili za to wysoką cenę.

Polska reprezentacja narodowa. Wilimowski, uśmiechnięty, drugi z prawej w górnym rzędzie.

ARCHIWUM „FABRYKI ŚLESIA”

Orzeł biały czy czarny?

Czy pamiętamy, że najlepsi napastnicy, którzy w latach 1922–1939 grali w polskiej reprezentacji, porozumiewali się na boisku po niemiecku? Niemal wszyscy pochodzili z Górnego Śląska, podzielonego w 1922 roku granicą. Tożsamość narodowa nie odgrywała pierwszorzędnej roli, lecz od tej chwili stosunek do niej będzie wyrocznią dla sportowych zasług górnośląskich *fusbolorzy*. Choć oni chcieli po prostu tylko kopać piłkę.

Dwa tygodnie po zwycięskim meczu biało-czerwonych ze Szwedami, który odbył się 28 maja 1922 roku w Sztokholmie, wojsko i cywilne władze zajęły przyznaną Polsce wschodnią część Górnego Śląska. Dla katowiczian, mieszkających od tej chwili w Polsce, ich krewni i przyjaciele z pozostałych w Niemczech Gliwic, Bytomia czy Zabrze z dnia na dzień stali się obcokrajowcami – i oczywiście także przeciwnikami na boisku. Od tej pory piłkarze ze wschodniej części regionu walczyć będą na boisku z białym orłem na piersi, na koszulkach tych z części zachodniej widniał będzie czarny orzeł lub, po przejęciu władzy przez nazistów, swastyka. Tak było w przypadku pochodzącego z Katowic bramkarza Emila Antona Görlitza, który jako pierwszy niemiecki Górnoślązak w 1924 roku wystąpił w barwach reprezentacji Polski w meczu ze Szwecją (1:5); albo Richarda Malika, który jako pierwszy Górnoślązak został powołany do jedenastki Niemieckiego Związku Piłki Nożnej.

Jak grać dla Niemców?

Granica znikła już po 17 latach. Od września 1939 roku narodowo-socjalistyczna polityka z całą przemocą wdarła się we wszystkie obszary życia, nie wyłączając sportu i – oczywiście – piłki nożnej. Sport stał się narzędziem propagandy. Teraz, otoczony atmosferą terroru, propagandy, polityki zastraszenia i powodowany chęcią przetrwania, każdy Górnoślązak musiał dokonać wyboru, czy czuje się Polakiem, Niemcem, czy raczej kimś „pomiędzy”.

W okupowanej Polsce nie można było grać w piłkę nożną, groziła za to kara. Niemcy skonfiskowali stadiony i hale sportowe. Zgoła inna sytuacja panowała w tej części Górnego Śląska, która do września 1939 roku znajdowała się w Polsce, a teraz na powrót została wcielona do Rzeszy. Co prawda polskie kluby rozwiązano, w rzeczywistości jednak dotychczasowe struktury pozostały nienaruszone, otrzymały niemieckie nazwy, zresztą często te wcześniejsze, sprzed roku 1922. Ruch Chorzów, który pięciokrotnie zdobywał tytuł mistrza Polski, otrzymał nazwę Bismarckhütter Ballspiel Club.

Dla większości Polaków z Generalnego Gubernatorstwa, dla których już sama wizyta w niemieckim kinie była aktem kolaboracji, zgoda górnośląskich piłkarzy na grę w niemieckich klubach była niezrozumiała, wywoływała oburzenie. Ale dla wielu Górnoślązaków-piłkarzy podjęcie takiej decyzji nie było ani oczywiste, ani tym bardziej proste. Niektórzy z nich pochodzili z rodzin, których członkowie wzięli udział w powstaniach śląskich. Ci ludzie musieli się liczyć z odwetem. Leonard Franz Piontek, urodzony w 1913 roku w Królewskiej Hucie (Chorzowie), pochodził właśnie z takiej rodziny. Przed 1939 rokiem, na skutek polityki repolonizacyjnej, nazywał się jeszcze Leonard Franciszek Piątek. Teraz na polecenie niemieckich władz powrócił do swojego poprzedniego nazwiska, ale nadal obawiał się o swoje bezpieczeństwo i w pierwszym okresie nowej władzy ukrywał

się. Pewnego wieczoru dwóch funkcjonariuszy Gestapo złożyło mu wizytę. Okazało się, że panowie przyszli tylko „po prośbie”: złożyli gospodarzowi ofertę gry w niemieckim klubie piłkarskim, który właśnie powstawał w okupowanym Krakowie. Piontek nie przyjął propozycji, ale zostawiono go w spokoju. Być może gestapowcy uznali, że tak będzie lepiej, bo pochodzący stąd znani piłkarze bardziej przydadzą się „dla dobra niemieckiej sprawy” właśnie na Górnym Śląsku.

Wkrótce na boisku i w koszulkach niemieckich klubów pojawili się nawet ci Górnoszlązacy, którzy jeszcze niedawno grali dla reprezentacji Polski. Najślawniejszym z nich – a po zakończeniu drugiej wojny światowej przez kilka dziesięcioleci zaciekle wymazywanym z historii polskiej piłki – był urodzony 23 czerwca 1916 roku w niemieckim wówczas Kattowitz (Katowice) Ernst Otto Willimowski. Podobnie jak wielu górnoszląskich piłkarzy, którym po wrześniu 1939 roku niemieckie urzędy przyznawały obywatelstwo Rzeszy, także i Willimowski musiał zadawać sobie dręczące pytania: Co robić? Walczyć? Uciekać? Dopasować się do nowych warunków i przeżyć? Najlepiej chyba dalej grać w piłkę, tym razem dla Niemców, bo może uda się nawet wywinąć ze służby w Wehrmachcie?

Willimowski to piłkarz legenda. Najpierw był graczem najlepszego w Polsce zespołu mniejszości niemieckiej 1. FC Kattowitz, a nieco później niedoścignioną gwiazdą uchodzącego za „klub powstańców śląskich” Ruchu Wielkie Hajduki. Był też genialnym napastnikiem polskiej reprezentacji narodowej. Do 1939 roku w 22 meczach strzelił dla Polski 21 bramek – do dziś żaden inny polski reprezentant nie poprawił tego wyniku. Willimowski przeszedł do historii jako strzelec czterech bramek w meczu Brazylia – Polska (6:5) podczas mistrzostw świata w 1938 roku we Francji. Miljenko Jergović pisze: „Ernest Willimowski rozpoczął jakiś swój mecz, nieporównywalny z żadnym w historii piłki nożnej, on sam z przekory i rozpaczny rozegra go przeciw Brazylijczykom i przeciw całemu światu. Swego meczu nie gra po to, żeby zwyciężyć. Gra, żeby nie zostali zapomniani on i jego koledzy, kiedy wkrótce nadejdzie czas śmierci i zapomnienia”.

Jeden z najlepszych swych meczów dla biało-czerwonych, i zarazem ostatni, Willimowski rozegrał przeciw Węgrom 27 sierpnia 1939 roku w Warszawie. Strzelił trzy bramki, ówcześni wicemistrzowie świata przegrali 4:2. Od 1941 roku górnoszląski as strzelał gole dla niemieckiej reprezentacji (w ośmiu spotkaniach rozegranych w latach 1941-42 udało mu się zdobyć 13 goli). Jego debiut w niemieckiej jedenastce, ze swastyką na koszulce, miał miejsce 1 czerwca 1941 roku w Bukareszcie w meczu z Rumunią. W zwycięstwie z wynikiem 4:1 Niemcom pomogły dwa fantastyczne gole Willimowskiego.

Dokonana przez Willimowskiego zmiana klubu z 1. FC Kattowitz na Ruch Wielkie Hajduki, a później zmiana reprezentacji z polskiej na niemiecką, nie była wyrazem narodowego czy też ideologicznego wyboru. Ale zawsze tak była interpretowana: jako zmiana na rzecz tych, którzy grają w „obozie przeciwników”. Dopatrywano się w tym akcie „zdrady kraju”, niezależnie od tego, że genialny piłkarz próbował trzymać dystans do wszelkich debat na temat polsko-niemieckich konfliktów. Po wybuchu wojny i wkroczeniu Niemców do Polski Willimowski ukrywał się przez kilka tygodni. Być może obawiał się Georga Joschkego, kreisleitera NSDAP w Katowicach, który – jako zapalony działacz sportowy i kibic – zarzucał Willimowskiemu, że ten swego czasu, i to jako niemiecki Górnoszlązak, przeszedł do Ruchu, uchodzącego za „klub Polaków” (nie wspominając już o występach w barwach polskiej reprezentacji). Ale Willimowski mógł się obawiać

**Jak wielu górnoszląskich
piłkarzy, którym po wrześniu
1939 roku niemieckie urzędy
przyznawały obywatelstwo
Rzeszy, także i Wilimowski
musiał zadawać sobie
dręczące pytania: Co
robić? Walczyć? Uciekać?
Dopasować się do nowych
warunków i przeżyć? Najlepiej
chyba dalej grać w piłkę, tym
razem dla Niemców, bo może
uda się nawet wywinąć ze
służby w Wehrmachcie?**



Ernest Wilimowski podczas
obiadu z kolegami z polskiej
reprezentacji (z prawej
Leonard Piontek z AKS-u
Chorzów, po lewej Ewald Dytko
z Dębu Katowice).

jeszcze czegoś: otóż jego matka Pauline pod koniec 1940 roku została aresztowana przez Gestapo i osadzona w obozie pracy w Mysłowicach (przemianowanym w 1943 roku na filię obozu Auschwitz). Niektórzy historycy sportu przypuszczają, że w grę mogło wchodzić podejrzenie o tak zwane „zhańbienie rasy”, bowiem matkę Willimowskiego miał łączyć miłosny związek z pewnym będzińskim Żydem. Czy ta okoliczność miała wpływ na decyzję syna? Ten dylemat Jergović w swej książce opisuje tak: „W tamtych latach (...) Wilimowski mówił o sobie, że jeśli chodzi o narodowość, jest Górnioślązakiem – ani Polakiem, ani Niemcem. Albo ścisłej, i Polakiem, i Niemcem”.

Nie tylko Willimowski

Im dłużej przelewano krew na frontach drugiej wojny światowej, tym coraz więcej górnośląskich piłkarzy, zamiast na boisku, walczyło w okopach. Bramkarzowi chorzowskiego klubu Bismarckhütter Sport-Verein Richardowi Wyrobkowi, który po wojnie (jako Ryszard Wyrobek) występował w Ruchu, władze nazistowskie bez pytania zmieniły numer volkslisty z IV (Wyrobek pochodził z rodziny powstańczej) na III i kazały walczyć za Hitlera. Nawet ambicje nazistowskiej administracji, która z 1. FC Kattowitz chciała na powrót uczynić wielki zespół, musiały ustąpić przed powołaniami do wojska. We wrześniu 1939 roku trzon klubu tworzyli byli reprezentanci Polski z Erwinem Güntherem Nytzem (po 1945 roku – Edward Nyc), Ewaldem Dytko (po 1945 roku także Edwardem) i przede wszystkim Ernestem Willimowskim na czele. Ale już wkrótce jeden za drugim trafiali na front. Willimowskiemu jako jedynemu z nich udało się zawczasu przejść do wojskowego klubu Polizeisportverein Chemnitz i w ten sposób uniknąć powołania do armii.

Były napastnik Ruchu, Paweł (niegdyś Paul) Buchwald, wujek późniejszego obrońcy niemieckiej reprezentacji Guido Buchwalda, wspominał w wywiadzie, jakiego w 1998 roku udzielił katowickiej „Gazecie Wyborczej”, jak bardzo poruszony był Willimowski podczas pożegnania z kolegami z klubu, wyrażając nadzieję, że przyjdzie im się jeszcze

spotkać. Willimowski co prawda przeżył wojnę, ale po 1945 roku nie powrócił do komunistycznej Polski. Traktowano go tam jak „zdrajcę ojczyzny” i wymazano z wszelkich encyklopedii polskiej piłki nożnej. Po wojnie grał dla kilku zachodnioniemieckich klubów. Miał 43 lata, gdy zerwał z futbolem. Zmarł w 1997 roku w Karlsruhe – w Polsce przemilczany, w Niemczech zapomniany. Grób, na którym jego imię widnieje w niemieckiej, a nazwisko w polskiej wersji, odwiedzają raz do roku fani chorzowskiego Ruchu i składają wieniec w barwach klubu.

Także Werner Janik z klubu Germania Königshütte, dziś raczej zapomniany, służył jako niemiecki żołnierz w Bułgarii i grywał tam w piłkę. Po wojnie, gdy komunistyczne władze spolonizowały jego imię, jako Antoni Janik stał w bramce polskiej reprezentacji. Podczas meczu państwowego w Sofii w 1948 roku tamtejsi kibice rozpoznali go i przywitani gorącymi brawami. Wojsko upomniało się też o pochodzącego z Rudy Śląskiej (Ruda O/S) Edmunda Giemse, zawodnika małego klubu Vorwärts Lipine, który wraz z innym kolegą z boiska, Ewaldem Cebullą, służył we Francji. Obydwaj zdezerterowali. Giemsa dostał się do francuskiego ruchu oporu, później do armii Andersa. Także Cebulla wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i po 1945 roku, już jako Edward Cebula, grał w piłkarskiej reprezentacji Polski.

Giemsa po wojnie nie zdecydował się na powrót do Polski. Całe szczęście, bo paradoksalnie ci Górnolązacy, którzy powracali do kraju ze służby w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, mieli w komunistycznej Polsce poważne problemy. Do 1956 roku spotykały ich nawet większe represje niż byłych żołnierzy Wehrmachtu z Górnego Śląska.

W Wehrmachcie służył też sławny Gerard Cieślik. W 1957 roku wystąpił w reprezentacji Polski w meczu przeciw Związkowi Radzieckiemu. A mecz ten budził wtedy ogromne emocje. I to właśnie Cieślik rozstrzygnął to historyczne spotkanie, które nie bez przyczyny uchodziło za „cichą polityczną zemstę”, strzelając dwa gole.

Niewielu pamięta, że Cieślik był jednym z ośmiu górnolązkich piłkarzy, którzy wystąpili w tym pamiętnym meczu: Stefan (niegdyś Günter) Florenski, Ginter (niegdyś Günter) Gawlik, Edward Jankowski, Lucjan (niegdyś Lutz) Brychczy, Roman Lentner, Henryk (niegdyś Helmut) Kempny i Edward Szymkowiak. Dla większości z nich to futbolowe spotkanie było czymś więcej niż tylko wielkim wydarzeniem sportowym. Jedni służyli w Wehrmachcie i walczyli na froncie wschodnim, drudzy byli świadkami wkroczenia armii sowieckiej na teren Górnego Śląska zimą 1945 roku, natomiast niemal wszyscy stracili wtedy kogoś z rodziny, byli świadkami popełnianych na masową skalę okrucieństw, gwałtów, rekwizycji.

Na aut

Tuż po wojnie polskie urzędy zabrały się do weryfikacji narodowej Górnolązaków. Sięgnęły do pozostawionych przez niemiecką administrację volkslist, na których widniały także nazwiska górnolązkich *fusballorzy*. Wkrótce wielu tutejszych sportowców zostało określonych mianem „wrogiego elementu”, wielu poddano szykanom, wielu jako „kolaborantów” i „zdrajców narodu” skazano na karę więzienia, zesłano do obozu lub wydalone z kraju. Nie było dla nich miejsca w regionie, który – po okrutnej wojnie – teraz „wracił do polskiej macierzy”. Także dla Wilimowskiego. Pisze Jergović: „Polska istniała nadal,

Niewielu pamięta, że Gerard Cieślik był jednym z ośmiu górnolązkich piłkarzy, którzy wystąpili w pamiętnym meczu Polska – Związek Radziecki: Stefan (niegdyś Günter) Florenski, Ginter (niegdyś Günter) Gawlik, Edward Jankowski, Lucjan (niegdyś Lutz) Brychczy, Roman Lentner, Henryk (niegdyś Helmut) Kempny i Edward Szymkowiak.

dwa razy dostała się do półfinału mistrzostw świata, ale to nie była ta Polska, dla której grał i dla której mógłby grać Ernest Wilimowski”.

W obozie pracy w Mysłowicach zmarł reprezentant Polski Leonard Hubert Malik (przed wojną uchodził za sympatyka polskich socjalistów). Urzędy uznały go za Niemca, ponieważ jego kuzyn, Richard Malik, był jednym z czołowych piłkarzy Beuthen 09 (poległ na froncie wschodnim). Richard Pietz (Ryszard Piec), osadzony przez komunistyczną służbę bezpieczeństwa w areszcie pod zarzutem kolaboracji, miał więcej szczęścia – zdołał uciec z transportu do okrytego złą sławą powojennego obozu „Zgoda” w Świętochłowicach, gdzie osadzono tysiące śląskich Niemców.

Obcy, choć swoi

Jesienią 1945 roku górnośląscy piłkarze mogli nadal kopać piłkę, o ile spełnili kilka warunków (np. dokonali zmiany niemiecko brzmiących imion i nazwisk). Kierownictwo partyjne doszło do wniosku, że można wykorzystać tutejszych piłkarzy do celów propagandowych, wykazując się sukcesami w realizacji planu repolonizacji. Mimo to przez kolejne dziesięciolecia kluby z Górnego Śląska spotykały się z dość powszechną nieufnością. Niewiele zmieniły sukcesy Górnika Zabrze, których autorami byli m.in. Hubert Kostka, Zygfryd Szołtysik (niegdyś Siegfried Scholtysik), Ernest Pol (Ernst Pohl), Włodzimierz Lubański, Edmund Kowal (Erwin Ernst Schmidt) czy Heinz Zimmermann (wujek słynnego pianisty Krystiana Zimmermana).

Górnośląskość, która swą tożsamość czerpała z elementów słowiańskich i niemieckich, przez ponad cztery powojenne dekady pozostawała więc w podziemiu, by tylko od czasu do czasu – także z okazji wydarzeń piłkarskich – dać o sobie znać. Kiedy w finale mistrzostw świata w 1954 roku reprezentacja Republiki Federalnej Niemiec walczyła o zwycięstwo z faworyzowanymi Węgrami, całe Zaborze (dziś dzielnica Zabrze) dopinowało przy radioodbiornikach, by po ostatnim gwizdku sędziego głośno świętować zwycięstwo „swoich”. Oczywiście ta okoliczność nie umknęła uwadze funkcjonariuszy UB. Już samo posiadanie zdjęcia zachodnoniemieckiej reprezentacji mogło być przyczyną poważnych kłopotów. Ale gdyby wtedy to reprezentacja Polski zwyciężyła Węgrów, reakcja byłaby pewnie podobna. W końcu chłopcy pochodzący z Gliwic, Raciborza, Bytomia, Katowic i Chorzowa grali w obu reprezentacjach.

Nasi dalej grają

Do dziś wielu polskim kibicom niełatwo zrozumieć, dlaczego ludzie mieszkający na Górnym Śląsku dopingują raz Polaków, raz Niemców. Żartobliwie mówi się, że gdy na boisku spotykają się reprezentacje Polski i Niemiec, to Górnoślązacy zapalają świeczkę na cześć św. Anny Samotrzeciej spod Anabergu, prosząc, by mecz zakończył się remisem.

Zerknijmy na składy reprezentacji Polski i Niemiec w ostatnich latach. Roi się w nich od piłkarzy związanych z Górnym Śląskiem: pochodzący z gliwickiej dzielnicy Sośnica Sebastian Boenisch, Lukas Podolski i Adam Matuszyk (Matuszczyk), Kamil Glik z Jastrzębia-Zdroju (w którego niemieckim paszporcie widnieje nazwisko Glück), Łukasz Piszczek z Czechowic-Dziedzic, Artur Sobiech z Rudy Śląskiej, Eugen Polanski czy najwybitniejszy w tym gronie były piłkarz reprezentacji Niemiec Miroslav Klose z Opola. Może zatem na Górnym Śląsku każde piłkarskie święto winniśmy przeżywać nie po to, by dawać upust naszym narodowym uniesieniom, lecz jako okazję do opowiedzenia arcyciekawych i pouczających historii? Piłka nożna już wystarczająco długo obsługiwała narodowe emocje, dlaczego więc nie mogłaby wspierać refleksji nad tym, co ponadnarodowe? Brzmi jak marzenie o cudzie?

A cuda się zdarzają. Miljenko Jergović zdaje się w nie wierzyć, pisząc: „Lecz to, na co człowiek potrzebuje lat, a historia stuleci, na boisku piłkarskim staje się w kilka chwil”. ■

Marcin Wiatr

– literaturoznawca i tłumacz, pracuje w Instytucie im. Georga Eckerta ds. Międzynarodowych Badań nad Podręcznikami w Brunszwiku

Grzegorz Bęblik

Do pustej bramki

Mecz rozegrany w Katowicach 25 września 1927 roku pomiędzy miejscową drużyną 1. FC Kattowitz a zespołem krakowskiej Wisły wykraczał daleko poza ramy sportowego wydarzenia. Zdawali sobie z tego sprawę zarówno sami piłkarze, jak i wyjątkowo licznie przybyli kibice; bez wątpienia również władze – i miejscowe, na czele z wojewodą Michałem Grażyńskim, i warszawskie. Stawka była bowiem nie byle jaka; niewiele brakowało, by mistrzem Polski została drużyna reprezentująca niemiecką mniejszość w województwie śląskim, otwarcie nawiązująca do pruskiego dziedzictwa.

30



Fabryka Silesia
KRAKÓW

31



Fabryka Silesia
KRAKÓW

Na takim tle mniej dziwią zdarzenia, do jakich doszło na boisku: nieuznanie przez sędziego Zygmunta Hankego gola strzelonego przez katowiczana Ernsta Joschkego, brak reakcji na faule ze strony zawodników krakowskiej drużyny, wreszcie zaś najbardziej bulwersujące odgwiżdżanie końca meczu w... 78. minucie i wznowienie go, gdy zawodnicy 1. FC znajdowali się już w szatni. W ciągu tych 12 minut zdołał jeszcze Hanke podyktować rzut karny na rzecz krakowian, dzięki któremu podwyższyli oni swą wygraną na 3:0. „Jedenastka”, wykonana przez kapitana Wisły Henryka Reymana, nie musiała być popisem piłkarskiego kunsztu; stojący w bramce Emil Görlich znajdował się, jak i jego koledzy, w szatni.

Wrześniowy mecz to tylko drobna, choć emocjonująca ilustracja polsko-niemieckich stosunków panujących w autonomicznym województwie śląskim. 1. FC Kattowitz wywodził się z niegdysiejszego FC Preussen 05 Kattowitz; trzeba było specjalnego porozumienia z Polskim Związkiem Piłki Nożnej, by klub mógł nadal funkcjonować, jednak za cenę zmiany nazwy i rezygnacji z widniejącego dotychczas na koszulkach pruskiego orła.

Kim byli?

W specyficznych uwarunkowaniach Górnego Śląska, czy choćby tylko tej jego części, która w 1922 roku przyłączona została do Polski, ze sporą ostrożnością osądzać należałoby narodowościowe wybory zawodników. To prawda, że wielu, być może nawet większość, spośród piłkarzy 1. FC Kattowitz stanowili zdeklarowani Niemcy; oni też bezsprzecznie dominowali we władzach klubu. Jednak znane są przypadki, gdy wśród graczy znajdowali się również synowie śląskich powstańców; pamiętać należy, że struktura narodowościowa województwa pozostawała labilna (w 1931 roku sam Wojciech Korfanty oceniał, że jest to mniej więcej jedna trzecia mieszkańców). Problematyczne pozostaje na przykład narodowościowe zdefiniowanie najwybitniejszego bez wątpienia wychowanka 1. FC Kattowitz Ernesta Wilimowskiego, czyli słynnego „Eziego”. Kupiony w 1934 roku przez Ruch z ówczesnych Wielkich Hajduk za pokaźną kwotę tysiąca złotych, grał zarówno dla tego kojarzonego z powstańczą tradycją klubu, jak i dla reprezentacji Polski. Zresztą w ówczesnej reprezentacji Górnoszlązacy byli prawdziwą potęgą; na piętnastu zawodników aż ośmiu reprezentowało górnoszląskie kluby, zaś dwóch kolejnych grało w barwach klubów spoza regionu. W innym czasie do reprezentacji trafił też znany z pamiętnego meczu w 1927 roku bramkarz 1. FC Kattowitz Emil Görlich (gry dla Polski odmówił inny katowicki zawodnik – Otto Heidenreich, w sposób jednoznaczny motywując to względami narodowościowymi).

Decyzję Heidenreicha na pewno wsparł Georg Joschke, starszy brat wspomnianego już Ernsta, od 1933 roku nowy prezes klubu. Joschke, właściciel katowickiej firmy spedycyjnej, był też działaczem górnoszląskich struktur Partii Młodoniemieckiej, otwarcie wzorującej się na NSDAP. Nic dziwnego, że to on właśnie z chwilą przejęcia przez nazistów władzy w Niemczech stanął na czele klubu. Swoją czas Georg Joschke dzielił zresztą nie tylko pomiędzy pracę, działalność polityczną i sportową; już od końca 1938 roku zaangażowany był w tworzenie na terenie województwa śląskiego niemieckich struktur dywersyjnych. W połowie 1939 roku uchodzić musiał do Niemiec w obawie przed aresztowaniem; powróciwszy z początkiem września, brał udział w walkach o Katowice, następnie zaś współkierował pacyfikacją miasta. Wkrótce został też pierwszym katowickim kreisleiterem NSDAP.

Wybuch wojny oznaczał również przełom dla klubów piłkarskich tej części Górnego Śląska. Te, które mogły, powracały do swoich niemieckich nazw (i tak na przykład chorzowski AKS stał się Verein für Rasenspiele Königshütte, potem zaś – FV Germania Königshütte), zaś inne, nie mogące się poszczycić podobnymi korzeniami, przybierały nowe, niemieckie nazwy (jak Naprzód Lipiny, który stał się TuS 1883). Oczywiście, dawny katowicki 1. FC, teraz już 1. FC Preussen Kattowitz, stał się prawdziwą gwiazdą, ściągając co bardziej obiecujących zawodników i awansując w rozgrywkach. Wkrótce jednak wojna dała o sobie znać i wielu piłkarzy zmuszonych było przywdziać wojskowe mundury. Często zresztą po tych pierwszych, niemieckich, były to mundury II Korpusu.

Tylko „nieskazitelni”

Koniec wojny nie oznaczał końca tych polsko-niemieckich przepychanek. Wiosną 1945 roku utworzono Śląski Okręgowy Związek Piłki Nożnej, kluby powróciły do swych polskich nazw, a wkrótce zainaugurowano nowy sezon rozgrywek. Jednak już 25 marca 1945 roku na swym pierwszym walnym posiedzeniu Śląski OZPN przyjął rezolucję o wykluczeniu z życia organizacji tych wszystkich zawodników i działaczy, którzy wcześniej zaangażowali się w życie sportowe organizowane pod egidą niemieckiego okupanta. Przynajmniej werbalnie nie odsuwano ich na zawsze – do czasu powołania odpowiedniej komisji weryfikacyjnej

316

Ehrenvorsitzender
Rudolf Foulard



1. Vots. Georg Foulke



Foulke in einer anderen Position.



Rückgang nach der Festrede

FC Kattowitz, m.in. otwarcie nowego stadionu w roku 1934.

pozbawieni byli jednak możliwości jakiegokolwiek działalności sportowej, również amatorskiej. Oczywiście, kryteria doboru takich osób były nad wyraz płynne, co sprzyjało wszelkiego rodzaju nadużyciom. Postanowienia zarządu OZPN dublowały się z posunięciami władz administracyjnych, *per fas et nefas* weryfikujących miejscową ludność pod kątem współpracy z niedawnym okupantem.

Władze poszczególnych klubów, przesyłając do katowickich władz listy zawodników przewidzianych do rozgrywek w sezonie 1945, musiały wziąć sobie do serca utrzymane w kategoriycznym tonie zalecenie zarządu Śląskiego OZPN („Zarząd klubu osobiście odpowiedzialny jest za nieskazitelność zawodników pod względem narodowościowym”). Toteż w wykazach graczy prócz zwyczajowych danych pojawiła się dodatkowo grupa *volkslisty*, do jakiej dany zawodnik został przyporządkowany. Ten swoisty wyraz pośmiertnego triumfu hitlerowskiej administracji wyglądał na tle gromkich zapewnień o eliminowaniu pozostałości niemczyzny szczególnie groteskowo.

Jednak pomimo wszelkich zakazów wyklęci oficjalnie „dwójkarze” (czyli posiadacze wysokiej, drugiej grupy *volkslisty*) przenikali do klubów, często zabiegających po prostu o dobrych zawodników. Działacze klubowych nie odstraszały nawet surowe kary za podobne praktyki, a były to, prócz przegranego walkowerem meczu, również wysoka kara pieniężna i administracyjne szykany. Poszczególne kluby najwyraźniej szybko zrozumiały, jakie niesie to ze sobą możliwości awansu w tabeli. Po przegranym meczu wystarczyło wyszukać w zwycięskiej drużynie posiadacza pierwszej czy drugiej grupy *volkslisty*, by klęska zamieniła się w zwycięstwo. Stąd prawdziwy wysyp donosów, składanych przez przegranych najczęściej natychmiast po meczu; przez jakiś czas stanowiły one główną pozycję w posiedzeniach katowickiego Wydziału Gier i Dyscypliny. Donosili, rzec można, wszyscy na wszystkich, choć częstotliwością wyróżnił się klub z Gódułi, o intrygującej i chyba przystającej do sytuacji nazwie Sęp.

Katowiccy działacze równie prędko zorientowali się w powodach tych patriotycznych uniesień, toteż w rok po zakończeniu wojny takie sprawy odkładano już najczęściej *ad acta*. Co więcej, Wydział Gier i Dyscypliny zdecydował się wystąpić do zarządu Śląskiego OZPN z wnioskiem o zdjęcie odium „dwójkarstwa”, jeśli nie z dorosłych, to przynajmniej z ich dzieci, również traktowanych jak obywatele drugiej, *nomen omen*, kategorii. W odpowiedniej petycji z czerwca 1946 roku zakładano między innymi, że „dopuszczenie tej młodzieży do czynnego życia sportowego przyczyni się niewątpliwie do szybszego przywrócenia jej społeczeństwu polskiemu i wykorzenienia naleciałości z wychowania w H[itler]J[ugend]”.

„Podaj, bo ja stoję frey”

Oczywiście, nie wszystko znajdowało się w rękach miejscowych działaczy; decydujący był głos Warszawy, przy czym również tamtejsze władze sportowe zmajoryzowane były przez „czynnik polityczny”. Postulat walki z „pozostałościami niemczyzny”, dla polskich komunistów będący jedyną chyba płaszczyzną autentycznego porozumienia ze społeczeństwem, na Górnym Śląsku przybierał postać bezwzględniego tępienia wszystkiego, co mogło nosić choćby ślad kontaktu z oficjalnie wyklętą niemieckością. Mogła to być zarówno przeszłość tego czy innego zawodnika, jak też śląski etnolekt, którym wielu z nich posługiwało się na boiskach, czy też obecność w śląskim sporcie pewnych zaczerpniętych z języka niemieckiego terminów.



Piłkarze Ruchu Chorzów. Z lewej Gerhard Wodarz. W czasie wojny, podobnie jak Teodor Peterek, służył w Wehrmachcie i Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie

„Na zawodach towarzyskich odbytych w Łodzi w dniu 20 września 1945 roku między KSZZK Łódź i Ruchem Śląskim”, zawiadamiał przewodniczący łódzkiego Wydziału Gier i Dyscypliny, Zbigniew Kobyliński, „zawodnik Brzoza Artur z KS Ruch, mimo upomnień sędziego prowadzącego zawody odzywał się do kolegów podczas zawodów w języku niemieckim. Język niemiecki w naszym życiu społecznym, a tym bardziej sportowym musi zniknąć, jak zniknęły Niemcy hitlerowskie” [pisownia oryginalna]. Głos zabrał oczywiście sam Artur Brzoza, odrzucając zarzuty w całości. Jak tłumaczył: „[...] nieprawdą jest, bym się odzywał do moich kolegów w języku niemieckim, lecz przypominam sobie moment, [...] kiedy to zawodnik nasz Górka zwrócił się do mnie ze słowami »podaj, bo ja stoję frey«, na co sędzia zwrócił nam uwagę, byśmy nie rozmawiali po niemiecku. Moim zdaniem trudno zarzucić zawodnikowi Górcę posługiwanie się językiem niemieckim, albowiem podobne wyrazy są często spotykane w gwarze śląskiej”.

W październiku 1945 roku katowicka „Trybuna Robotnicza” pisała oskarżycielskim tonem: „Do gorszących zajęć doszło onegdaj na boisku Kresy w Chorzowie, na zawodach piłkarskich między KS Polonia z Bytomia i KS Ruch z Chorzowa. [...] nie można przejść do porządku nad faktem, że w KS Ruch panoszą się dalej niemczyzna. Zawodnicy Ruchu przez cały czas gry porozumiewali się ze sobą w języku niemieckim, ciągle na boisku słychać było nawoływania w rodzaju: »Torman[n] heraus, pass auf, los, vorwaerts itp.«. Na współzawodników z KS Polonia padały wyzwiska w rodzaju: »świnie, banderowcy, my na was nie czekali, żebyście tu przyjeżdżali« itp. [...] Czyż można wyobrazić sobie coś bardziej gorszącego nad te fakty na zawodach o mistrzostwo polskich klubów sportowych?”. Chorzowscy działacze kontratakowali, twierdząc, że to raczej zawodnicy i kibice kontynuującej lwowskie tradycje Polonii dopuścili się „nieuzasadnionych zarzutów na tle politycznym”. Jednak padające ze strony bytomskiego klubu zarzuty musiały być dotkliwe, skoro w listopadzie przedstawiciele kilku śląskich klubów domagali się wcielenia bytomskiej Polonii do rozgrywek w grupie opolskiej oraz wyciągnięcia wobec jej graczy i działaczy konsekwencji zarówno z tytułu październikowych scysji na boisku, jak i szerzenia pogłosek, „jakoby w drużynie KS Ruch grali Niemcy” [tak w oryginale – G.B.]. Krytycznie wypowiadano się też o zamierzonej przez PZPN weryfikacji śląskich sportowców pod kątem ich postawy narodowościowej.

Piłkarski „rewizjonizm”

35

Dla losów wielu śląskich zawodników charakterystyczne były losy piłkarza chorzowskiego Ruchu Teodora Peterka. Po 1939 roku odnalazł się on, jak znakomita część innych zawodników, najpierw w niemieckich klubach sportowych, by następnie poprzez Wehrmacht trafić do II Korpusu. Powróciwszy jeszcze w 1945 roku do kraju, natychmiast podjął grę w macierzystym klubie. I tu szybko stał się obiektem zainteresowania warszawskich władz PZPN; w sierpniu 1946 roku domagały się one wyjaśnienia okoliczności rehabilitacji Peterka („[...] gdyż wiadomo nam, że [Peterk] brał udział w imprezach w drużynach niemieckich”), „jeśli zaś takowa nie miałyby dotychczas miejsca, ustalenia osób odpowiedzialnych za dopuszczenie go do rozgrywek”. Zarząd Ruchu stanął jednak murem za swym zawodnikiem. Do Warszawy powędrowała riposta, sugerująca stołecznym działaczom brak orientacji w górnośląskiej specyfice. Podnoszono przy tym również i to, że był Peterk posiadaczem jedynie trzeciej grupy *volkslisty*, zaś liczni świadkowie potwierdzili jego nienaganne zachowanie podczas okupacji.

W 1954 roku struktury aparatu bezpieczeństwa stwierdziły konieczność pilnego zainteresowania się problemem „niemieckiego rewizjonizmu”. W sporządzonej wówczas analizie czytamy, że postawy rewizjonistyczne wśród miejscowej ludności znajdują swój wyraz „w powrocie wielu autochtonów, którzy wcześniej ubiegali się o polskie obywatelstwo, do otwartego demonstrowania swej niemieckiej narodowości; w powrocie do posługiwania się językiem niemieckim nawet pomiędzy młodzieżą wychowaną już w polskich szkołach; w śpiewaniu niemieckich pieśni, mających często rewizjonistyczny charakter”. Domyślać się można, że jednym z bezpośrednich bodźców mogło być zwycięstwo reprezentacji RFN w mistrzostwach świata w 1954 roku. Na fali rozbudzonej wówczas czujności tajnych służb dochodziło do zdarzeń zgoła tragicomicznych; posiadanie w domu zdjęcia zwycięskiego *Mannschafu* spowodowało, na przykład, w 1954 roku usunięcie z PZPR zabrzaniina Reinholda Długaja. Decyzja ta, powzięta przez Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej przy katowickim KW, obrazuje chyba, na jakie to szczyty potrafiła wznieść się antyniemiecka paranoja. ■

(Wykorzystano: G. Bębnik, *W cieniu regionalnej przeszłości – narodowościowe perypetie śląskiej piłki nożnej w pierwszych latach „demokracji ludowej”* z tomu *Górnoślązacy w polskiej i niemieckiej piłkarskiej reprezentacji narodowej – wczoraj i dziś. Sport i polityka na Górnym Śląsku w XX wieku* (Gliwice 2006)).

Grzegorz Bębnik

– historyk, pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach

Mariusz Kowoll

Piłka tylko dla Polaków

17 lutego 1945 roku Aleksander Zawadzki, pełnomocnik rządu w regionie śląsko-dąbrowskim z ramienia Polskiej Partii Robotniczej, dekretem reaktywuje ruch sportowy; jedne kluby wznawiają działalność, inne organizują się zupełnie od podstaw. 15 marca odbywa się pierwsze zebranie Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Katowicach. W październiku rusza ligowy sezon.

Powstały w marcu 1945 roku podokręg Śląska Opolskiego z siedzibą w Zabrze uchwalał z 8 września 1946 roku przystąpił do usamodzielnienia i stworzenia własnych struktur. Przemian dokonywał zasłużony dla polskiego ruchu piłkarskiego krakowianin, Franciszek Jacheć, przedwojenny gracz KS Cracovia oraz działacz Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Trzeba zweryfikować

Podstawowym zagadnieniem do rozstrzygnięcia było wyselekcjonowanie kadr kierowniczych oraz zawodniczych dopuszczonych do uczestnictwa w rozgrywkach piłkarskich. Ustanowiono, że muszą być to obywatele polscy, legitymujący się odpowiednim dokumentem. Sprawa załatwiana była od ręki w przypadku osób przyjezdnych, które mogły wykazać się polskim dowodem tożsamościowym ważnym przed wrześniem 1939 roku lub innym zaświadczeniem potwierdzającym zamieszkiwanie ziem polskich. Ze Ślązakami kwestia była znacznie bardziej skomplikowana. W pierwszej kolejności doprowadzono do amnestii graczy, którzy w przedwojennych realiach byli polskimi obywatelami. Zapomnienie dawnych przewin miało jednak dotyczyć wyłącznie osób z III i IV kategorii niemieckich list narodowościowych. Prezesi klubów musieli tego się nagłowić, by przekonywać ludowy aparat administracyjny, że również w kategorii II znajdowali się zawodnicy o właściwych uczuciach narodowościowych, a wpisani na tę listę nierzadko byli przez przewodniczących niemieckich drużyn, którzy w ten sposób pozyskiwali ich do własnych szeregów.

Poważniejsza weryfikacja dotyczyła piłkarzy urodzonych jako obywatele niemieccy. Każdy klub otrzymywał wytyczne zgodne z centralnym zarządzeniem, z którego wynikało, że „do każdej karty zgłoszenia zawodnika należy załączyć zaświadczenie polskości wystawione przez miejscowe władze administracyjne. Dotyczy to wszystkich zawodników którzy przed objęciem opolszczyzny przez władze polskie zamieszkiwały na tamt. terenie. Niezależnie od powyższego Zarząd klubu osobiście odpowiedzialny jest za nieskazitelność zgłoszonych zawodników pod względem narodowym. Zgłoszenia zawodników należy przyjmować z całą ostrożnością ażeby uniknąć przemytu elementu niemieckiego do klubów polskich” [we wszystkich cytatach zachowano pisownię oryginalną – M.K.].

Zgodnie z zapisami we wzorcowych statutach, jednolitych dla wszystkich podmiotów sportowych, w paragrafie 14 stało, że w Zarządzie klubu zasiadać mogli wyłącznie obywatele polscy. W konsekwencji ich skład również podlegały weryfikacji. Tych dokonywała lokalna Milicja Obywatelska oraz Wydział Społeczno-Polityczny. Dominował żywioł napływowy, który jednak w wyniku wojennych wichrów również nie stanowił sam w sobie gwarancji odpowiedniego nastawienia obywatelskiego. Z dokumentacji klubu KS ZZK Bytom dowiadujemy się, że weryfikacji podlegali także działacze wywodzący się z Małopolski, w okresie okupacyjnym podlegający administracji Generalnego Gubernatorstwa. Sprawdzanie ograniczało się do przeglądania niemieckich list narodowościowych.

Odpowiednie zapisy, kontrole, zakazy, ostrzeżenia nie zawsze zwycięsko mierzyły się z rzeczywistością, przeto zdarzały się tak kuriozalne sytuacje, jak w przypadku Ludowego Klubu Sportowego Rolnik ze Zbrosławic. W kwietniu roku 1949 na klub nałożona została kara finansowa za nienadesłanie w terminie wykazu zawodników zgłaszanych do rundy wiosennej ligowych rozgrywek, a także niereagowanie na przypomnienia, ponaglenia i wezwania. Znamienne było tłumaczenie władz LZS-u: „Z początkiem lutego br. sekretarz klubu Ob. Sadowski Stanisław wyjechał na kurs do Warszawy, pozostawiając sprawy nie załatwione. Zdając znów akta klubu pozostałym członkom Zarządu, ci nie orientowali się w tych sprawach, gdyż są to autochtoni, których nie można winić za to, bo pisownia polska przychodzi im b. ciężko”.

Starano się jednak dogadzać przepisom, a w składach zarządów dominowali nierzadko ci z partyjnymi legitymacjami. Indoktrynacja była przecież jednym z istotnych celów działalności klubów. Pochodzenie etniczne władz klubowych nie musiało mieć jednak żadnego przełożenia na dobór graczy; ci w znakomitej większości rekrutowani byli z fabryk, kopalni lub innego rodzaju zakładów, ewentualnie służb. Rzadko zdarzały się przypadki, jak w Polonii Bytom, gdzie dominowali kresowiaci, podobnie w gliwickim Piaście. Zdarzały się i sytuacje odwrotne, jak w klubie GZKS kopalnia Bobrek. Więcej wyznawał w piśmie do Milicji Obywatelskiej prezes klubu KS Odra Bobrek (późniejszej Sparty): „Zarząd klubu K.S. »Odra« rekrutuje się przeważnie z Obywateli Polaków którzy przyjechali do Borka [Bobrka – M.K.] do pracy w Hucie »Julia«. Zaś gracze tej drużyny rekrutują się z Obywateli zamieszkałych za czasów niemieckich na terenie Bobrku”.

Podobnie było w klubie Rozbark Bytom, gdzie na 41 graczy Polaków było zaledwie 12; ale najczęściej grupy zawodników lokalnych i przyjezdnych były mocno mieszane. W KS Związek Zawodowy Kolarzy Bytom (późniejszy Kolarz Bytom) na 10 członków klubu aż 7 było repatriantami, dwóch przyjechało z Warszawy, a zaledwie jeden był rodzimym. Ale już po boisku układ sił mógł być wyrównany, albowiem na 41 zgłoszonych zawodników przed sezonem 1946 roku 13 pochodziło z Bugu, 2 z Zagłębia Dąbrowskiego, 2 z Warszawy

i okolicy, 3 z polskiego Górnego Śląska, 1 z Małopolski i aż 20 urodzonych w Bytomiu, Karbiu, względnie Gliwicach. Zdarzały się również przypadki, zwłaszcza w małych miejscowościach, gdzie dominowali gracze urodzeni na terenach przed wojną zarządzanych przez Niemców.

Z zachowanych dokumentów nie sposób wyprowadzić wniosków o nieprzychylności jednych grup etnicznych wobec innych. Zarząd przeważnie stawał w obronie swojego zawodnika, chyba że sprawa była beznadziejna. Prezes Liniarni Bytom osobiście podpisywał wyjaśnienia kierowane do Okręgowego Związku Piłki Nożnej Śląska Opolskiego w sprawie anulowania lub co najmniej zmniejszenia kary dla swoich graczy, Gerardów Ksolla i Urbańczyka, którzy wraz z działaczami Czarnych Miechowice odtworzyli nieistniejącą w ówczesnych polskich realiach instytucję gracza gościnnego (*Gastspieler*), występując w barwach Czarnych w towarzyskich zawodach przeciwko lokalnemu rywalowi GZKS kopalnia Miechowice, z których całkowity dochód przeznaczony został na... Wspólny Dom Partyjny. Szczególnie rozpoznawalnym graczem był Ksoll, przedwojenny bramkarz Spiel- und Sportverein Mechta, stający później również w bramce Reichsbahn-Sportgemeinschaft Beuthen.

„Ty szwabska świnió”

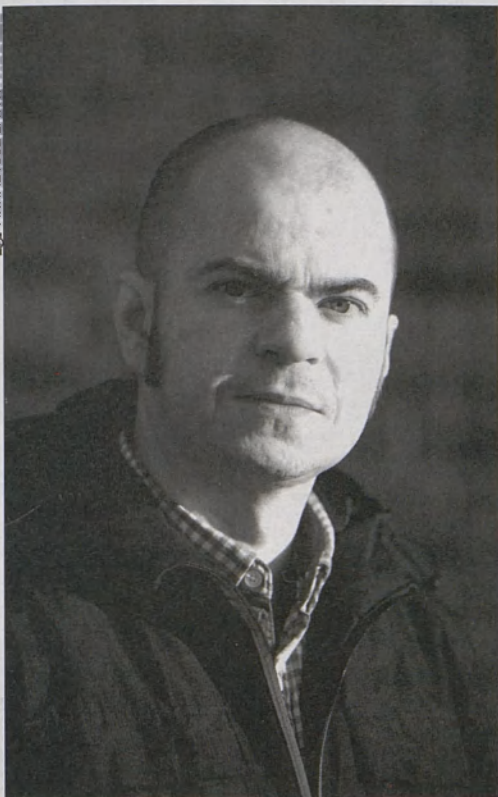
Pojawiały się konflikty na tle językowym. Znamienny jest tu wyciąg z protokołu posiedzenia Klubu Sportowego Gnomia z Bytomia, który swoje mecze rozgrywał przy ulicy Siemianowickiej 98, przy zakładach Nowy Orzeł Biały: „Na Stadionie używa się za dużo języka niemieckiego, co gorsze jest tam kasjerka, która nie zna wogóle języka polskiego. Po szerokiej dyskusji uchwalono umieścić przy wejściu na Stadion tablicę z napisem: »Osobom narodowości niemieckiej lub używającym języka niemieckiego wstęp na Stadion jest wzbroniony«”.

Znacznie poważniejsze wydarzenia miały miejsce podczas rozgrywania meczów. Słaby poziom sędziowania, pijaństwo, brak dyscypliny na trybunach i brak odpowiedniej liczby porządkowych w połączeniu z emocjami towarzyszącymi rywalizacji piłkarskiej uwalniały resentymenty i awersje. Powszechnie znane są przypadki problemów śląskich klubów w grach przeprowadzanych poza własnym regionem. Oto jeden z nich. W tle – znana postać polskiego piłkarstwa, Mieczysław „Messu” Gracz. „Zawodnik Wisły Krakowskiej Gracz przez cały przebieg meczu dobrze obstawiany przez [Stanisława] Wieczorka, który paraliżował wszelkie podciągnięcia zawodnika Gracza, wskutek czego wspaniałemu Graczowi nie udawało się stać dla publiczności fenomenalnym li tylko słabym, co widocznie doprowadziło Gracza do depresji i chcąc się prawdopodobnie niezależnie od Wieczorka uderzył go umyślnie głową w twarz. Wieczorek po uderzeniu zasłonił się, ponieważ uderzenie to częściowo oszłodziło Wieczorka. Lecz nie zadowoliło to jeszcze Gracza, gdyż podszedłszy do Wieczorka dodał z ironią »ty szwabska świnió«, co potwierdzają gracze naszej drużyny. Na te słowa Wieczorek nie mógł się już opanować i w zdenerwowaniu uderzył Gracza w twarz. Nie jest to poraż pierwszy, że zawodnik z centralnych ziem Rzeczypospolitej tymi słowami odezwał się do zawodnika ziem odzyskanych. Zaznaczamy przy tym, że zawodnik Wieczorek jest obywatelem polskim” – żalił się Zarząd Szombierek Bytom, prosząc „o wydanie zarządzenia, zakazującego graczom klubów centralnych ziem Rzeczypospolitej używania słów obelgi jak naprzkł: »Ty szwabska świnió« itp., na graczy klubów ziem odzyskanych ze względu na to, że wpływa ujemnie na samopoczucie zawodników, którzy tracą chęć, nie tylko rozgrywania zawodów z klubami centralnych ziem Polski, ale również wpływa ujemnie na repolonizację tutejszej ludności (...)”.

Zwyzywał sam siebie?

Najpoważniejsze zatargi miały miejsce w rywalizacjach drużyn z małych miejscowości całkowicie zdominowanych przez jedną z grup etnicznych. To przypadek Ludowych Związków Sportowych z Bojkowa, gdzie osiedlili się przyjezdni, w tym repatrianci, i Brzezinki, w znaczącej mierze zamieszkiwanej przez rdzennych mieszkańców o niemieckiej proveniencji. Mecze w Bojkowie kończyły się gigantycznymi awanturami, a zachowanie publiczności „było nie tylko agresywne ale poniżej wszelkiej krytyki”. Klub z Brzezinki apelował do związkowych działaczy, by kolejne gry z tym rywalem rozgrywać „na każdym boisku wyznaczonym przez Okręg byle tylko nie w Bojkowie”.

W większych miastach gorąco bywało na zawodach, w których rywalizowały zespoły o zdecydowanej dominacji grup kresowych z zespołami, nazwijmy to, mieszanymi. Często strona uważająca się za bardziej polską, najpewniej właśnie z tego powodu, dopuszczała się gry brutalnej, uderzeń pięściami, czasami nawet z pomocą arbitrowi liniowych, którzy potrafili wyrwać drzewiec z chorągiewki narożnej i okładać kopanego gracza. Ślązacy byli utożsamiani z okupantem niemieckim, a agresja wobec nich miała stanowić odpowiedź na krzywdy wojenne. Zdaje się, że nieprzypadkowo ofiarami w starciu drużyny rezerwowej Sparty z Gliwic oraz lokalnego rywala ZKS „Ogniwo” padli akurat znani na Śląsku niemieccy gracze, napastnicy Retzlik (od



Po spotkaniu w bytomskim Bobrku pomiędzy miejscowym KS Sparta (autochtoni) a gliwickim Robotniczym KS PZS (kresowiaci, po fuzji stał się Piastem Gliwice) grupa wyrostków obrzuciła kamieniami wóz ciężarowy, którym drużyna gości wraz z arbitrem udawała się w drogę powrotną. Przebieg zdarzeń był dość dramatyczny.

1945 roku już jako Reclik), znany z gier dla mikulczyckiego Sportfreunde, w okresie wojny czasowo pełniący nawet funkcję prezesa tego klubu, oraz Juretko, grywający dla SC Preußen Hindenburg. O ile drugi z wymienionych został „zaledwie” skopany przez rywala (arbitr nie umieścił tego zdarzenia w protokole), o tyle Reclik brutalnie kopnięty w głowę stracił przytomność. Jak relacjonowali działacze Ogniwa, „bramkarz Sparty widząc, że gracz Reclik został wykończony, wybiegł z bramki do zawodnika Hornolda gratulując mu za swój czyn”. Od początku nastawienie widowni i graczy Sparty, którzy stanowili już część Piasta Gliwice, było agresywne. Z widowni padały wrogie okrzyki, a po meczu publiczność wbiegła po raz kolejny na murawę i dotkliwie pobiła zawodników Ogniwa.

Rzadziej, być może za to bardziej spektakularnie, awantury wszczynali Ślązacy. Ryzyko ujawnienia swych poglądów wiązało się nie tylko z ewentualnymi karami dyscyplinarnymi piłkarskiego Związku, ale i z dochodzeniem lokalnych służb. Pół biedy, gdy chodziło o obronę swojej śląskiej godności, jak miało to miejsce w październikowej, roku 1947, grze – KS Chrobry Groszowice grał przeciwko drużynie Liniarnia Bytom. Zarząd gości relacjonował: „Zawodnicy K.S. Chrobry po meczu napastowali naszego zawodnika Matysioka za rzekome obelżywe odezwanie się pod adresem ślązaków. Dla wyjaśnienia komunikujemy, że ob. Matysiok, jak zresztą 70% naszych zawodników, jest ślązakiem, urodzonym i wychowanym na Śląsku, więc siłą rzeczy nie mógł on pod swoim i swoich najbliższych adresem wyrażać się obelżywie”.

„Ty pierońska świnió”

Zdarzały się poważniejsze incydenty. Zawodnik RSK kopalnia Mikulczyce, Józef Wiśniowski, po spotkaniu z zespołem RKS Huta w Zabrze został zatrzymany przez Milicję Obywatelską. Sprawą zainteresował się Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Zabrzu. Gracz ten miał nazwać swojego przeciwnika, zawodnika Magierę, obelżywym „ty polska świnió”. Sam zainteresowany upierał się, że powiedział „ty pierońska świnió”. Szczęśliwie, po przeprosinach, sprawa rozeszła się po kościach.

Po spotkaniu w bytomskim Bobrku pomiędzy miejscowym KS Sparta (autochtoni) a gliwickim Robotniczym KS PZS (kresowiaci, po fuzji stał się Piastem Gliwice) grupa wyrostków obrzuciła kamieniami wóz ciężarowy, którym drużyna gości wraz z arbitrem udawała się w drogę powrotną. Dwoch najmłodszych udało się złapać; znamy ich dokładne dane osobowe, podobnie jak dwóch innych wskazanych przez nich na komendzie. Przebieg zdarzeń był dość dramatyczny: „Z zeznań złożonych przez nich na M.O. wynikało, że grupa osobników w czasie meczu na boisku Sparty obok bramkarza Sparty zmówiła się, że po meczu zjedzą na boisko, by kamieniami pobić graczy i kibicy z Gliwic (...). Obaj wyżej wymienieni namawiali chłopaków przez nas przetrzymanych by obrzucili samochód kamieniami a specjalnie celowali w szoferkę, bo jak zabijają szofera, to auto się wywróci i wszyscy się pozabijają. Skutkiem rzuconych kamieni na wozie naszym został zraniony jeden pracownik i jeden gracz”.

Naturalnie nie każde awanturnicze zachowanie należy kojarzyć z sentymentami etnicznymi czy narodowościowymi, niemniej silne emocje towarzyszące piłkarskiej rywalizacji z pewnością pomagały w ich uwalnianiu. ■

Mariusz Kowoll

– pracownik Politechniki Śląskiej, z zamiłowania historyk górnośląskiej piłki nożnej



Zbigniew Gołasz

Każdy to powie: czternastokrotni mistrzowie!

Z piętnem dwóch totalitaryzmów... Przez lata użytkował obiekt sportowy, który nosił imię wodza III Rzeszy Adolfa Hitlera. Narodziny klubu były ściśle związane z tzw. zjednoczeniem bratnich partii, czyli Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, a *de facto* likwidacją pluralizmu partyjnego na polskiej scenie politycznej. Eufemistyczne „zjednoczenie” oznaczało bowiem likwidację ostatniej siły politycznej, która mogła przeciwstawić się sowietyzacji kraju.

Jak to jednak czasem bywa, np. w przypadku jednej z niemieckich marek samochodowych, nie każdy produkt totalitarnego systemu okazał się zły. Klub osiągnął międzynarodowy sukces, zanim uczyniła to polska reprezentacja Kazimierza Górskiego, i zyskał tysiące sympatyków. Jego kibice zamieszkują na terenie całego kraju oraz poza jego granicami. Wśród nich znajdują się Krystyna Loska, Lukas Podolski, Adam Małysz, Czesław Moził czy nieodżałowany prof. Zbigniew Religa. Górnik stał się symbolem sukcesu. O piłkarzach z Zabrza śpiewały gwiazdy popkultury: Skaldowie, Anna German, Stachurski. I choć drużyna piłkarska ostatni sukces osiągnęła blisko 30 lat temu, moda na kibicowanie Górnikowi nie minęła. To prawdziwy fenomen i interesujące zjawisko socjologiczne. Gdzie leżą jego źródła?

Tradycje sportowe w Zabrzu i sukcesy klubowe sięgają jeszcze czasów niemieckich. Istniało wówczas wiele klubów i towarzystw sportowych reprezentujących różne dyscypliny sportu, w tym piłkę nożną. W 1928 roku Sport Club Preussen Zaborze zdobył tytuł mistrza Górnego Śląska w piłce nożnej, a rok później zakwalifikował się do finałów rozgrywek o mistrzostwo Niemiec. W nowej rzeczywistości, jaka nastała w Zabrzu po 1945 roku, utworzono kilka nowych polskich klubów sportowych, w tym Pogoń, Zjednoczenie, Concordię, Skrę i Zabrze. Na fali wspomnianego już kongresu grudniowego cały kraj ogarnięty został szaleństwem zjednoczeniowym. Łączono organizacje, zespoły teatralne, a także kluby sportowe. Jak donosiła ówczesna prasa: „Zamiast 5 klubów małych Zabrze będzie miało największy klub sportowy w Polsce – GZKS Górnik”.

Pierwsze sukcesy

Utworzony klub liczył początkowo 12 sekcji skupiających kilka tysięcy członków czynnych i wspierających! Do ważniejszych dyscyplin w klubie zaliczały się: piłka nożna, lekkoatletyka, pływanie, boks, gimnastyka, piłka ręczna, tenis i tenis stołowy. Z czasem powstało jeszcze więcej sekcji, których w szczytowym momencie było aż 21, w tym: szachy, hokej, koszykówka, podnoszenie ciężarów, kolarstwo, piłka wodna i brydż, a nawet narciarstwo.

Największe sukcesy, obok futbolistów, odnotowali lekkoatleci. Niewątpliwie wpływ na to miała wyśmienita, stworzona jeszcze w czasach niemieckich, a potem rozwijana infrastruktura. Jak informowała w 1948 roku prasa, nowo powstały klub dysponował „wszelkimi urządzeniami sportowymi, łącznie z pięknym miejskim stadionem”. Areną klubu stał się Stadion Miejski, wybudowany jeszcze przed wojną, oddany do użytku 2 września 1934 roku. Znajdowało się na nim boisko piłkarskie o wymiarach 70 x 105 m, pięciorowerowa bieżnia o długości 400 m, sześciotorowa bieżnia do biegów na 100 m i 110 m przez płotki, skocznie do skoku w dal, wzniesienie i o tyczce, stanowiska do pchnięcia kulą, rzutu dyskiem i młotem. Obiekt mógł pomieścić 25 tysięcy kibiców. Dysponował krytą trybuną na dwa tysiące miejsc siedzących. Oprócz tego obok znajdowały się korty tenisowe oraz nowoczesny basen, zwany „Frizokiem”.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. W 1949 roku pierwszy tytuł mistrzowski dla Górnika wywalczył bokser Maksymilian Grzywocz, otwierając pasmo sukcesów klubu. W 1950 roku Górnik wywalczył tytuł mistrzowski w lekkoatletyce (Henryk Praski w rzucie dyskiem). W następnych latach lekkoatleci wielokrotnie zdobywali tytuł mistrza Polski, a w latach 70. sekcja dominowała w kraju, wygrywając wielokrotnie ligę. Zawodnicy odnosili sukcesy na arenie międzynarodowej. Mistrzostwem olimpijskim poszczycić się mogą dwukrotny mistrz Europy Józef Szmidt (w trójskoku), Halina Górecka (sztafeta 4x100 m), Tadeusz Ślusarski (skok o tyczce). Edward Sarul zdobył tytuł mistrza świata w pchnięciu kulą, a Jerzy Chromik tytuł mistrza Europy w biegu na 3000 metrów z przeszkodami.

Tytuły zdobywali też pływacy, którzy w 1954 roku zostali drużynowym mistrzem Polski. Sukcesami mogła się też poszczycić sekcja zapaśnicza. Tytuły mistrzowskie wywalczyli Ryszard Ścigalski, Jan Żalobny i Jerzy Kotowicz. Mistrzostwo w podnoszeniu ciężarów zdobywali Józef Kaczmarczyk i Rudolf Kozłowski.

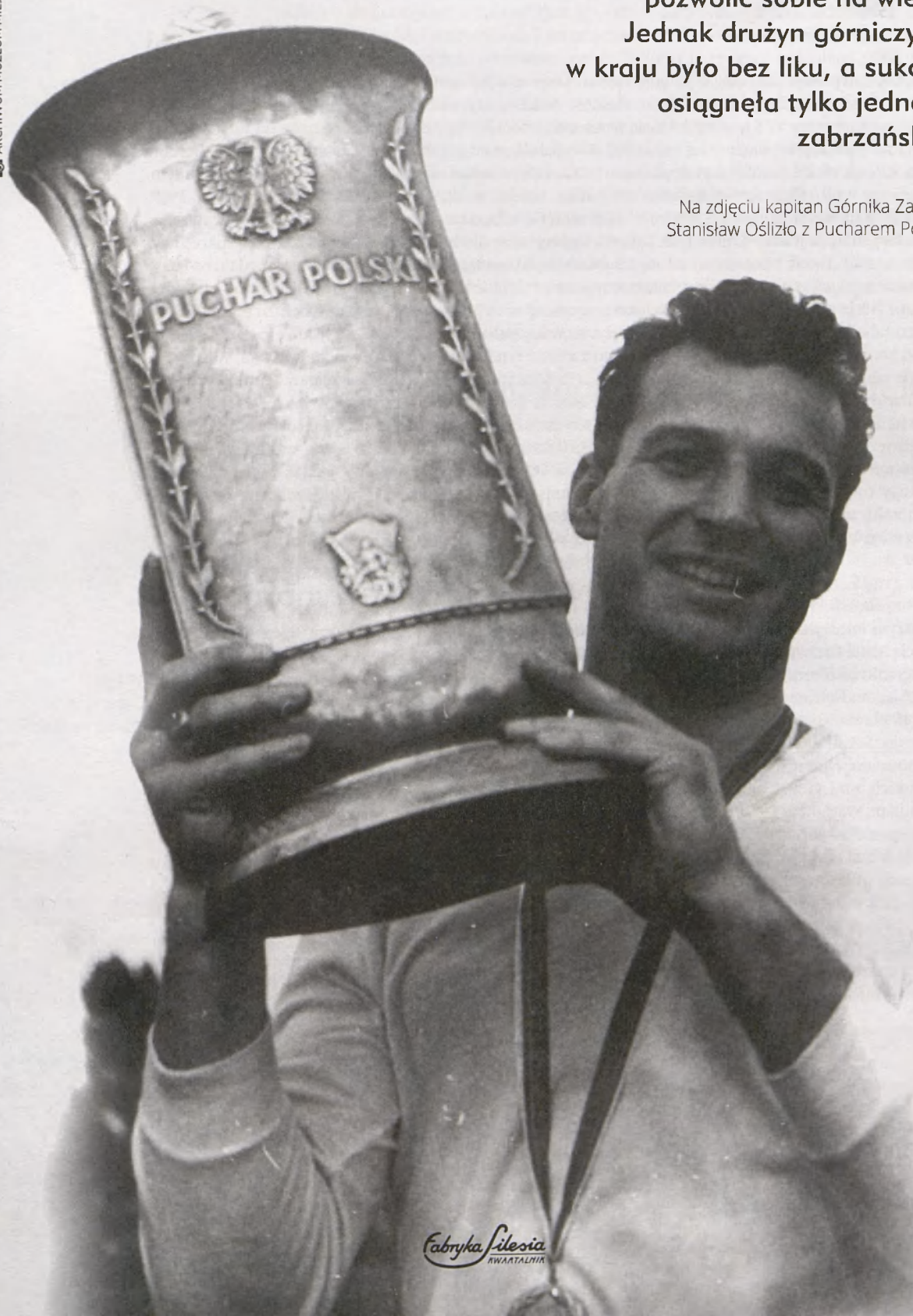
Największy skarb – ludzie

Prawda, że klub finansowany przez wiodący sektor gospodarki, jakim było górnictwo, mógł pozwolić sobie na wiele. Jednak drużyn górniczych w kraju było bez liku, a sukces osiągnęła tylko jedna – zabrzańska. Największym kapitałem klubu byli bowiem ludzie. Oczywiście nie ci z partyjnego nadania – przodownicy pracy czy partyjni bonzowie, chętnie wytykani klubowi przez rywali (choć sami w swych szeregach mieli podobnych działaczy – *vide* Szlomo Morel w Ruchu Chorzów), ale działacze i zawodnicy, którzy ciężko pracowali na jego sukces. Wśród tych pierwszych byli m.in.: Julian Gajdzicki, Andrzej Michniewski, Eryk Wyra, Hubert Gralkam i Jan Czech.

Żaden klub piłkarski w Polsce nie może poszczycić się taką plejadą gwiazd, jak właśnie Górnik Zabrze: Zygmunt Anczok (uznawany za najwybitniejszego lewego obrońcę w historii polskiej piłki), Jan Banaś,

Klub finansowany przez
wiodący sektor gospodarki,
jakim było górnictwo, mógł
pozwolić sobie na wiele.
Jednak drużyn górniczych
w kraju było bez liku, a sukces
osiągnęła tylko jedna –
zabrzańska.

Na zdjęciu kapitan Górnika Zabrze
Stanisław Ośliżło z Pucharem Polski.



Jerzy Brzęczek, Ryszard Cyroń, Alojzy Deja, Stefan Floreński, Ginter Gawlik, Jan Gomola, Jerzy Gorgoń, Tomasz Hajto, Andrzej Iwan, Jan Kowalski, Hubert Kostka, Roman Lentner, Henryk Latocha, Włodzimierz Lubański, Waldemar Matysik, Jerzy Musiałek, Alfred Olek, Stanisław Oślizło, Andrzej Szarmach, Ernest Pohl, Zygfryd Szołtysik, Jan Urban, Henryk Wiecek czy wreszcie ostatnio Arkadiusz Milik – to nazwiska znane każdemu kibicowi na Śląsku i w Polsce. A przecież nie wymieniliśmy wszystkich.

Kostka i inni

Górnik aż czternaście razy sięgał po mistrzostwo kraju w piłce nożnej, a sześciokrotnie zdobywał Puchar Polski i jako jedyna drużyna zdobył go na własność. Sukcesy, oczywiście, nie przyszły od razu. Były efektem systematycznej pracy. W ligowym debiucie w sezonie 1955/1956 Górnik pokonał chorzowski Ruch 3:1. Tak zaczęła się wielka rywalizacja, trwająca do dziś. Toczące się od lat pojedynki zyskały miano Wielkich Derbów Śląska. Górnik zdołał dogonić utytułowanego rywala, który sukcesy odnosił już w okresie międzywojennym.

Pierwszy tytuł zabrzanie świętowali w 1957 roku. Kolejne w 1959, 1961, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1971 i 1972 roku. Potem nastąpił regres. W 1978 roku Górnik po raz pierwszy opuścił I ligę. W kolejnych latach zdarzyło się to jeszcze dwukrotnie. Lata 80. to drugi złoty okres drużyny piłkarskiej. Twórcą sukcesu był Hubert Kostka „Farorz”. Ten utalentowany bramkarz, reprezentant Polski, zdobywca złotego medalu na igrzyskach olimpijskich w Monachium, ośmiokrotny mistrz Polski w barwach Górnika i sześciokrotny zdobywca Pucharu Polski trenerską przygodę z Górnikiem rozpoczął w 1976 roku. Po początkowych sukcesach, w 1977 roku został odwołany. W efekcie Górnik pograżył się w kryzysie, który zakończył się spadkiem do II ligi.

Pod koniec 1983 roku, mający na koncie mistrzowski tytuł zdobyty z Szombierkami Bytom, Kostka ponownie pojawił się w klubie w roli trenera. W 1985 roku klub po latach zdobył kolejny tytuł, rywalizując do ostatniej kolejki z Legią Warszawa. Notabene Hubert Kostka jest rekordzistą w liczbie meczów ligowych w roli trenera Górnika (136) oraz zwycięstw jako trener (67). Dominacja Górnika została potwierdzona w kolejnych sezonach jeszcze trzykrotnie (1986, 1987, 1988). W 1994 roku Górnik po raz ostatni miał szansę zdobyć mistrzowski tytuł. W decydującym meczu w Warszawie sędzia pozbawił jednak zabrzan złudzeń, pokazując trzy czerwone kartki. Legia zwycięsko zremisowała z grającym w ósemkę Górnikiem, który pozostał moralnym zwycięzcą tego meczu. Jednak sławę i sympatię w całym kraju przyniosły klubowi sukcesy na arenie międzynarodowej.

Na arenie międzynarodowej

Pierwszym międzynarodowym meczem towarzyskim rozegranym przez „górników” był pojedynek z reprezentacją Armii Czerwonej w 1949 roku, przegrany przez zabrzan 2:4. W 1955 roku Górnik wyjechał na pierwsze zagraniczne tournée – do ZSRR. Rozegrał mecze z Szachtarem Donieck oraz Zenitem Leningrad. Niestety, bez sukcesów. Kolejne tournée po ZSRR miało miejsce w 1967 i 1968 roku.

W 1959 roku Górnik rozgrywał mecze w Niemczech Zachodnich, remisując z Werderem Brema 4:4 oraz pokonując Schalke 04 2:1. Klub zdobywał doświadczenia w meczach międzynarodowych, które zaowocowały wkrótce dobrymi rezultatami w rozgrywkach pucharowych. Pod koniec lat 60. zaczął bywać na Wyspach Brytyjskich, rozgrywając mecze towarzyskie z Aberdeen, Aston Villa, Coventry, Falkirk, Hibernian, Heart of Midlothian, Watford FC. W 1971 roku Górnik rozegrał mecz z połączoną reprezentacją Realu Madryt, Barcelony, Espanioli i CF Elche. Rok ten zakończył się wyjazdem do Karwiny.

Górnik brał udział w licznych egzotycznych turniejach w Ameryce Północnej i Południowej. W 1963 roku zabrzanie dotarli do półfinału Interligi (American Cup), ulegając w dwumeczu West Ham Utd 1:1, 0:1. W 1968 roku Górnik wziął udział w turnieju heksagonalnym w Ameryce Południowej, zdobywając to trofeum. W 1969 roku zabrzanie po raz kolejny, w przerwie między rozgrywkami, udali się na tournée po Ameryce Południowej i Środkowej. W trakcie 46 dni drużyna rozegrała 13 spotkań towarzyskich: sześć w Kolumbii, trzy w Ekwadorze i cztery w Kostaryce. Pierwsze trzy mecze w Kolumbii rozgrywane były o Puchar Bogoty, w którym zabrzanie zajęli drugie miejsce. Na kolejne tournée po Ameryce Górnik wyjechał w 1970, 1973 i 1983 roku.

Wielka przygoda

Popularność piłkarzom z Zabrza przyniosły spotkania pucharowe. Premierowy mecz w europejskich pucharach rozegrany w 1961 roku zakończył się sensacyjnym wynikiem. Górnik pokonał mistrza Anglii Tottenham Hotspur 4:2. W rewanżu tydzień później lepsze były „Koguty”, które wygrały z Górnikiem aż 8:1. Szlak został jednak przetarty.

W kolejnych odsłonach pucharowych Górnik mierzył się z takimi firmami, jak: Austria Wiedeń, Dukla Praga, Sparta Praga, Göztepe Izmir, Dynamo Kijów, Manchester United, Glasgow Rangers i Levski Sofia. W 1963 roku na spotkanie Górnika z Austrią Wiedeń na Stadion Śląski przybyło 110 tysięcy ludzi – to rekord niepokonyty do dziś. Kraj ogarnęła górnikomania. W szarej rzeczywistości PRL sukcesy drużyny cieszyły wszystkich. Cała Polska kibicowała „chłopcom z Zabrze” (jak śpiewali o piłkarzach Górnika Skaldowie). Ci zaś jako jedyna polska drużyna dotarli po emocjonujących spotkaniach, zakończonych legendarnym, nierozstrzygniętym trójmeczem z AS Roma (zwycięzcę wyloniono rzutem monetą – w tym czasie regulamin nie przewidywał dogrywki ani rzutów karnych) do finałów europejskich pucharów. Na stadionie w Wiedniu zabranie ulegli jednak Manchesterowi City 2:1, a jedyną bramkę dla Górnika zdobył kapitan drużyny, Stanisław Ośliżko. Piłkarz, który z klubem związany jest do dziś. Rok później w kolejnym dramatycznym trójmeczu zmarnowana została szansa na rewanż. Po zwycięstwie 2:0 i porażce 0:2 Górnik został pokonany przez Manchester w trzecim meczu ćwierćfinałowym PEZP 3:1.

Po latach regresu, w latach 80., dzięki Hubertowi Kostce i jego drużynie Górnik powrócił na europejskie stadiony, rozgrywając mecze z Bayernem Monachium, Glasgow Rangers, Olympiakosem Pireus, Anderlecht Bruksela, Juventusem Turyn, Hamburgerem S.V., Admirą-Wacker Wiedeń, nie osiągając, niestety, znaczących sukcesów. Choć w pamięci kibiców na długo pozostanie dwumecz z Realem i niedosyt po przegranej w Madrycie. Sukces wydawał się być na wyciągnięcie ręki...

Zagraj, zagraj jak za dawnych lat!

Obecnie Górnik przeżywa ciężkie chwile i jest cieniem potęgi z lat 60. czy 80. Z 21 sekcji pozostały... dwie. Klub boryka się z problemami finansowymi. Drużyna piłki nożnej gra ze średnim skutkiem o awans do ekstraklasy. Jednak moda na kibicowanie Górnikowi nie przeminęła.

Sympatycy klubu mieszkają nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce i w Niemczech. Na spotkanie z Hubertem Kostką, które prowadziłem w 2014 roku w Zabrzu, przyjechali specjalnie sympatycy Górnika z Warszawy. Są mecze, podczas których kibice są w stanie wypełnić po brzegi stadion, śpiewając z nadzieją na powrót legendy: „Zagraj, zagraj jak za dawnych lat!”. To wielki kapitał na przyszłość, którego władze klubu nie powinny zmarnować. Potrzebny jednak jest sukces, którego, niestety, jak na razie na horyzoncie nie widać. ■

W 1966 roku Górnik
w nagrodę za mistrzostwo
Polski otrzymał nowy autokar.

Zbigniew Gołasz

– historyk, pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach, współautor wystaw *Góra Górnika!*
60 lat legendy oraz Każdy to powie: czternastokrotni mistrzowie! Górnik Zabrze 1948-2013



Dawid Smolorz

Gwiazda

3 lipca 1974 roku. Frankfurt nad Menem. W meczu o awans do finału piłkarskich mistrzostw świata mierzą się reprezentacje Niemiec Zachodnich i Polski. Spotkanie toczy się w strugach ulewnego deszczu. To bardziej piłka wodna niż futbol. Ale w 43. minucie Janowi Banasiowi udaje się przedrzeć przez ogromne kałuże i niemiecką defensywę. Strzałem nie do obrony pokonuje Seppa Maiera i daje prowadzenie biało-czerwonym. Nie oddają go już do końca meczu. W finale czeka na nich Holandia. Ostatni z wątków to oczywiście fikcja.

Za karę

Czy mógł się tego spodziewać? Być może. Dwa lata wcześniej przeżył podobne rozczarowanie, kiedy po udanych eliminacjach olimpijskich nie został powołany do kadry na igrzyska w Monachium, gdzie biało-czerwoni zdobyli złoty medal. Obie sportowe imprezy, tę z 1972 i tę z 1974 roku, łączyło miejsce ich rozgrywania: Republika Federalna Niemiec. PRL-owskie władze ukarały w ten sposób Jana Banasia za to, że kilka lat wcześniej – w mniemaniu komunistycznego państwa nielegalnie – pozostał w RFN. I choć już po powrocie do Polski był z Górnikiem Zabrze nad Renem i Łabą, na olimpiadę i na mistrzostwa świata nie wolno było mu pojechać. Polityczni decydenci i działacze Polskiego Związku Piłki Nożnej nie obawiali się więc, że piłkarz po raz kolejny będzie chciał spróbować szczęścia w tak nie lubianej przez nich Republice Federalnej. Zakaz miał być po prostu bolesną karą. I był. Tak bolesną, że Jan Banaś do dziś myśli o obu tych światowych imprezach jako o wielkich sportowych szansach, których pozbawiło go komunistyczne państwo.

Nadzieja i rozczarowanie

Ale zacznijmy od początku. W 1964 roku młody skrzydłowy bytomskiej Polonii, który pierwsze szlify zdobywał w barwach AKS-u Mikołów i Zrywu Chorzów, przebojem wdzierając się do reprezentacji Polski. Wtedy jeszcze nazywa się Banas. Kreseczka nad „s” zostanie mu dopisana dopiero po powrocie z Niemiec. Już w drugim meczu w kadrze strzela bramkę. Jego nazwisko coraz częściej pojawia się także w zagranicznych mediach.

W końcu wieść o utalentowanym chłopaku z Górnego Śląska dociera do bawarskiego miasta Hof, gdzie mieszka ojciec piłkarza. Przez ponad 20 lat nie kontaktował się z synem. Rodzice piłkarza poznali się w czasie wojny, lecz ich związek nie przetrwał. Rozstali się jeszcze w 1943 roku, krótko po urodzeniu się syna. W dzieciństwie mały Heinz, bo takie właśnie imię widnieje w metryce zawodnika i tak zwracali się do niego najbliżsi, modlił się

za ojca w przekonaniu, że ten zginął, czy też zginął na wojnie. Jak się okazało, rodzic nie tylko przeżył, ale i miał wobec syna poważne plany.

W listach słanych na Śląsk nalega na spotkanie. Już wkrótce nadarza się okazja. Jesienią 1966 roku Banaś wraz ze swoim klubem przebywa w Szwecji. W hotelu w Göteborgu, w którym zakwaterowano drużynę, pojawia się jego ojciec i roztacza przed nim wizję fantastycznej kariery w Niemczech. Młody zawodnik widzi go po raz pierwszy w dorosłym życiu, lecz postanawia mu zaufać. To spontaniczna decyzja, którą sam określi potem jako nieprzemyślaną. Ale w końcu komu ufać, jeśli nie ojcu. Jeszcze tego samego dnia wraz z dwójką klubowych kolegów, także zainteresowanych grą na Zachodzie, pakuje walizkę i wsiada do auta ojca. Ruszają do Niemiec.

Rzeczywistość szybko rozmija się z oczekiwaniami. Obietnica wspaniałego kontraktu to mrzonka. Ojciec niewiele może załatwić. Poza tym w nieuczciwy sposób próbuje zagwarantować sobie udziały w przyszłych zarobkach syna. Banaś przeżywa potężne rozczarowanie. Po dwóch miesiącach opuszcza Bawarię i udaje się do Kolonii, ponieważ interesuje się nim FC Köln. Ale nawet działacze tego jednego z najsilniejszych wówczas klubów Bundesligi nie są w stanie zmienić decyzji UEFA i FIFA. Na piłkarzu ciąży dwuletni zakaz gry. Trenuje z drużyną, ale w oficjalnych spotkaniach nie może wystąpić. To go deprymuje, czuje, że marnuje czas. Jedynym wyjściem wydaje się być powrót do Polski. Jednak kompletnie nie wie, co go tam może czekać. Gdyby nie był piłkarzem, lecz zwykłym zjadaczem chleba, sprawa byłaby jasna: trafiłby do więzienia. Pragnienie gry w piłkę jest silniejsze niż obawy. Nawiązuje kontakt z władzami klubu z Bytomia. Stamtąd przychodzi sygnał, że może wracać. Choć do końca nie dowierza, postanawia zaryzykować. Ponad rok od göteborgskiej ucieczki pakuje samochód i rusza w stronę Polski.

Bramka widmo

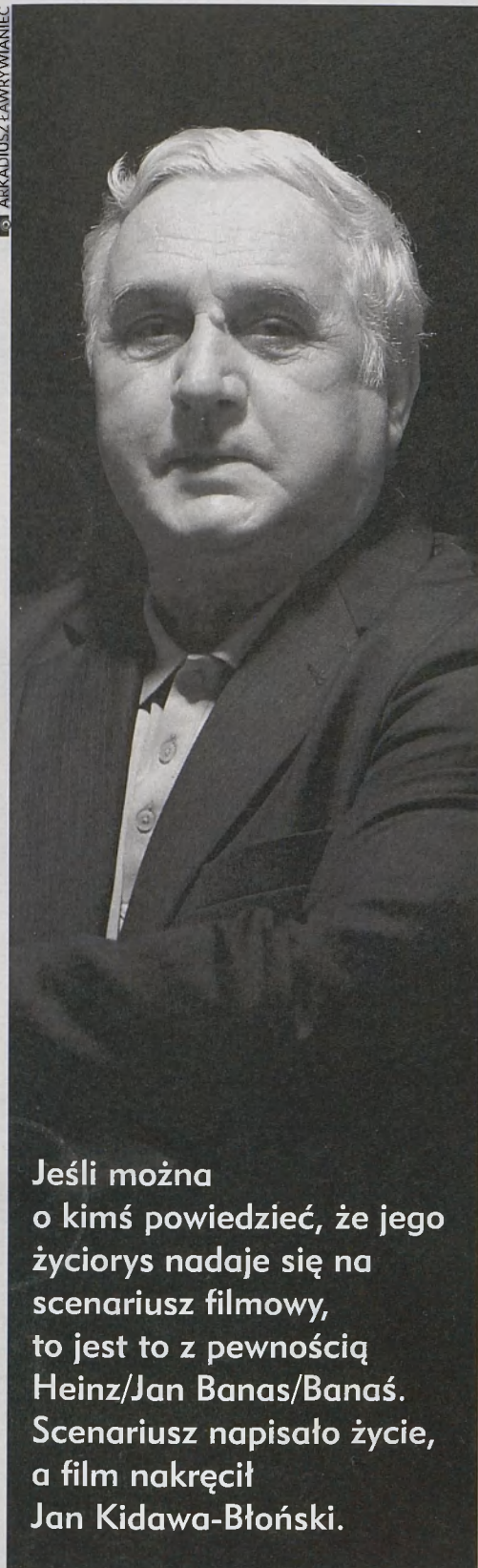
Do więzienia nie trafia. Krótco po przyjeździe na Śląsk ma stawić się u Jerzego Ziętka, wysokiego funkcjonariusza partii, wówczas przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Słyszy od niego, żeby się nie przejmował i skoncentrował teraz na grze dla Polonii i reprezentacji. Banaś uspokaja się. Od tej chwili wie, że nie grożą mu bezpośrednie szkany. Szybko odzyskuje dawną pozycję w klubie. Koledzy dobrze go przyjmują. Kibice na początku trochę dokuczają. Dobra gra w lidze po raz drugi otwiera mu drzwi do kadry narodowej. PZPN nie kocha Banasia, ale ugina się pod presją opinii publicznej. Sportowi specjaliści widzą, że zawodnik nic nie stracił ze swych walorów. Wręcz przeciwnie. Profesjonalny trening w FC Köln wyszedł mu na dobre. Do świetnej techniki, która była wizytówką piłkarza, doszła teraz jeszcze siła fizyczna. Jest w stanie grać dwa mecze z rzędu.

Jak na ironię Jan Banaś wyróżnia się w eliminacjach do obu imprez, na które ostatecznie nie jedzie. W meczu z Bułgarią w maju 1972 roku, decydującym o awansie do igrzysk w Monachium, reprezentujący już wtedy barwy zabrzańskiego Górnika zawodnik strzela dwie bramki. Z kolei w historycznym, zwycięskim meczu Polski z Anglią w Chorzowie w czerwcu 1973 roku zdobywa jednego z dwóch goli. Bez tej wiktarii późniejszy remis na Wembley nie dałby biało-czerwonym awansu do mistrzostw świata. Co ciekawe, bramka strzelona Anglikom przez piłkarza z Górnego Śląska została później przypisana Robertowi Gadosze ze stołecznej Legii. I kibice na stadionie, i komentujący ten mecz w telewizji Jan Ciszewski, i dziennikarze śląskiej prasy nie mieli wątpliwości: strzelcem gola w ich przekonaniu był Jan Banaś. Także dostępny dziś w internecie materiał video pokazuje to w dosyć jednoznaczny sposób. Mimo to w oficjalnych statystykach strzelcem pozostaje Gadocha. Kto wie, czy nie był to kolejny element zemsty warszawskich działaczy PZPN na „zdrajcy socjalistycznej ojczyzny”.

O krok od pucharu

Na olimpiadę i mistrzostwa Banaś więc nie jedzie. Ale ograniczenia w podróżowaniu nie obowiązują go jako piłkarza Górnika. Na początku lat 70. klub z Zabrze gra pierwsze skrzypce w ekstraklasie i jest liczącą się siłą w europejskich pucharach. Kostka, Gorgoń, Lubański, Oślizło, Szołtysik – to nazwiska mówiące same za siebie. W sezonie 1969/70 górnośląska drużyna w pokonanym polu pozostawia m.in. Glasgow Rangers, Olympiakos Pireus i Lewskiego Spartaka Sofia.

Na trwale do historii polskiej piłki wpisuje się trójmecz horror z AS Roma, który na korzyść Górnika rozstrzyga dopiero rzut żetonem. Mając do wyboru zieloną lub czerwoną stronę żetonu, kapitan zabrzańskiego klubu, Stanisław Oślizło, wybiera tę pierwszą, gdyż... nie znosi komunizmu. Z 23 bramek, które trójkolorowi zdobywają w tej edycji Pucharu Zdobywców Pucharów, Banaś strzela pięć. 29 kwietnia 1970 roku górnośląska drużyna jest tam, gdzie ani wcześniej, ani później nie był żaden inny klub z Polski:



**Jeśli można
o kimś powiedzieć, że jego
życiorys nadaje się na
scenariusz filmowy,
to jest to z pewnością
Heinz/Jan Banas/Banaś.
Scenariusz napisało życie,
a film nakręcił
Jan Kidawa-Błoński.**

w finale europejskich rozgrywek pucharowych. Lecz wbrew oczekiwaniom dość gładko przegrywa z Manchesterem City 1:2. Nawet po z górą 45 latach Jan Banaś odczuwa niedosyt. Ten mecz z wielu względów Górnikowi nie wychodzi. Drużyna zbudowana przez uwielbianego w Zabrzu węgierskiego trenera Gezę Kalocsaya, ale prowadzona od wiosny 1970 roku przez Michała Matyasa, nie gra swojej piłki. Motywację obniża też nieco świadomość, że ogromnym sukcesem jest już sam awans do finału, i że nie zmieni tego nawet ewentualna porażka. Część piłkarzy czuje jeszcze w nogach trzeci mecz z Romą, od którego minęło zaledwie siedem dni. Wiedeń, gdzie odbywa się mecz, geograficznie oddalony jest od Zabrza jedynie o 370 kilometrów, ale faktycznie leży wówczas na innej planecie. Na planecie, która nazywa się „gospodarka rynkowa”. Piłkarze z pogrążonej w permanentnym kryzysie komunistycznej Polski muszą wywiązać się ze zobowiązań względem krewnych i znajomych i zrealizować długie listy zakupów. Jeszcze w dniu meczu biegają po sklepach. Za późno zaczynają myśleć o Manchesterze. Grają na 50 procent swoich możliwości. Podróż powrotna upływa w minutowych nastrojach. Do zawodników powoli dochodzi, że ten mecz mógł skończyć się całkiem inaczej.

Jak z filmu

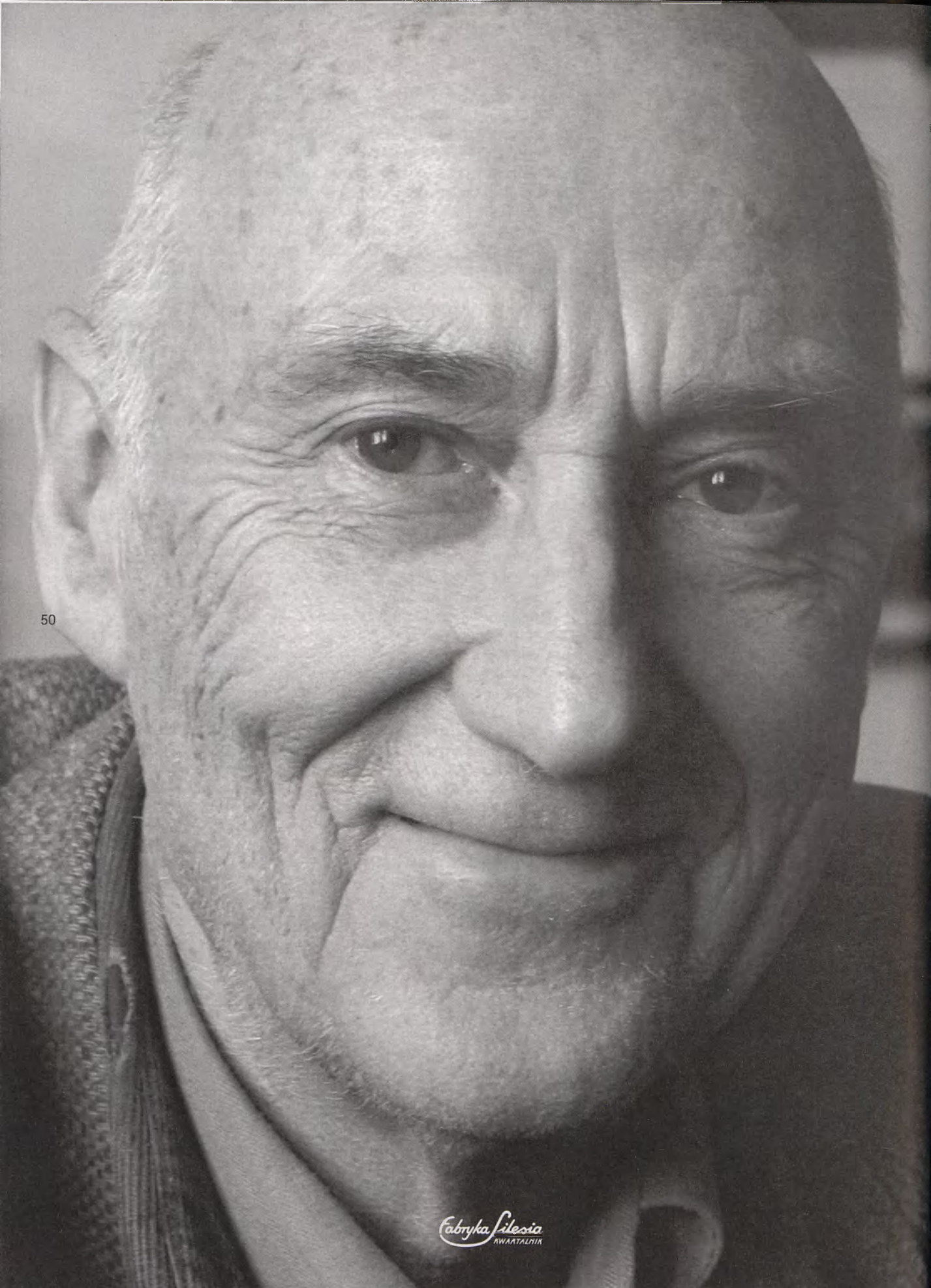
Z klubem z Zabrza Jan Banaś dwukrotnie świętuje mistrzostwo Polski, a trzykrotnie Puchar Polski. Także w krajowych rozgrywkach nie brakuje emocji piłkarskich i pozapiłkarskich. Banaś lubi Wielkie Derby z Ruchem, szczególnie te rozgrywane przy kilkudziesięciotysięcznej widowni na Stadionie Śląskim. Lubi ogłuszający doping, który potrafi porwać drużynę. Wyczekuje także meczów z Legią w Zabrzu. A to dlatego, że drużyna z Warszawy przekonana jest o swej wielkości (jak widać – czas mija, lecz pewne rzeczy pozostają niezmiennie).

Ale na Roosevelta goście ze stolicy przeważnie zbierają „łanie”. Przeżyć innego typu dostarczają natomiast spotkania w Sosnowcu. O ile w czasach Banasia w meczach z Zagłębiem na boisku może być tylko jeden zwycięzca – Górnik – poza nim dochodzi do sytuacji niespotykanych wtedy w polskiej ekstraklasie. Obiektem agresji kibiców ze wschodniego brzegu Brynicy bywają piłkarze. Autobus, którym podróżuje zabrzański zespół, dwukrotnie zostaje w Sosnowcu obrzucony cegłami. Piłkarze ratują zdrowie, kładąc się na podłogę.

W 1975 roku Banaś kończy grę w Górniku. Najpierw występuje w polonijnych klubach w USA, potem w zawodowym Atlético Español z miasta Meksyk, który swe mecze rozgrywa na mieszczącym 130 tysięcy widzów Estadio Azteca. W Europie na dłużej zatrzymuje się we Francji. Do Polski na stałe wraca dopiero w latach 90. Jeśli można o kimś powiedzieć, że jego życiorys nadaje się na scenariusz filmowy, to jest to z pewnością Heinz/Jan Banas/Banaś. Scenariusz napisało życie, a film nakręcił Jan Kidawa-Błoński. Na rok 2017 zaplanowana jest premiera produkcji pt. *Gwiazdy*, inspirowanej historią człowieka, który jako chłopak kopał piłkę na podwórkach Mikołowa, Katowic i Chorzowa, a jako młody mężczyzna zdobywał bramki na największych stadionach świata. I podobnie jak życie Heinza/Jana, będzie to opowieść o zrealizowanym marzeniu o grze w piłkarskiej reprezentacji Polski, a także o życiowych zakrętach i wpływie polityki na sport w komunistycznej Polsce. ■

Dawid Smolorz

– publicysta, tłumacz z języka niemieckiego



Piotr Lachmann

Na śmierć piłkarza

bardziej od salw w Laskach
dotknął mnie link o śmierci Gerarda C.
umarł mój idol
bliski przestrzennie
a niedosiężny

ile meczów
ile snów po nich o sytuacjach podbramkowych
podaniach
i bramkach

tych jego słynnych politycznych goli
nie widziałem
widziałem inne
mniej huczne
ale niemniej
celne cenne

po latach widziałem go na zdjęciach
jako starszego pana
wkrótce potem sam
musiałem się zmierzyć
z tą niezwykłą rolą

ale pod powieką
został mi mały zwinny piłkarz
właśnie bliski
a niedosiężny

nie zazdrościłem mu
sławy
podziwiałem w nim
brak pychy

która tu w stolicy
jest cnotą
i kluczem do sukcesu

jego cnotą była
robota
nad piłką
i z piłką

nie wiem
czy pochowano go
z piłką między stopami

mógłby strzelić im bramkę
tym świętym i błogosławionym

znów młody jak wtedy
gdy patrzyłem na jego strzaly
i driblingi
na pudła
i trafienia

światło wiekuiste
bramki
niech mu świeci

51

Warszawa, 3 listopada 2013 r.

Piotr Lachmann

— poeta, tłumacz, eseista, twórca Lothe Lachmann Videoteatru „Poza”

Andrzej Grygierczyk

Odmienne stany nabożności



Mam do piłkarzy nabożny stosunek... Piękne, proste zdanie, nie moje, niestety. Oddaje te wszystkie uczucia, które od dzieciństwa żywiłem wobec tych, którzy w 22 biegają po boiskach za jedną piłką. I nie tylko wobec nich. Bo również przedstawiciele innych gier zespołowych. I lekkoatletów, i zapaśników, i dżudoków. Długo by wymieniać.

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

Podziw zawsze był ten sam, tym głębszy, im bardziej oddalało się w czasie marzenie z dzieciństwa, by poczuć to coś, co może poczuć wyłącznie sportowiec zmierzający z szatni na wypełnioną dziesiątkami tysięcy ludzi arenę. No ale ojciec kazał stawiać na naukę, czemu się podporządkowałem. Czy ja wiem, czy z dobrym skutkiem?

Pozostał mi więc ów „nabożny stosunek”. I radość, że ktoś nazwał to, czego sam nazwać nie umiałem. Ten ktoś to Wojciech Kuczok. Nie wiem, nie pytałem go nigdy, czy owa nabożność to w jego przypadku toczący się od dzieciństwa proces, czy też coś w rodzaju gwałtownego uderzenia piorunem, którego ślad zostaje na całe życie. Nieważne. Zrobił Kuczok potężną robotę, nazywając to coś, czego nigdy sam nazwać nie umiałem.

Szukając substytutu

W tych sportowych – wyczynowych – niespełnieniach człowiek szuka jakiegoś substytutu. Dane mi to bodaj było od samego dzieciństwa. Może coś w rodzaju instynktu albo podświadomości zadziało, kiedy w czasie moich uroczystości komunijnych zaproszony sąsiad zapytał mnie – tak chyba sąsiadom przy tego rodzaju okazjach naonczas wypadało – A kim ty chcesz być w przyszłości? Odpowiedziałem bez wahania: – Dziennikarzem sportowym. Lata później dowiedziałem się, że to fajny zawód, ale ta akurat specjalność to środowiskowy symbol obciachu. No bo to ci z ostatnich stron gazet. Kaleczący niemiłosiernie język polski. Z upodobaniem używający wojskowej retoryki. Intelktualnie tworzący gorszy sort wobec tych z pierwszych gazet (bo tacy bezrefleksyjni). Tylko bramki, punkty, sekundy się dla nich liczą. Nieoczytani, niezaznajomieni, w szczególny sposób osobni.

Doprawdy nie wiem, kto tak usilnie pracował nad tymi stereotypami. Czy sami dziennikarze sportowi, czy też ci specjaliści od pierwszych stron, którzy odreagowywali swoje stresy wywołane długoletnią pisaniną o plenach partyjnych i akcjach typu sznurek do snopowiązałki, co musiało narzucać jedynie słuszną, okrutną w swoich ograniczeniach kalkę językową? Oczywiście, byli klasyczni wyrobownicy, ale byli i mistrzowie, w czym człowiek w miarę szybko łapał rozeznanie i dobierał sobie lektury. Ot, chociażby Zbigniewa Dobrowolnego, Janusza Jelenia i Andrzeja Gowarzewskiego („Sport”), Krzysztofa Mętraka („Piłka Nożna”), Jerzego Zmarzlika (najpierw „Sport”, potem „Przegląd Sportowy”), Macieja Biegi („Sportowiec”). To tylko pierwsi z brzegu autorzy, którzy traktowali sport znacznie szerzej, głębiej, czyniąc to oczywiście w nienaganym języku polskim. I takie to były punkty odniesienia. W swoim czasie może i nabożnego stosunku.

„Sportu” nie czytaliście?

Ten decydujący moment, który wpłynął na moją przyszłość? Zdaje się, że rewanż w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów, pomiędzy Górnikiem Zabrze a AS Roma w 1970 roku. Mecz legenda. W pierwszym, rozegranym w Rzymie, padł remis 1:1, w drugim – po 90 minutach – wynik był identyczny, po strzale Włodka Lubańskiego w ostatniej minucie. W dogrywce znów każda z drużyn strzeliła po jednej bramce i było 2:2. Oszaleli ze smutku widzowie, przekonani, że Górnik odpadł, opuszczali stadion i tylko gdzieś tam odbywały się rozmowy, które wlewały nadzieję w serca. Sam jednego takiego wywodu podsłuchałem: „Będzie trzeci mecz, bramki w dogrywce nie liczą się podwójnie, co to – »Sportu« nie czytaliście?”.

Jak powszechna była wówczas niewiedza dotycząca regulaminu, świadczą słowa zmarłego niedawno piłkarskiego działacza Henryka Loski, męża wybitnej prezenterki telewizyjnej – Krystyny, i ojca dziennikarki – Grażyny Torbickiej. „Wpadłem po meczu do szatni Górnika, a tam grobowa cisza. Co wy? Co tu tak smutno! Gracie trzeci mecz!”. Ten odbył się niedługo później, w Strasburgu znów zakończył się wynikiem 1:1, a o awansie do finału rozgrywek zadecydował rzut monetą. To wtedy Jan Ciszewski wykrzyczał do mikrofonu swoje słynne zdanie: „Polska! Górnik! Sprawiedliwości stało się zadość”.

Alte kluczowe dla mnie, wówczas 15-latka, było w tym wszystkim zdanie owego, pewnego swych racji kibica: „Co to – »Sportu« nie czytaliście?”. Zdanie jak grom, zdanie jak przecucie, zdanie jak wytyczenie planu na przyszłość, moją przyszłość. Zwiastujące już bezpowrotne i wierne trwanie w nabożności wobec piłkarzy, wobec innych sportowców.

Zainteresowany? Tak!

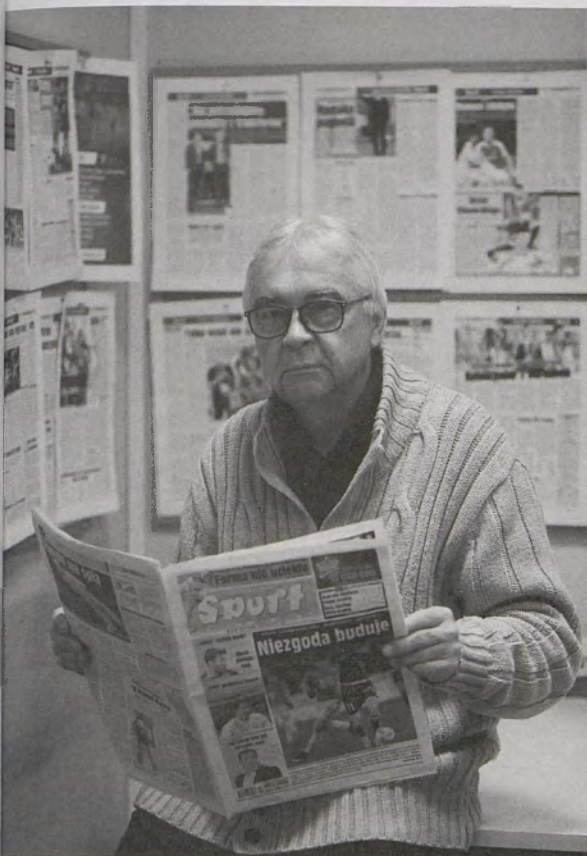
Choć i tak trochę przypadek tym rządził. Jest przedpołudnie, 5 kwietnia 1978 roku, głowa boli, mama serwuje jajecznice, litościwą, ale i pełną zrozumienia. Dzień wcześniej obroniłem pracę magisterską i poszedłem z kolegami tu, to tam. *Katzenjammer* wszechogarniający i oczywisty. W trakcie jajecznicy telefon. Kolega z roku, Tadek Gańczarczyk: „Słuchaj, jest robota w »Wieczorze«, w dziale sportowym. Jesteś zainteresowany?”. Jestem. Kilka godzin później przyjął mnie redaktor Stanisław Wojtek, zastępca naczelnego, który zresztą pamiętał mnie jeszcze ze studenckich zajęć. Decyzja zapadła szybko. I „skutkuje” od blisko 40 lat...

Od razu następuje zderzenie niespełna 24-latka z jego własną nabożnością: wielki Górnik Zabrze, który kilka lat wcześniej rozdawał karty w Polsce i był liczącą się siłą w Europie, spada z I ligi. A w nim: Zygryd Szołtyś, Jerzy Gorgoń, Józef Kurzeja, Edward Socha, Stanisław Gzil... Trzeba pojechać do Zabrza i napisać coś na kształt reportażu. Może „krajobraz po spadku”. Jak tu wyzbyć się emocji wobec jeszcze nie tak dawno idoli, a teraz obiektów zawodowych zabiegów, jak nie dać po sobie poznać, że twoja wiedza o piłce nożnej – wydawało się, że bezmierna – w gruncie rzeczy jest znikoma, jak tu wybrnąć warsztatowo z takiego zderzenia ze smutnymi, wściekłymi, popularnymi ludźmi? Wynik tego egzaminu wspominam raczej niechętnie. Pocięcha? Niewiele jest takich, którzy do swoich debiutanckich poczynań nie mają stosunku krytycznego.

Alte oczywiście autokrytycyzm jest przydatny, niezbędny wręcz. Zakładam, że m.in. dlatego dość szybko zamieniono etat stażowy na pełny, powierzano różne zadania, niekoniecznie ze sportem związane – wysłano nawet na trzytygodniowy rejs „Darem Pomorza”; był to przedostatni rejs tej jednostki, zanim stała się muzeum – wreszcie zaproponowano... przejście do „Sportu”, do działu piłkarskiego. Wydawało się, że osiągam pewność poruszania się w zawodzie i środowisku, i tę stabilizację, o której każdy dziennikarz może marzyć. Tylko że potem był 13 grudnia 1981 roku. Gdy tak spojrzeć z dzisiejszej perspektywy, po drodze były lepsze i gorsze lata, ale jak stan wojenny się rozpoczął, tak... trwa. Niech każdy interpretuje to, jak chce. Wylatywało się z pracy, wracało do niej, jakieś funkcje się pełniło, a potem było się odwoływanym, pisało się, nawiązywało coraz to nowe znajomości i przyjaźnie, wyjeżdżało za granicę...

CV z banałem

Tych kilka ostatnich słów powyżej chyba trąci banałem, CV bez specjalnych treści i emocji. A przecież człowiek otarł się, może nawet jakoś tam wtopił w tę społeczność, którą darzy nabożnością. Krążenie po Polsce z rozlicznych okazji, wyjazdy na rozmaite mistrzostwa świata i Europy, 6-krotna obecność na letnich igrzyskach olimpijskich – w 1980 roku, a potem po kolei od 1988 do 2004 roku, rozmaite medale „za zasługi i wkład” od Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Polskiego Związku Piłki Nożnej, Śląskiego Związku Piłki Nożnej, Polskiego Związku Zapaśniczego, Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów i inne okazjonalne – to wszystko jest świadectwem, że człowiek stał się częścią tych środowisk, że jakoś tam był ceniony, a jeśli nie ceniony, to przynajmniej dostrzegany.



Początek mojego zawodowego życia nakłada się na końcówkę sportowej potęgi Śląska i Zagłębia, jego schyłek na rozpaczliwe próby uratowania resztek dawnych przewag. Tak, w ujęciu symbolicznym, wyglądała końcówka „epoki socjalistycznej” i początek kapitalistycznej.

Cóż zresztą bardziej wartościowego dla dziennikarza („nieważne, czy źle, czy dobrze, byle po nazwisku”). Najcenniejsze jednak w tym są owe znajomości i przyjaźnie. Gdzie, w jakich innych okolicznościach byłoby mi dane poznać taką postać, jak Antoni Piechniczek, o którym śmiało można mówić – intelektualista futbolu? Albo każdego dnia dostrzegać, jakim gigantem, pod każdym względem, jest największy trener w historii polskich zapasów – Stanisław Krzesiński. Albo mierzyć się z osobowością, mądrością, dowcipem Zdzisława Podedwornego?

Wspominałem wcześniej o nieustającym stanie wojennym. Reflektując się – może to nie stan wojenny, a po prostu kawałek zwyczajnego życia? Pomaga w takim określeniu świadomość, że miało się do czynienia z ludźmi sportu, którzy bez przerwy byli na huśtawce, nieporównywalnej do tej, na której bywają „zwykli ludzie pracy”. Przegrywali małe i wielkie walki, a potem je wygrywali. Wchodzili w wielki świat, a potem z niego odchodzili, jak nie z przyczyn wiekowych, to sportowych. Obserwowało się fantastyczne wejścia i bolesne upadki, klasycznego staczania się nie wyłączając.

Śląsk i Zagłębie były zresztą świetnymi polami do obserwacji i opisywania. Byłem naocznym świadkiem triumfów piłkarskiego Ruchu Chorzów, koszykarskiego i hokejowego Zagłębia Sosnowiec, siatkarskiego Płomienia Miłowice, piłkarek ręcznych AKS-u Chorzów i Ruchu Chorzów... Fantastycznych osiągnięć zapaśników GKS-u Katowice i Siły Mysłowice, dżudoków Czarnych Bytom. Niektóre z nich – ze względu na międzynarodowy wymiar – na zawsze przeszły do historii polskiego sportu. I byłem świadkiem upadków tych klubów, a nawet znikania ze sportowej mapy Polski. Z tym większą sympatią patrzę na wysiłki zmierzające do ich wydobycia z niebytu, mniej lub bardziej udane.

55

Przyszłość? Diabli wiedzą

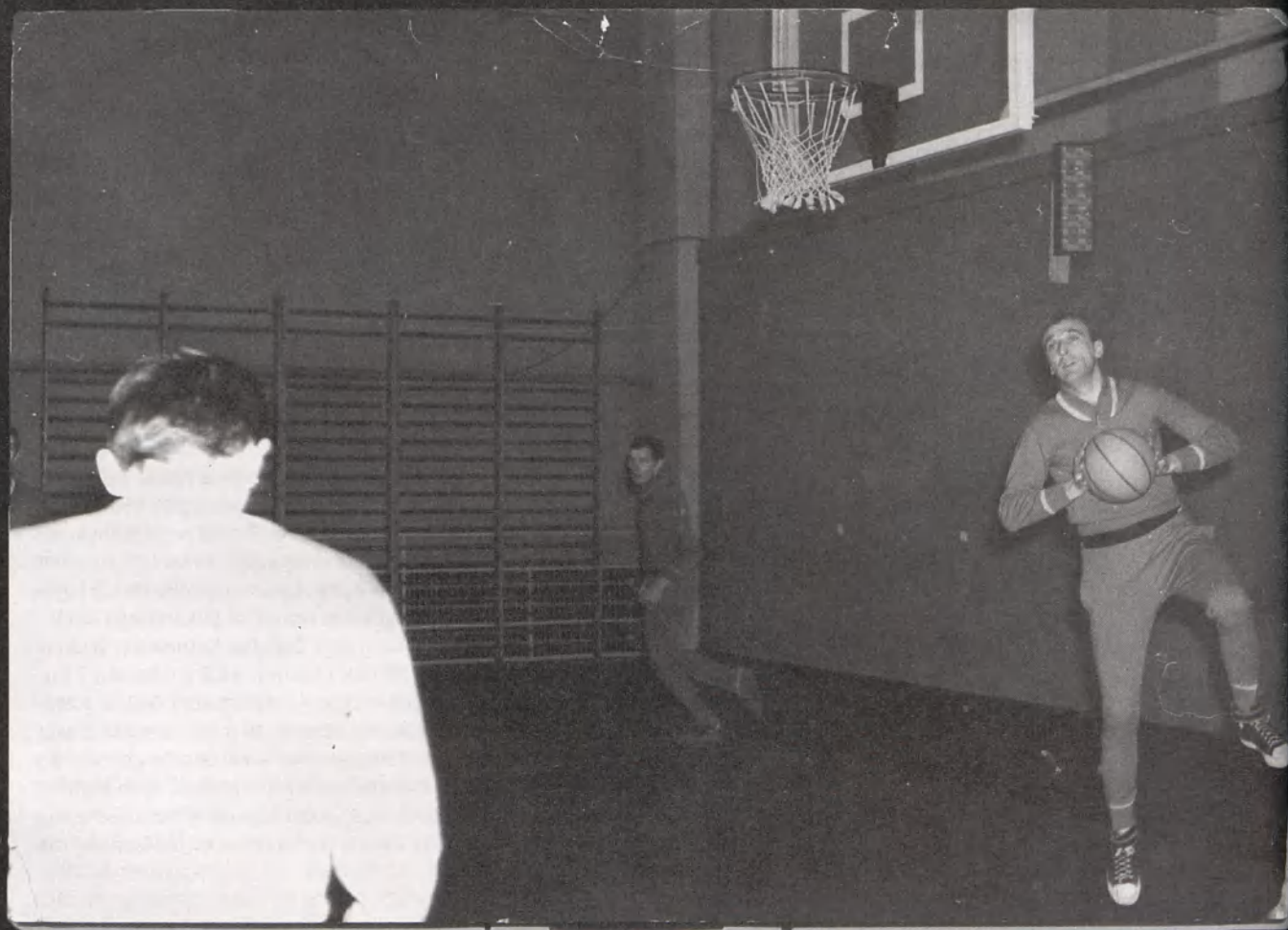
Początek mojego zawodowego życia nakłada się na końcówkę sportowej potęgi Śląska i Zagłębia, jego schyłek na rozpaczliwe próby uratowania resztek dawnych przewag. Tak, w ujęciu symbolicznym, wyglądała końcówka „epoki socjalistycznej” i początek kapitalistycznej. Nie tylko dla sportu i klubów sportowych, także dla całego regionu ten czas jest wielce enigmatyczny: wiadomo, co umarło (lub wciąż jeszcze jest w agonii), a kompletnie nie wiadomo, co z tego się urodzi i w ogóle – co przyszłość nam zgotuje.

Ruch Chorzów klepie rozpaczliwą biedę i w chwili, kiedy to piszę, nie wiadomo, jaki będzie tego klepania finał. Górnik Zabrze, GKS Katowice, Zagłębie Sosnowiec, Podbeskidzie Bielsko-Biała męczą się na zapleczu ekstraklasy, a gdyby nie wsparcie miast, byłyby jeszcze niżej lub wcale by ich nie było. Kto zdolniejszy, ten ucieka do Polski centralnej lub północnej, lub za granicę. W koszykówce, siatkówce, piłce ręcznej śląskim i zagłębiowskim klubom przypada rola szaraków. Śląskie zapasy, dżudo, podnoszenie ciężarów tkwią w mizerii, co akurat nakłada się na mizериę tych dyscyplin w Polsce w ogóle.

Jedno w tym wszystkim jest niezmiennie: do piłkarzy (sportowców) – dzisiaj już bez względu na poziom sportowy – mam stosunek nabożny. Widać to dziecięco-młodzieńcze uczucie jest we mnie bezwzględne, dojmujące, stałe. Jakże się cieszę, że dzięki Wojciechowi Kuczkowi mogę je nazwać. ■

Andrzej Grygierczyk

– dziennikarz, wieloletni redaktor naczelny katowickiego „Sportu”



Ryszard Niemiec – koszykarz, publicysta, działacz sportowy.



Jak upadały stereotypy

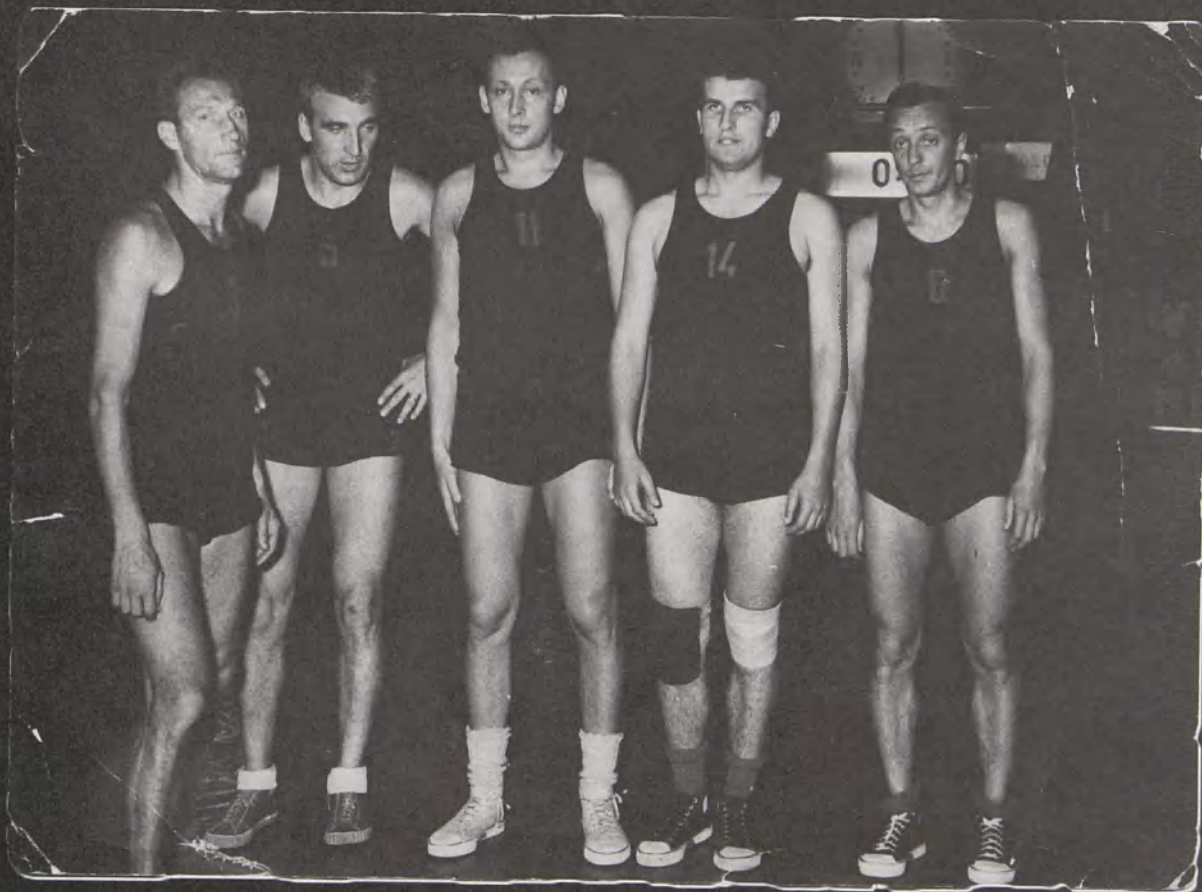
Przyszedłem na świat w centrum cywilizacji galicyjskiej. Rzucany z rodziną po terenach dawnego zaboru austriackiego (wieś Bażanówka w powiecie sanockim, Iwonicz-Zdrój, Brzozów, Rzeszów, Przemyśl), zakotwiczyłem po studiach w Krakowie. Ludzie z tych stron, opisywani przez Ślązaków jako gorole, byli dla nich sąsiadami z pełną gamą uczuć: zazdrości, niechęci, podziwu i przyjaźni.

57

Odnajduję je także w sobie z natężeniem rozmaitym. Nie traktuję ich jako powodu do uogólnienia relacji małopolsko-śląskich, tym bardziej że biorą się głównie z doświadczeń *homo ludens* – człowieka sportu. Zanim jeszcze nauczyłem się w powszechniku wiersza Władysława Broniewskiego o dymach Dąbrowy, zanim wziąłem do ręki opowiadania Gustawa Morcinka, wiedziałem, że pociągi z węglem przejeżdżające przez największy port lądowy Żurawica – Przemyśl – Medyka załadowuje się urobkiem z kopalń śląsko-dąbrowskich. Nie przeszkadzało mi, że jadą do ZSRR w ramach zdzierczego obowiązku dopłacania do układu o wzajemnej pomocy i przyjaźni z Wielkim Bratem. My, chłopaki z ferajny przemyskiej „parafii” Pobereże, mieliśmy żal do tych, którzy zawartość wagonów polewali wapnem gaszonym, przez co utrudniali nam skoki na wywożony surowiec. Robotę na torach zaczynaliśmy na moście rozpiętym nad nurtem Sanu, a finalizowaliśmy w tunelu pod przejazdem poniżej estakady komunikacyjnej.

Kaci z Radlina i Lipin

Z prawdziwym śląskim etosem zetknęliśmy się z chwilą awansu piłkarzy przemyskiej Polonii do II ligi, a tam dominowały kluby z Górnego Śląska i Zagłębia. Piłkarstwo przemyskie, niesione przedwojennym jeszcze poczuciem siły szkoły lwowskiej, za każdym kontaktem z piłką śląską doznawało upokorzenia, sprowadzającego niewczesne ambicje sportowe niemal do zera. Najbardziej wkurzało to trenera Michała Krausa, przedwojennego napastnika Pogoni Lwów. Był głęboko przekonany, że przyjezdni zawsze powinni zostawiać punkty na terenach przynależnych do 1939 roku do Okręgowego Związku Piłki Nożnej we Lwowie. Tymczasem przekonanie pana Michała okazało się nie tylko złudne, ale tragicznie fałszywe. Już w pierwszym sezonie świeżo powołanej do życia II ligi spadkowicz z ekstraklasy Górnik Radlin, czyli wcześniejszy i późniejszy Rymer, udzielił przemyslanom surowej lekcji futbolu, wygrywając z Polonią 9:1. Drużyna śląska otworzyła oczy licznie zgromadzonym kibicom, demonstrując dynamiczny styl gry, oparty na błyskawicznych atakach, w którym nie było miejsca na akcje podpadające pod pięknoduchowskie zagrania, krytykowane jako „sztuka dla sztuki”.



Ryszard Niemiec u schyłku zawodniczej przygody zdobył dwa tytuły wicemistrza Polski w barwach Resovii Rzeszów.



Ale furorę na przemyskich kibicach i działaczach zrobili dopiero gracze Naprzodu Lipiny, którzy pojawili się na szczepku drugoligowym w 1949 roku. Wygrali z przemyską Polonią sześć do kółka, ale wygrać mogli o wiele wyżej. Najwyraźniej nie chcieli pogrywać ambitnych gospodarzy, w drugiej fazie meczu nastawiając się bardziej na pokazowy charakter swej gry. Zapamiętałem z tamtego wydarzenia inny przedmeczowy fakt. Wraz z kolegami z położonej blisko kolejowego dworca dzielnicy mieliśmy zwyczaj sprawdzać, czy drużyny, którym kalendarz rozgrywek wyznaczył mecz w Przemyśle, rzeczywiście przybyły do naszego miasta. W tym celu wychodziliśmy im naprzeciw, tworząc swego rodzaju komitet powitalny, z chwilą przybycia pociągu pospiesznego relacji Szczecin – Przemyśl, którym zwykle podróżowały śląskie kluby. Piłkarze z Lipin zaskoczyli nas tym, że nie udali się po dotarciu do celu ani do hotelu, aby odpocząć przed meczem, ani do restauracji, aby coś przekąsić po parogodzinnej podróży („szczeciński” przyjeżdżał w południe). Wybrali się zwiedzać miasto, szlakiem kościelnym, od reformatorów, franciszkanów, karmelitów, by dotrzeć do bazyliki katedralnej, do której wstąpili „na paciorek”. Stąd było o krok od wzgórza, na którym posadowiono Zamek Kazimierzowski. Obejrzeni stare mury i basztę zabytku, po czym rozłożyli się pokotem na trawniku przyzamkowym, ucinając sobie drzemkę. Mieli ze sobą wiklinowy kosz, a w nim kanapki, którymi się po drzemce posilili. Na półtorej godziny przed rozpoczęciem meczu ruszyli na stadion, a my, podnieceni ich niekonwencjonalnym sposobem szykowania się do gry, podążyliśmy za nimi. Po drodze załatwiliśmy sobie „synowski” status u paru zawodników. Zgodzili się wziąć nas za rękę i – jak to było wówczas w zwyczaju – wprowadzić na mecz. Zachowaliśmy ich we wdzięcznej pamięci, mimo że rozgromili naszą ukochaną „przemyską Barcelonę”, właśnie za ten gest, na który drużyny przyjezdne w zasadzie się nie zdobywały, demonstrując dziwną niechęć do miejscowych.

Import ze Śląska

Przez cztery sezony, w których przemysłanie grywali w II lidze, wszystkie śląskie zespoły, nie tylko Naprzód Lipiny, ale i Stal Katowice, Stal Dąbrowa Górnicza, Górnik Knurów, okazywały się dla nich istnymi katami. Porażki z nimi były wkalkulowane w ekonomikę zagrożenia degradacją w futbolowy niebyt. W jakiś sposób taki rozwój wydarzeń boiskowych wpływał na kibicowskie opinie o śląskich drużynach. Najczęściej formułowano zarzut „szwargotania” w trakcie meczu, jako sposób komunikowania się taktycznego. Stąd o krok do wznoszenia okrzyków demoralizujących gości, wyzywanie od „Szwabów”, a nawet „hitlerowców”. Tamte bezsensowne reakcje widowni skończyły się jak ręką odjął, kiedy do składu Polonii trafili pierwsi piłkarze Ślązacy. Nie jest jasne, czy znaleźli się w nim w ramach solidarnej pomocy klubów zrzeszenia sportowego Budowlani, do których należały klub przemyski i chorzowski Amatorski Klub Sportowy, czy może trafili do Bieszczadzkiej Brygady Wojsk Ochrony Pogranicza jako poborowi. Bardziej prawdopodobna jest jednak federacyjna pomoc AKS, w połowie lat 50. ciągle mocnego sportowo, choć już poza ekstraklasą. Józek Skrzypiec był bramkarzem, Henio Kosubek stoperem, pełniąc w jedenastce Polonii kluczowe role. Okazali się wzmocnieniem rzeczywiście solidnym, co pozwoliło drużynie nawiązać równorzędną rywalizację ze wschodzącymi podówczas ku ligowej karierze klubami z Mielca, Rzeszowa i Stalowej Woli; nawiasem mówiąc, również opierającymi swój potencjał na posiłkach kadrowych ze Śląska.

W mieleckiej Stali prym wiódł Jan Król z AKS Chorzów, w rzeszowskiej Edek Kohut z Polonii Bytom, a w stalowowolskiej grała istna kolonia chorzowskiego Ruchu. Wspomniani poloniści Skrzypiec i Kosubek awansowali do reprezentacji Rzeszowszczyzny, z którą pojechali grać do Lwowa i Drohobycza z tamtejszymi czołowymi zespołami ukraińskimi. Opowiadał mi kapitan ten ekipy Waław Rodzeń, że obaj Ślązacy już w autokarze, który ich wiozł do Lwowa, pokazali się jako patriotycznie nastawieni sportowcy. Prym wiódł Skrzypiec, który jako absolwent liceum odwołał się do kolegów niekonwencjonalnym apelem o walkę zwłaszcza we Lwowie, wobec którego mamy szczególnie obowiązek. Mobilizacyjna akcja bramkarza miała miejsce również przed samym meczem, co skutkowało interwencją kierownika wyprawy, wyznaczonego przez Komitet Wojewódzki PZPR w Rzeszowie, niejakiego Frodymy. Doszło do burzliwej wymiany zdań, funkcjonariusz domagał się od trenera wycofania Skrzypca ze składu. Nic z tego zamiaru nie wyszło, bo zespół i trener stanęli po stronie zawodnika.

Ciąg dalszy awantury miał miejsce nawet przed samym meczem. Rzecznony Frodyma przemówił do widzów w imieniu polskiej ekipy, ale w tak wiernopoddajczym stylu, pełnym zachwytów nad przeobrażeniami Lwowa dokonanymi przez władzę radziecką, że Skrzypiec rzucił hasło zejścia z boiska. Zwycięzył instynkt samozachowawczy drużyny, która pod wpływem perswazji Rodzenia zrozumiała, że schodząc z boiska, piłkarze wydaliby na siebie wyrok dożywotniej dyskwalifikacji! Echa lwowskiego incydentu

wróciły do Przemyśla i uczyniły Skrzypca bohaterem gminnej opowieści i postacią porównywaną przez niektórych kibiców do studenta z zasańskiego liceum im. Morawskiego, który w listopadzie 1918 roku zginął podczas ataku na ukraińskie pozycje w walce o odbicie Przemyśla z rąk ukraińskiej republiki.

Pełny kosz

Lata dojrzałe upływały mi pod znakiem uprawiania koszykówki, w której to dyscyplinie doszedłem do sporego sukcesu, u schyłku zawodniczej przygody zdobywając dwa tytuły wicemistrza Polski w barwach Resovii. Po drodze, grywając jeszcze w macierzystej Polonii Przemyśl, następnie w Cracovii, często potykałem się z drużynami śląskimi. Po dziś dzień zachowałem w życzliwej pamięci kolegów z dwóch najlepszych w latach 60. drużyn – Górnika Zabrze i Baildonu Katowice. Obie miały w składach znakomitych koszykarzy – Wiśniewskiego, Maciulę, Dobrowolskiego, Winklera, Pasternaka, braci Wyszomirskich, Zająca, Służałka, Żurka, młodszego Klimontowicza, a także świetnych trenerów – Ryszarda Patynę i Walerego Klimontowicza. Ich sekcje nie miały jednak zielonego światła dla wykonania skoku do koszykarskiej elity, jaką była stawka 10-12 zespołów ekstraklasy. Konkurencja futbolu, piłki ręcznej, hokeja była za silna, aby lobby koszykarskie mogło być skuteczne. Aż do lat 80. panowało w Polsce przekonanie, że Ślązacy, jako przynależni do futsalowo-handbalowej cywilizacji, nie mają należnych predyspozycji psychofizycznych do uprawiania koszykówki. Odzywała się tu swego rodzaju kalka, opierająca się na porównywaniu awersji do basketballu obserwowanej w obu częściach podzielonych Niemiec. Wielu w Europie uważało, że specjalną smykałkę do basketu mieli Jugosłowianie, a zwłaszcza Czarnogórcy, a na drugim biegunie lokowano Niemców z NRD i RFN, gdzie wiele dekad koszykówka nie mogła przebić się z fazy powijaków.

W Polsce tę dyscyplinę nieco przesadnie uznawano za grę zespołową, wymagającą wysokiego ilorazu inteligencji. Uprawiana w środowiskach wyższych uczelni, została zaszufladkowana jako uosobienie sportu typowo akademickiego. Na Śląsku, owszem, działały znakomite uczelnie, w Zabrzu-Rokitnicy (Akademia Medyczna) i Gliwicach (Politechnika), aliści koszykówka nie zdobyła wśród ich słuchaczy należytego wzięcia. Taka, mniej więcej, była podstawa narodzin stereotypu Ślązaków – „odpornych” na naukę koszykarskiego rzemiosła. Nikt nie pamiętał, że w powojennej I lidze koszykarskiej występowała drużyna Śląska Świętochłowice, że w końcówce lat 60. do najwyższej klasy rozgrywkowej awansował (na sezon) katowicki Baildon.

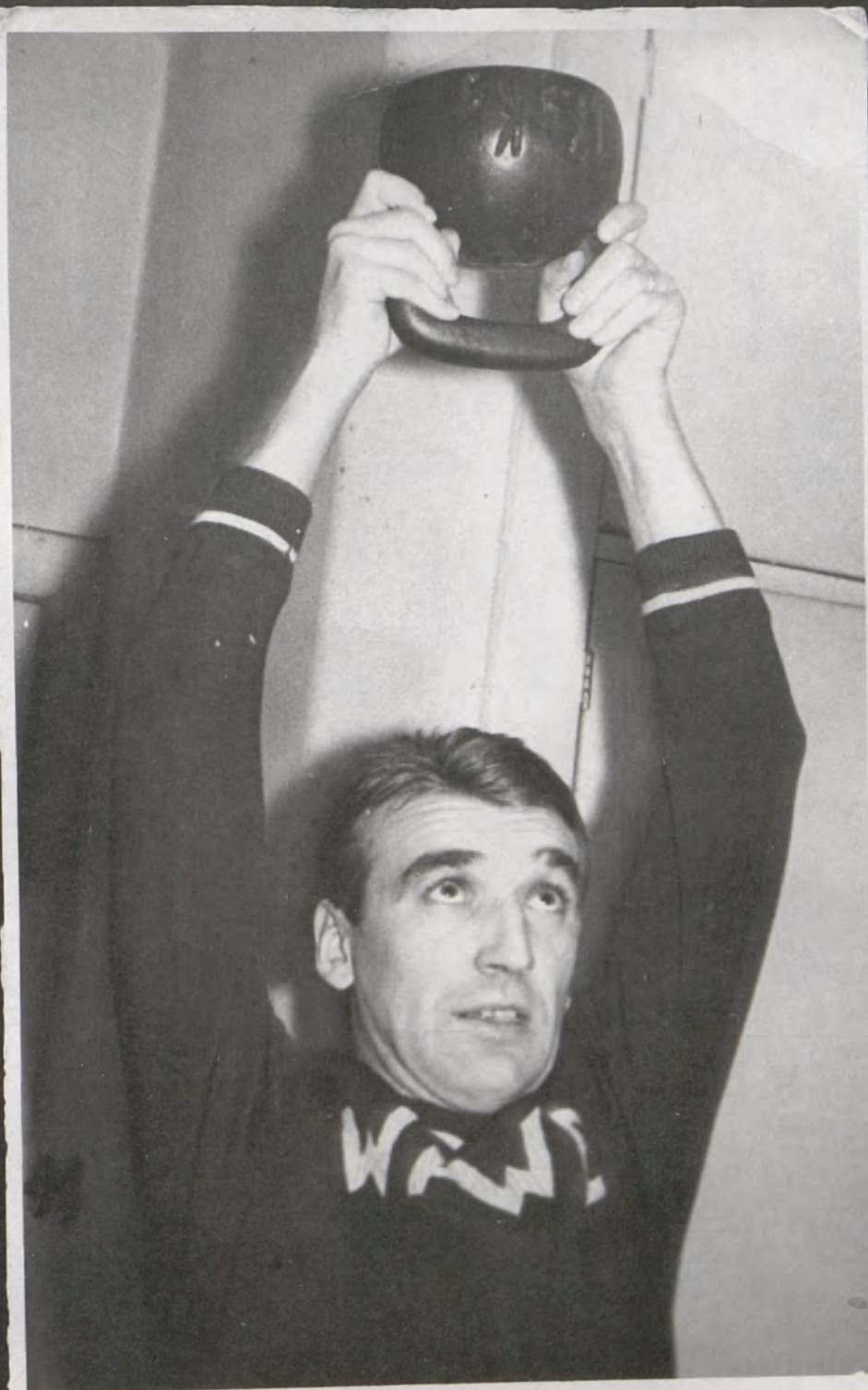
Aż nagle nastąpił koszykarski boom, a drużyny ligowe mnożyły się jak grzyby po deszczu. Bardzo silny ośrodek tej dyscypliny powstał w sosnowieckim Zagłębiu, gdzie *spiritus movens* rozwoju pełnił trener Tomasz Służałek. Obrotny działacz bytomski Jan Stankowski oparł gwałtowny awans koszykarzy bytomskich Bobrów (Stal) na sponsoringu tamtejszej Huty Bobrek. Jako kolejne znakomite centrum koszykarskie pojawiła się Ruda Śląska z klubem Pogoń, gdzie rolę guru pełnił trener Edward Kowol. Na bazie rozkwitu ilościowego i jakościowego zaczął się na Śląsku wielki wysyp koszykarskich talentów, które nie musiały już szukać możliwości robienia sportowych karier poza macierzystym regionem, jak niegdyś reprezentanci Polski: Edek Grzywna i Piotr Langosz. Okręgowy Związek Koszykówki z siedzibą w Katowicach stał się najsilniejszym organizacyjnie podmiotem zdobywającej popularność dyscypliny.

Z sezonu na sezon przybywało reprezentantów kraju wywodzących się z tego regionu. Ich uosobieniem stał się rozgrywający z Rudy Śląskiej – Piotr Pluta, przez wielu ekspertów uznawany za najlepszego w historii polskiego basketu rzucającego playmakera. Jak wiadomo, grający na tej pozycji zawodnik musi wykazać się dodatkowymi umiejętnościami, a przede wszystkim zdolnością konstruowania akcji, co siłą rzeczy jest przejawem wysokiego stopnia kwalifikacji intelektualnych. Zdobytne tytuły mistrzowskie w ekstraklasie (Zagłębie), medale czołowej trójki (Bobry), klubowe sukcesy w finałach juniorskich mistrzostw Polski odmieniły perspektywę postrzegania koszykówki w wykonaniu Ślązaków.

Aby raz na zawsze zrzucić z siebie niesprawiedliwe odium plemienia, dla którego koszykówka to gra stanowczo za trudna, środowisko „wygenerowało” z siebie „Bibę” – Agnieszkę Bibrzycką. Reprezentacyjna koszykarka z Bytomia, wychowanka Polonii, okazała się nie tylko najlepszą w najnowszej historii polskiego basketu, ale zdobyła w prestiżowym rankingu tytuł najlepszej zawodniczki kontynentu! O pochodzie żeńskiej koszykówki przez ziemię śląską wypadałoby napisać osobny utwór reporterski, kto wie, czy nie bardziej patetyczny niż opowieść o bascecie męskim. Może innym razem. ■

Ryszard Niemiec

– koszykarz, publicysta sportowy, był redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego”, „Tempa” i „Gazety Krakowskiej”, prezes Małopolskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej



Po latach koszykarz zamienił piłkę i parkiet na pióro, komputer i redakcyjny pokój.



ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

Zygfryd Nowak

My som stond

W pracy zbiorowej *Z dziejów Bogucic* Antoni Steuer podjął zadanie opisanie historii rozwoju życia sportowego w tej miejscowości, obecnie dzielnicy Katowic. Na „liście sukcesów bogucickiego sportu” na pozycji nr 1 pojawia się zdobycie przez AZS Katowice w 1949 roku 3. miejsca w bobslejach. Podobnych sukcesów wymieniono 16 – wszystkie związane z dzisiejszym Śląskim Uniwersytetem Ekonomicznym. Aż 11 dotyczy piłki ręcznej, kobiet i mężczyzn.

W latach 40. sport akademicki organizowała grupa entuzjastów dwóch dyscyplin sportu: piłki ręcznej i hokeja. Studenci sportowcy, w uzgodnieniu z władzami uczelni, powołali klub AZS Katowice. Na czele stanęli dzisiejsi nestorzy środowiska akademickiego: Tadeusz Janik i dr Juliusz Szaflik. Ten drugi, który miał u boku jako sekretarza Tadeusza Kopla, został pierwszym prezesem.

Tak powstała pierwsza struktura sportowa akademików, która dzisiaj znacznie się rozwinęła i nosi miano Organizacji Środowiskowej AZS Katowice, współpracując z 23 klubami uczelnianymi. Jedną z jej cennych inicjatyw stała się Gala Sportu Śląskiego, podczas której wyróżnia się najaktywniejszych działaczy sportowych, wyróżniające się wynikami sportowymi kluby, samorządowców i osoby wspierające sport akademicki.

Pierwsze mistrzostwo

Drużyna piłki ręcznej, pod wodzą Tadeusza Kopla, sięgnęła po tytuł Mistrza Śląska w roku 1948. To był początek wyczynowej piłki ręcznej w AZS-ie. Pamiętam niektóre nazwiska: Saratowicz (bramkarz), Kopel, Janik, bracia Kałdonkowie, Guertler, bracia Szaflikowie, Jeleń. Od początku w rozgrywkach uczestniczyły również kobiety, tworząc drużynę z udziałem katowickich entuzjastek piłki ręcznej spoza uczelni, które wielokrotnie uzyskiwały lepsze wyniki niż mężczyźni.

Sam najwięcej zawdzięczam dwom postaciom. Józef Grzbiela... Był wspaniałym nauczycielem wychowania fizycznego w katowickim Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Śląski patriota, który w roku 1922 przeniósł się wraz z rodziną z niemieckich wówczas Gliwic do Mysłowic. Był absolwentem przedwojennego Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, który ukończył, pisząc pracę magisterską pt. *Gry Zespołowe w Wychowaniu Fizycznym Młodzieży*. I Ernest Kałdonek. Zawodnik pierwszej drużyny piłki ręcznej AZS Katowice. W latach 40. i 50. był dyrektorem Supersamu, zlokalizowanego naprzeciwko „Mickiewicza”. Można by go określić dzisiejszym mianem „łowcy talentów”, bo wypatrywał z okna swojego biura uczniów „Mickiewicza”, grających na szkolnym boisku pod nadzorem prof. Grzbieli.

Obaj panowie podjęli współpracę. W efekcie do sportu wyczynowego (piłki ręcznej, siatkówki i koszykówki) trafiły dziesiątki zawodników, którzy stanowili trzon dwóch rywalizujących z sobą klubów katowickich – AZS-u i Spójni/Sparty. Ale także reprezentacji Polski w piłce ręcznej. Parę nazwisk pierwszego z klubów: Garcorz (reprezentant Polski), Hauffe (reprezentant Polski), Niestrój, Wiatrok, Skraburski i Nowak (reprezentant Polski). Sparta/Spójnia zdołała zwerbować m.in. takich zawodników i późniejszych reprezentantów Polski, jak: Foksiński, Dauksza, Warwas, Solik, Piszczek czy Zawadziński. To zawodnicy, którzy prosto z boiska „Mickiewicza” weszli do historii polskiego sportu. Nie byłbym jednak wystarczająco rzetelny, gdybym nie wymienił jeszcze jednego nauczyciela WF, który miasto, w którym pracował, uczynił „miastem piłki ręcznej”. Mowa o prof. Władysławie Babireckim i Tarnowskich Górach, gdzie zorganizowano drużyny w każdej szkole, turnieje międzyszkolne i wreszcie drużynę ligową, Kolejarz Tarnowskie Góry, który był bardzo dokuczliwym i trudnym przeciwnikiem na boisku.

Zakazany PZPR

W roku 1947 ówczesny Polski Związek Piłki Ręcznej (PZPR) zmuszono do natychmiastowej zmiany na ZPRP, czyli Związek Piłki Ręcznej w Polsce, co zapewne zadowoliło powstającą wtedy Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Szczegóły można odnaleźć we wspomnianej monografii Stanisława Jareckiego (*Rozwój Piłki Ręcznej na Śląsku*, Katowice 1972). Opisuje ona perypetie sportu w Polsce, ale co jest szczególnie cenne – wspomina ludzi, którzy sobie z tymi rozmaitymi kłopotami potrafili radzić.

Trafiłem do piłki ręcznej, ponieważ w 1951 roku z dobrymi wynikami w lekkoatletyce juniorskiej (sprint i skok w dal) znalazłem się wśród seniorów przeciętniaków. Ale rozwinąłem cechy ułatwiające grę w piłkę ręczną. Pozwoliło mi to występować zarówno w zespole 11-osobowym, jak i 7-osobowym.

Dzisiaj już wiemy, jak ważną rolę odgrywa trener-selekcjoner. Mielśmy takiego. Nie byłoby, według mojej oceny, wieloletnich naszych sukcesów, gdyby nie Tadeusz Tomosz. Był działaczem, ale i wychowawcą najmłodszej w tym czasie drużyny w Polsce. Był despotą, ale wykorzystywał nowoczesne metody systematycznego, wszechstronnego, całorocznego treningu. Zrozumieliśmy to, gdy potem naszym opiekunem został Wagner – trener z NRD, najlepszej wtedy drużyny świata.

Ligowa codzienność

Mecze 11-osobowej drużyny ligowej zaczynały się na otwartym boisku w ostatnią niedzielę marca, a kończyły w pierwszą niedzielę listopada. AZS przeniósł rozgrywki ze stadionu Słowiana (obok uczelni w Bogucicach) na boisko Gwardii (naprzeciwko parku Kościuszki). W tamtych czasach jedynym źródłem wody do mycia był zbiornik stojący cały rok na boisku.

Na obniżoną atrakcyjność meczów wpływ miały ówczesne reguły gry: zaczynaliśmy według przepisów piłki nożnej – oczywiście z tzw. kołem bramkowym (11 m) i „spalonym”. Konieczne były modyfikacje: „gramy bez spalonego, czyli 10 zawodników raz pod jedną, raz pod drugą bramką”. Ale i to się nie sprawdziło. Ostatecznie podzielono boisko na trzy strefy i w każdej z nich mogło przebywać równocześnie tylko 6 zawodników, a koło bramkowe przesunięto na 13 metrów, mierzonych ze środka bramki, co skracało rzuty ze skrzydła o 2 metry. Te nowe przepisy dodały znacznej atrakcyjności „11”, chociaż po piętach zaczęła jej już deptać „7” (w 1957 roku nawiązano pierwsze kontakty międzynarodowe).

Osobliwością tamtych czasów było podróżowanie na mecze poza siedzibę klubu. Kolej nie była tak powszechna jak dzisiaj, a miejsca dojazdu i wyznaczone godziny rozpoczęcia meczów czasami nawet uniemożliwiały korzystanie z usług PKP. Szczególnie do drużyn opolskich (Kuźnia Raciborska, Groszowice, Szczepanowice) trzeba było podróżować ciężarówką z plandeką i wbudowanymi ławkami, pożyczaną na niedzielę od lokalnych zakładów przemysłowych lub podstawianą przez drużynę rywala, co jednak było ryzykowne. Pewnego dnia dojechaliśmy pociągiem do stacji Nędza i czekaliśmy na obiecany transport do Kuźni Raciborskiej.



60 rocznica zdobycia Mistrzostwa Polski
w Piłce Ręcznej przez drużynę

AZS Stalinogród



**Złota Jedenastka
1955-2015**



Katowice 2015

AZS Stalinogród w roku 1955
został mistrzem Polski.

Podjechał do nas woźnica wozem drabiniastym i zapytał: „Przyjechaliście grać?”. Choć mocno zaskoczeni, odpowiedzieliśmy „tak” i wsiedliśmy na wóz. W połowie drogi przez piękny las nagle woźnica zapytał: „A kaj macie instrumenta?”, orientując się, że pomylił nas z orkiestrą weselną, po którą przyjechał. Drugą połowę drogi przebyliśmy, biegnąc, aby zdążyć na mecz.

Finansowanie sportu akademickiego było bardzo skromne i często nie pozwalało nawet na posiłki po meczu. W AZS-ie słynne stało się powiedzenie naszego kierownika drużyny: „Nie wybierać: ino rosół i kotlet”. Zapamiętaliśmy też negocjacje z przedstawicielem Zarządu Głównego AZS na temat zwrotu kosztów dojazdu (27 złotych) na treningi z Gliwic (gdzie większość z nas studiowała) do Katowic. Decydowało miejsce zameldowania; jako mieszkańcy Katowic pieniędzy nie otrzymaliśmy.

Najlepsi w kraju

„Mamy mistrza Polski!” To radosna pieśń, zaintonowana w hotelu w Poznaniu, gdy poznaliśmy drogą telefoniczną wyniki dnia i okazało się, że nasze zwycięstwo z tutejszym AZS-em było wystarczające. AZS Katowice został mistrzem Polski. W tej drużynie sześciu zawodników było wychowankami wspomnianego wcześniej prof. Grzbieli. Był rok 1955. Niestety, nie byliśmy wtedy Katowicami, ale Stalinogrodem. Wtedy – żenada, dziś – ciekawostka.

Proszę spojrzeć, jaką drogę w latach 1951-1960 przebył AZS Katowice.

Lata i miejsce	1951	1952	1953	1954	1955	1956	1957	1958	1959	1960
„11”	4	3	3	3	1	5	2	8	3	5
„7”	4	2	4	1	2	2	2	x	x	3

x – poza klasyfikacją

Warto wspomnieć, że w tym samym roku 1955 zdobyliśmy 3. miejsce w Akademickich Mistrzostwach Świata w Warszawie. W drużynie, która tego dokonała, było aż 5 zawodników AZS-u Katowice.

Rok 1958. Wiadomość, że Polska po raz pierwszy weźmie udział w mistrzostwach świata „siódemek”, spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Tym bardziej że mnie też powołano do reprezentacyjnego zespołu. Mecze odbywały się w Erfurcie, Lipsku i Berlinie. Odnieśliśmy ogromny sukces, zajęliśmy 5. miejsce (jak nasza reprezentacja w roku 2016). To miłe, że Katowice – miasto mistrzostw świata 2016 – zaprosiły mnie na nie jako „ambasadora mistrzostw”, co traktuję jako formę wyróżnienia i uznania dla całego śląskiego sportu akademickiego.

65

Na całe życie

Niewiarygodne, ale Dobrochnę, wspaniałą partnerkę mego życia, poznałem też dzięki AZS-owi. To wieloletni działacz tego klubu i mój przyjaciel, Kazio Cygan, przedstawił mi uroczą i piękną kobietę, która od razu zawładnęła moim życiem. I losem. Założenie rodziny, narodziny syna, coraz bardziej absorbująca praca zawodowa, ale także „słuszny wiek własny” spowodowały, że w końcu nastąpiło pożegnanie ze sportem wyczynowym, który uprawiałem w latach 1951-1963.

To był czas, gdy grało się przede wszystkim dla własnej przyjemności, chociaż niektórzy z nas, studentów, bardzo poważnie odczuli, gdy zaczęto wypłacać nam tzw. kadrowe. Potem były inne wyróżnienia, np. tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu. W 1984 roku działacze Śląskiego Związku Piłki Ręcznej i AZS-u wystąpili o bardzo prestiżowe wyróżnienie – medal Kalos Kagathos. Cóż, wtedy nie wyszło. Ale po latach otrzymałem, wielce mnie satysfakcjonujące, Honorowe Członkostwo AZS – Polska. To wyróżnienie poprzedzone było nadaniem przez Związek Piłki Ręcznej w Polsce kolegom Garcorzowi, Hauffemu i mnie Odznaczenia „Za Zasługi dla Piłki Ręcznej”.

Pozostało to, co najcenniejsze: kontakty osobiste, wspólne imieniny/urodziny, niezobowiązujące spotkania dla omówienia „istotnych spraw społeczno-politycznych”. Nigdy nie zerwaliśmy kontaktów z AZS-em jako środowiskiem i dzisiaj jesteśmy wpisani w jego strukturę jako Klub Seniora. A Kazik Mieleszczuk, wieloletni reprezentant Polski i młodszy kolega z boiska, zainicjował coroczne spotkania seniorów z wszystkich śląskich klubów piłki ręcznej. Piękna sprawa. ■

Zygfryd Nowak

– reprezentant Polski w piłce ręcznej, profesor, związany z Politechniką Śląską i Głównym Instytutem Górnictwa, był wiceministrem górnictwa i energetyki, honorowy prezes Stowarzyszenia Polski Ruch Czystszej Produkcji

Jan Przewoźnik

Gens una sumus!

Prawdopodobnie postronnemu obserwatorowi Śląsk bardziej niż z szachami kojarzy się ze skatem, tak kiedyś popularną grą karcianą.
 – Łoziymność! – Mom! – Dwajścia! – Grej!
 – Grom krojca! – Kontra! – Ryj!

Fabryka filesia
KWAATALNIK

Tak *godajom* przy skacie. Śląscy szachiści równie subtelnych odzywek nie znają. Ale grają! Od Wisły do Kluczborka, od Zawiercia do Paczkowa. Startują w niedzielnych rozgrywkach drużynowych lub walczą do upadłego wieczorami w dni robocze. W piątki i świętki. Można zastanawiać się, dlaczego tak się dzieje. Odpowiedź jest prosta. Bo takie są szachy! To znaczy jakie?!

W Gorzowie do dziś poszukiwani są dwaj zapaleńcy, którzy do tego stopnia oddawali się swojej ulubionej grze, aż w końcu ich rozzłoszczone małżonki im zabroniły. Zabroniły grać w szachy! Wtedy panowie wymyślili nową strategię działania. Ustawiali się na poranne wyjazdy na grzyby. Spotykali

się w lesie i tam grali aż do wieczora. Kiedy zmierzch uniemożliwiał już rozpoznanie figur, zapalali światła samochodu i w świetle reflektorów kontynuowali zmagania. W końcu jednak następował czas powrotu do domu, do małżonek. Wsiadali więc do samochodu, podjeżdżali pod umówione miejsce, gdzie dokonywali zakupu specjalnie dla nich przygotowanego kosza pełnego grzybów. Z dowodami niewinności i pracowitości stawali przed obliczami swych bardzo zadowolonych żon. Arcymistrzowie maskowania się. W imię wyższej racji – szachowej! I jakież to ma znaczenie, czy byli z Gorzowa Wielkopolskiego, czy z województwa śląskiego? *Gens una sumus!* Jesteśmy jedną rodziną!



Fabryka filesia
KWAATALNIK

A robisz to już coś?

Przyznajcie, śmiejecie się czasem z szachistów? Bo cóż to za sportowcy? A jeszcze tak mocno podkreślają, że to nie tylko hobby. A jeśli mają rację? Przytaczają przecież dowody na to, że szachy są sportem, powołując się na autorytet i definicję sportu autorstwa prof. Macieja Demela. A przy okazji inne pytanie jeszcze warto postawić – o geografię myślenia. Czy ludzie z różnych zakątków Polski prezentują różne style myślenia? Tak – odpowiada amerykański badacz Richard Nisbett, rzecz jasna – w odniesieniu do kwestii globalnych. A zatem – szachy a Śląsk...

Ogólnie rzecz biorąc, ta gra to intelektualne spełnienie koncepcji Johana Huizingi – *homo ludens*, człowieka bawiącego się. Śląsk kojarzy nam się z kultem pracy, hasłem dobrej roboty, ale przecież praca to nie wszystko. Człowiek potrzebuje też odpoczynku, rozrywki. Praca daje podstawy bytowania, dostarcza sensu istnienia, rozrywka – sensu wytchnienia. Dla wielu z nas, szachistów śląskich, kontakt z szachami to był czas traktowania tej gry jako pasji, ale przez niektórych jako sposobu na życie.

– A robisz to już coś? – pytali mnie znajomi Ślązacy, gdy po studiach wróciłem do katowickiego Podlesia.

- Tak, gram w szachy – odpowiadałem.
- Ale co robisz?
- Gram w szachy. To zawód.
- Ale co robisz?!

Pytania były konkretne, a moje odpowiedzi traktowano jako abstrakcję nie z tego świata. Ale ten świat istniał, istnieje i będzie istniał. Takie są bowiem szachy. Najbardziej doceniam w nich to, że ćwiczą charakter, uczą przełamywać trudności w drodze do celu, kształcą nawyk szerszego i głębszego przeszukiwania przestrzeni problemowej. Tak postrzegam też swoją przygodę w Starcie Katowice, gdzie my, młodzi chłopcy, nauczyliśmy się zmierzania do ambitnych celów, pomimo przeszkód. Charakterystyczne na przykład było nasze zespołowe oddanie „wariantowi pilnika”, jak wtedy nazywaliśmy pozycję powstającą po posunięciach: 1.e4 c5 2.Sf3 Sc6 3.d4 c:d4 4.S:d4 Sf6 5.Sc3 e5. To był patent drużyny, z którą zdobyliśmy trzy razy tytuł Drużynowego Mistrza Polski Juniorów.

Przychodziliśmy do klubu nie po to, aby pograć dla przyjemności, ale żeby wspólnie przeanalizować aktualne problemy. Cechowała nas na tych zajęciach otwartość, kreatywność, duch przyjaznej, ale jednak dyskusji. Dzięki tym spotkaniom z Jackiem Bielczykiem, Zbigniewem Hurnikiem, Marianem Twardoniem, Zbignie-

wem Szczerkiem, Karolem Zieleźnikiem (to ów wariant pilnika), Adamem Dzieciółowskim, Karolem Pinkasem, Stefanem Kipińskim, Janem Widerą, Zbigniewem Kardysiem, Antonim Grygą zrealizowaliśmy dobry trening myślenia i hartowania ducha. Kilka przykładów.

Partia „z charakterem”

Pierwszy – o roli „śląskiego” charakteru. Planowałem zdobycie tytułu indywidualnego mistrza Polski juniorów. Ale skończyło się tylko na dzieleniu drugiego-czwartego miejsca. Wielkie rozczarowanie. Gdy dostałem się na studia w 1978 roku na Katolicki Uniwersytet Lubelski, to do Lublina szachów nawet nie wziąłem. Skoncentrowałem się na studiowaniu. W lutym 1979 roku postanowiłem jednak po udanej pierwszej sesji dać sobie nagrodę i pojechać na indywidualne mistrzostwa Polski do Tarnowa. Nieoczekiwanie już na trzy rundy przed końcem turnieju mogłem sobie zapewnić mistrzostwo Polski, jako zupełnie nieznanego zawodnika, kandydat na mistrza! Jednak remis uzyskany w wygranej pozycji skomplikował mi końcówkę turnieju. Kluczowa dla tytułu była partia z ostatniej rundy. Przez pierwszych dwadzieścia kilka posunięć mógłbym patrzeć na sąsiednie szachownice i kalkulować, czy opłaca mi się remis. Ale – dla mnie – takie podejście w ogóle nie wchodziło w rachubę! Myśl była w zasadzie tylko jedna: przeprowadzić kontrę i wygrać!

Taka postawa wynikała z wcześniejszego, solidnego, sześcioletniego treningu. Już w 1972 roku, w pierwszej klasie Technikum Górniczego w Katowicach, rozdawałem kolegom autografy z podpisem: „Jan Przewoźnik – mistrz Polski”. Śmiali się, brali je, a potem pewnie wyrzucali. Ale mój cel był od lat określony: mistrzostwo Polski. Wojowniczy duch pomógł mi w końcówce kluczowej partii w życiu. Białe poddały się, a ja zostałem mistrzem Polski! Czy w tym kontekście miałbym rozpaczać nad wcześniejszymi, pojedynczymi porażkami, w husarskich i niepoprawnych atakach? To były tylko etapy na drodze do celu!

Po nocnej zmianie

Przykład drugi – o tym, że warto mieć aspiracje. Jeden z najlepszych wyników na Drużynowych Mistrzostwach Polski uzyskałem w roku 1977. Pracowałem na kopalni Boże Dary. Ponieważ w Katowicach mają się odbyć rozgrywki ligowe, prosiłem kierownika o urlop.

– Nie ma mowy! – odpowiada.

– To proszę o przeniesienie na nocną zmianę, żebym w dzień mógł grać.

Kierownik się zgodził. Najważniejsze, że fedrowanie odbywa się w pełnym składzie. Więc gram. Nocna zmiana w godzinach 0.00-6.00 (osławiona czterobrygadówka). Potem powrót do domu. Marne szanse na wyspanie się. Około 14.00 trzeba już pojechać, by grać dalej. Zrobiłem 7,5 punktu z jedenastu partii!

Morał: Nigdy nie wiesz, na co cię stać.

W poszukiwaniu Melanii

Przykład trzeci – o samozaparciu. Zgrupowanie juniorów Startu Katowice w ośrodku w Wiśle. Pracujemy ciężko, ale i dbamy o tężyznę fizyczną. Podczas zajęć na basenie poznaję mieszkankę Rydułtów, o pięknym i rzadko spotykanym imieniu Melania. Chciałbym mieć dziewczynę. Przecież mam już 15 lat! Nadskakuję jej, zagaduję, prężę mięśnie, ale zawstydzony nie proszę o adres przy rozstaniu.

Mijają dni, a myśli o Melanii nie dają mi spokoju. Wreszcie decyduję się! Pewnego dnia rano, w środku lata, wsiałam na rower i jadę z Podlesia do Rydułtów. 50 kilometrów w jedną stronę! Dojeżdżam pełen nadziei i szukam. Kręcę się po mieście. Po południu rezygnuję – trzeba wracać. Do dziś nie wiem, kim była Melania. Wspominam tę historię, bo twierdzę, że tylko dzięki samozaparciu siedem lat później zdobyłem mistrzostwo Polski seniorów.

Morał: Silna orientacja na cele – to dobry prognostyk przyszłych osiągnięć.

Znaj swoje ograniczenia

Przykład czwarty – o ambicjach i świadomości ograniczeń. Zgrupowanie szachowe w Wiśle. Trenuje tu także kadra Śląska juniorów w piłce nożnej. Od słowa do słowa i umawiamy się na mecz piłkarski. Szachiści kontra piłkarze. Dla nas nie było zaskoczeniem to, że z nimi wygraliśmy. Niektórzy z nas mieli doświadczenia w klubach piłkarskich.

Wielki wkład w sukcesy naszej drużyny miał Zbyszek Szczerek. Wyróżniał się nie tylko talentem szachowym, ale też wielką skłonnością do innych gier, chętnie na pieniądze. Zwłaszcza lubił grać w karty, w późniejszych latach w Go. Można powiedzieć, że był prekursorem dzisiejszego pokolenia szachistów-pokerzystów, a o nich chyba

mało kto wie. Skłonność Zbyszka do podejmowania ryzyka dobrze charakteryzuje wydarzenie ze zgrupowania juniorów. Razem z szachistami przebywali na obozie także juniorzy bokserzy. Jak tylko Zbyszek zorientował się, że możemy pożywić od nich rękawice, natychmiast zaprosił mnie na ring. Więc walczyliśmy. Krótkie badanie, tańczyliśmy wokół siebie. I nagle łomot! Nawet nie wiem, kiedy poszła w moim kierunku seria ciosów. Po pierwszej rundzie dałem sobie spokój.

Tak umotywowany Zbyszek zaprosił na ring jednego z uczestników zgrupowania bokserskiego. Tamten się zgodził. A Zbyszek mi później opowiadał:

– Krótkie badanie, tańczyliśmy wokół siebie. I nagle łomot! Nawet nie wiem, kiedy poszła w moim kierunku seria ciosów.

Morał: Rzetelnie oceniaj swoje możliwości, bo inaczej możesz dostać łomot.

Uważaj nie tylko na papierosy

Przykład piąty – o zasadach. Kiedyś regularnie grywałem w Niemczech. Polscy szachiści przewozili tam, jak „wszyscy”, papierosy. Ja – nigdy. Uważałem, że reprezentuję Polskę! Po kilku latach miałem przyjemność oglądać proszących Niemców. Niezapomniany widok.

– Janek! Przywieź papierosy!

Morał: Niezależnie od okoliczności trzymaj się swojego kodeksu honorowego!

Czcza pasja?

Nieprzypadkowo w ostatnich latach intensywnie włącza się szachy do szkół, w ramach projektu „Edukacja przez szachy w szkole”. Coraz częściej zwraca się uwagę na korzyści płynące z gry w szachy. Sam też to robię. Wolno więc na koniec zapytać, czy szachy to czcza pasja, czy może jednak kamień probierczy myślenia i rozwijania charakteru?

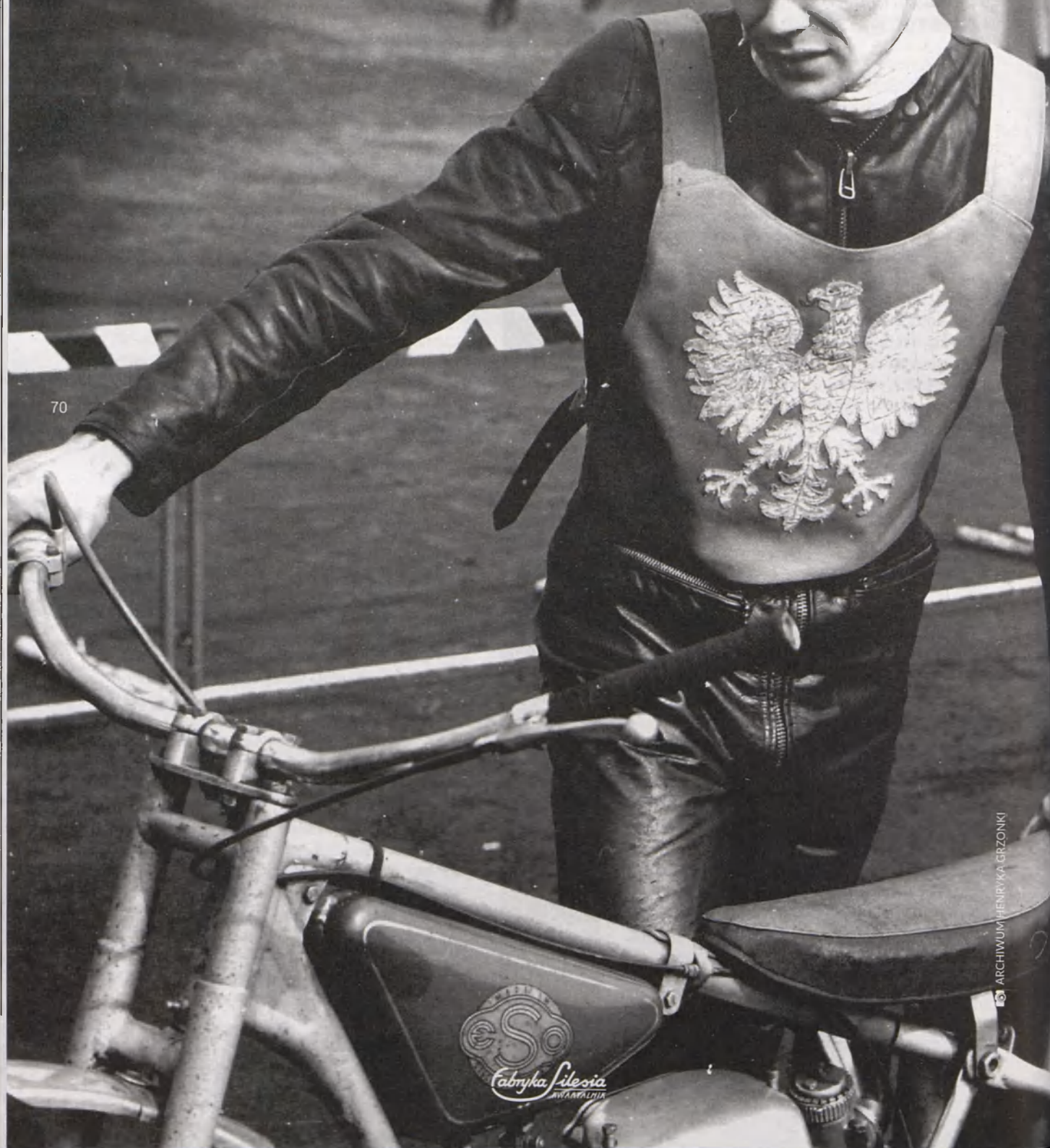
Odpowiedź zapewne zawsze będzie zależała od samego grającego i jego postawy. W szkole, w szachowym projekcie edukacyjnym, to ogromna przestrzeń dla wolności i odpowiedzialności kwintetu: nauczyciela, ucznia, rodziców ucznia, przedstawiciela klubu sportowego, sponsora. Trzeba tylko chcieć i umieć z tego daru wolności roztropnie korzystać. Perspektywy – twierdząc – są optymistyczne. ■

Jan Przewoźnik

– mistrz międzynarodowy w szachach, psycholog biznesu, mieszka w Gorzowie Wielkopolskim

Antoni Woryna - pierwszy Polak, który zdobył medal w finale indywidualnych mistrzostw świata (1966). Dziś z powodzeniem w barwach ROW-u Rybnik startuje jego wnuk, Kacper Woryna.

70



Na wielkopiecowym żuźlu

Najdłuższą historię wyścigi motocyklowe mają w Stanach Zjednoczonych. Rywalizację podjęto tam już pod koniec XIX wieku. Warkot silników, niezwykła w tamtych czasach prędkość, pęd powietrza – to wszystko zachęcało śmiazków, którzy chcieli ujarzmić moc „stalowych rumaków”.

Wyścigi przypominały gonitwy rodem z Dzikiego Zachodu, a wiele biegów kończyło się bijatyką zawodników. Tysiące kibiców w zachwycie oglądało takie widowiska. To w Ameryce w 1901 roku zrodziła się idea, by rywalizacja odbywała się na torach. Nowinki szybko docierały do Europy, także do Polski. Już w 1903 roku pierwszy wyścig motocyklowy zorganizowano w Warszawie na 383-metrowym ziemnym torze kołarskim na Dynasach. Zawody organizowano także w Niemczech, Wielkiej Brytanii, a przede wszystkim – w RPA, Kanadzie i Australii.

Z antypodów do Gliwic i Bytomia

71

W 1921 roku Amerykanin Maldwyn Jones odkrył, że wiraże można pokonywać w tzw. poślizgu kontrolowanym. Uznaje się, że pierwsze zawody żużlowe zorganizował 15 grudnia 1923 roku w australijskim mieście West Maitland Nowozelandczyk John Hoskins. Zawodnicy rywalizowali przy świetłach jupiterów. Po tym turnieju wymyślono nazwę „speedway”. Tak zostało do dziś, chociaż w latach międzywojennych używano pojęcia dirt-track. Niebawem Australijczycy zaszczepili nowy sport na Wyspach Brytyjskich.

Motocykliści rywalizowali na torach ziemnych, betonowych, trawiastych i na piasku. Używano seryjnie produkowanych motocykli turystycznych. Pierwsze fabrycznie przystosowane maszyny do jazdy po torach zaczęto produkować w USA, w zakładach Harley-Davidson, ale z czasem niemal każda wytwórnia miała sportowy model motocykla. Powstawały kluby na Wyspach Brytyjskich oraz w Niemczech. Zawody organizowano m.in. we Wrocławiu, Wałbrzychu, Legnicy, Złotoryi, Głogowie i Chocianowie. Na Górnym Śląsku najprężniej działały kluby w Bytomiu i Gliwicach. Pierwsze zawody w Gliwicach odbyły się 27 maja 1930 roku, na miejscowym lotnisku. Rok wcześniej w Bytomiu odbyły się prestiżowe zawody o Grand Prix.

Do niedawna uznawano, że pierwsze żużlowe zawody w Polsce zorganizowano w 1930 roku w Mysłowicach, ale pierwsza była jednak Wielkopolska (w roku 1929 roku odbyły się tam dwa turnieje). Zawodnicy rywalizowali na lekkoatletycznych bieżniach i torach wytyczanych na trawie.

Śląski Klub Motocyklowy powstał w Katowicach już w 1923 roku. Założył go Piotr Paweł Breslauer, którego brat i synowie także byli uznanymi motocyklistami. W 1930 roku powstał Mysłowicki Klub Motocyklowy, który wspólnie z klubem katowickim zaangażował się w budowę toru przeznaczonego specjalnie do wyścigów dirt-trackowych. Jak pisała „Polska Zachodnia”, myślowicki tor budowano na 120-morgowym obszarze dworskim w Słupnej. Miał tysiąc metrów długości i był „największym torem w Polsce i jednym z największych w środkowej Europie” (obecnie znajduje się tu parking przed kąpieliskiem Słupna i Muzeum Pożarnictwa).

Początkowo planowano, by miał nawierzchnię trawiastą, ale zapewne za sprawą informacji o pasjonujących wyścigach na torach angielskich ziemne podłoże pokryto warstwą żuźla. Można przypuszczać, że właśnie za sprawą nawierzchni myślowickiego toru narodziła się nowa polska nazwa tej dyscypliny – „żuźel”. Dopiero pod koniec lat 80., kiedy większość torów nie miała już nawierzchni z żuźla wielkopiecowego, zaczęła pojawiać się nazwa „speedway”.

Pierwsze wyścigi rozegrano 13 października 1930 roku. Na starcie stawili się najlepsi polscy motocykliści, m.in. Rudolf Bogusławski, bracia Kurt i Rudolf Breslaurowie oraz Jerzy Knappik. Przyjechała też czołówka zawodników niemieckich (także z niemieckiej części regionu). Na siedem rozegranych wyścigów w trzech zwyciężyli Polacy, w tym w biegu finałowym, w którym najlepszym okazał się zawodnik gospodarzy Rudolf Bogusławski. Mimo zimna i padającego deszczu zawody obejrzało 15 tysięcy widzów. Otwarcie kolejnego sezonu miało miejsce 31 maja 1931 roku. Wtedy na stadion przyszło 25 tysięcy kibiców! Zawody miały świetną obsadę, a publiczność najbardziej oklaskiwała zwycięzcę biegu finałowego Niemca Fritza Koehlera oraz Duńczyka Nielsa Sorensena. W 1931 roku zawody rozegrano w Mysłowicach jeszcze dwukrotnie i za każdym razem oglądało je ponad 20 tysięcy widzów.

Familia Breslauerów

7 sierpnia 1932 roku rozegrano po raz pierwszy mistrzostwa Polski. Żuźłowcy rywalizowali w jednym turnieju, ale z podziałem na klasy motocykli. Zapowiadając mistrzostwa, „Polska Zachodnia” pisała: „Na starcie stanie 40 jeźdźców ze Śląska, Krakowa, Warszawy, Łodzi, Lwowa i Wilna. Spodziewać należy się zatem zaciętej walki o tytuły motocyklowych mistrzów Polski na torze”. Mistrzostwa zakończyły się sukcesem Rudolfa Breslauera, pierwszego z wielkich śląskich żuźłowców.

Jego czterej bracia także uprawiali sport, ale motocyklistą był tylko najmłodszy – Kurt, który przedwcześnie musiał zakończyć karierę z powodu poważnego wypadku w 1930 roku. Rudolf w szeregi klubu wstąpił za namową ojca, w wieku 16 lat, i już po kilku miesiącach wygrał wyścig szosowy na trasie Giszowiec – Mysłowice w klasie 175 ccm i wystartował w prestiżowym wyścigu dookoła Śląska. Po latach opowiadał mi w jednej z radiowych audycji: „Cała nasza rodzina kochała motocykle i rywalizację. Motocykle były bardzo drogie, ale rodzice i starsi bracia służyli mi daleko idącą pomocą finansową (...). Startowałem na motocyklu Coventry Eagle o pojemności 350 ccm, świetnie czułem ten motocykl, który był zupełnie inny od tych, na których startowałem po wojnie”.

Niespełna miesiąc później Mysłowicom przybyła konkurencja. Wyścigi zorganizowano w Sosnowcu, na bieżni stadionu przy alei Mireckiego. Odpowiedzią myślowickiego klubu były zawody w znakomitej obsadzie, które kończył wyścig o Wielką Nagrodę Mysłowic. Zainteresowanie wywoływał także start Hildy Schusterówny, jednej z pierwszych kobiet startujących na równi z mężczyznami. Reprezentowała barwy Klubu Motocyklowego z Bielska (działał też Strzelec Cieszyń). A 7 października 1932 roku pojawił się Rybnik. Jako że nie było w tym mieście żadnego toru, pierwsze zawody odbyły się na placu targowym, gdzie przy pomocy worków z piaskiem wytyczono 300-metrowy owal (pierwsze zawody wygrał startujący w gorli mistrza Polski Rudolf Breslauer). W Rybniku zorganizowano też pierwsze wyścigi motocyklowe... na lodzie (obecnie są osobną konkurencją). Na zamarzniętym stawie znów najlepszy okazał się Breslauer.

Jazda na Ruch

Na Śląsku najważniejszym ośrodkiem żuźlowym nadal były Mysłowice. Tak było jednak tylko do 1933 roku. 16 lipca rozegrano tu drugie mistrzostwa Polski. Tysiące widzów, którzy przybyli na kolejne zawody, nie mogło przypuszczać, że po raz ostatni oglądają żużel na tym torze. Władze Śląskiego Okręgu Polskiego Związku Motocyklowego zabroniły startu zawodnikom niemieckim. Tymczasem myślowicki klub jednak zaprosił obok reprezentantów Austrii, Jugosławii, Czechosłowacji, Gdańska i Polski także Niemców. Wybuchła afera, która zakończyła się zawieszeniem sekcji motocyklowej klubu i unieruchomieniem tego toru na zawsze.

W kolejnych latach imprezy żużlowe organizowano w Rybniku, Radzionkowie, Sosnowcu i Skoczowie. Do grona organizatorów dołączyły także Katowice (startowano na lotnisku w Muchowcu, a potem na stadionie FC Muchowiec), ale przede wszystkim Hajduki Wielkie (dzisiaj dzielnica Chorzowa), gdzie 29 września 1935 roku otwarto nowy stadion Ruchu (najnowocześniejszy w Polsce).

Dwa tygodnie później odbył się tam pojedynek Polska – Niemcy. Mimo że jechali najlepsi, mecz przegraliśmy. Polacy z dobrej strony pokazali się jedynie w wyścigach indywidualnych. Niezawodny Rudolf Breslauer wygrał w klasie 350 ccm. I padł nowy rekord, bowiem zawody obejrzało ponad 30 tysięcy widzów. Rok później na Ruchu pojawili się m.in. żużłowcy z Austrii, Niemiec, Danii, Węgier, a nawet Abisynii. W turnieju o Grand Prix Śląska po raz pierwszy w Polsce wszyscy zawodnicy startowali na motocyklach o pojemności 500 ccm, bez podziału na klasy.

W styczniu 1946 roku wznowił działalność Polski Związek Motocyklowy, na czele którego stanął przedwojenny zawodnik Józef Docha. Kilka miesięcy później znów do historii przeszedł stadion Ruchu. 29



Stadion Śląski podczas finału indywidualnych mistrzostw świata w 1973 roku.

Po wojnie żużel odradzał się nie bez problemów. Brakowało sprzętu. Nadal nie było szczegółowych regulaminów zawodów. W roku 1948 sprowadzono z Anglii osiem motocykli marki Jap. Ruszyły rozgrywki ligowe, a jesienią reprezentacja rozegrała pierwszy mecz międzypaństwowy z Czechosłowacją.

czerwca 1946 roku odbyły się tu pierwsze po zakończeniu wojny zawody żużlowe. Katowicki „Sport” pisał o „wielkim pojedynku najlepszych polskich zawodników na torze chorzowskim”.

Dla górników i hutników

W tym samym roku ruszył Rybnik. Kadre zawodniczą tworzyli: Józef i Ludwik Dragowie, Jan Paluch, Paweł Dziura, Józef Wiczorek, Eryk Pierchała, Alfred Spyra, Marian Phillip, Jan Sanecznik i Robert Nawrocki. Każdy z nich odniósł w późniejszych latach znaczące sukcesy, a wielu z nich tworzyło zespół, który w 1956 roku zdobył dla Rybnika pierwszy z 12 tytułów Drużynowego Mistrza Polski. W 1947 roku Eryk Pierchała wywalczył pierwszy w historii klubu indywidualny tytuł.

Żużel odradzał się nie bez problemów. Brakowało sprzętu. Nadal nie było szczegółowych regulaminów zawodów. W roku 1948 sprowadzono z Anglii osiem motocykli marki Jap. Ruszyły rozgrywki ligowe, a jesienią narodowa reprezentacja rozegrała pierwszy po wojnie oficjalny mecz międzypaństwowy z Czechosłowacją. Można uznać, że był to początek nowoczesnego żużla w Polsce. W składzie znalazło się dwóch zawodników ze Śląska – Ludwik Draga i Rudolf Breslauer (w latach 50. musiał występować jako Edward Wrocławski).



Finał drużynowych mistrzostw świata (1969 r.). W Rybniku złoty medal zdobyła reprezentacja Polski.

W 1949 roku Budowlani Rybnik przystąpili do rozgrywek I-ligowych, a w roku następnym zdobyli wicemistrzostwo Polski. W ciągu trzech lat działalności pod tym szyldem udało się zmodernizować rybnicki stadion i zbudować nowoczesny tor. Po powstaniu przymusowych zrzeszeń zniknęło wiele klubów. Przestała istnieć m.in. sekcja żużlowa Pogoni Katowice i nie przetrwał KM Sosnowiec.

Klub z Ostrowa Wielkopolskiego przeniesiono do... Świętochłowic. Decyzja ta miała podtekst polityczny. Skoro w przemysłowym sercu Polski drużynę mają górnicy, to i hutnicy powinni mieć swoją. Od 1953 roku Stal Świętochłowice rozgrywała mecze na kameralnym torze (nazywanym *hasiakiem*), obok Huty Florian.

W latach 1962–1964 kolejny raz przebudowano rybnicki stadion, zwiększając jego pojemność i dostosowując go do wymogów światowych. Do Rybnika szybko trafiły nowe motocykle. Znakomitym posunięciem okazało się utworzenie pierwszej w Polsce szkółki żużlowej. Na sportowe sukcesy nie trzeba było długo czekać. Pojawiły się seryjne tytuły mistrzów Polski. Trzon stanowili doświadczeni zawodnicy – Stanisław Tkocz i Joachim Maj oraz młodzi wychowankowie – Antoni Woryna (pierwszy Polak, który wywalczył medal w indywidualnych mistrzostwach świata) i Andrzej Wyglenda (mistrz świata par i zdobywca m.in. trzech złotych medali drużynowych mistrzostw świata). Od 1964 roku żużlowcy z Rybnika występowali pod szyldem ROW.

Wielu kibiców oglądało zawody, wchodząc na drzewa rosnące obok stadionu. Polska drużyna, w której obok Edwarda Jancarza i Andrzeja Pogorzelskiego jechało dwóch zawodników z Rybnika (Stanisław Tkocz i Andrzej Wyglenda) oraz wychowanek rybnickiej szkółki Henryk Gluecklich, zdobyła złoty medal.

Na torze przy Gliwickiej rozgrywano także mecze międzypaństwowe, w tym z drużyną Wielkiej Brytanii. „Chodzenie na żużel” w niedzielne popołudnie stało się w Rybniku i okolicznych miastach czymś oczywistym. Wypełnione pociągi dowoziły kibiców na dworzec od strony Raciborza, Wodzisławia i Jastrzębia, Żor i Orzesza. Ci, którzy posiadali motocykl, obowiązkowo dosiadali swoich rumaków. Parkingi zapełniały tysiące WFM-ek, SHL-ek i Junaków.

Gorzej wiodło się żużlowcom ze Świętochłowic. W 1958 roku drużyna Stali zdegradowana została do II ligi. W końcu sekcja została wcielona do mającego ogromne tradycje KS Śląsk. Był to jeden z najstarszych piłkarskich klubów na Górnym Śląsku. Prócz Roberta Nawrockiego, który został trenerem, w klubie pojawiło się wielu młodych zawodników. Trzej bracia Waloszkowie (Paweł w 1970 roku wywalczył tytuł Indywidualnego Wicemistrza Świata, Jan Mucha i Erwin Brabański, a nieco później wielki żużlowy showman – Józef Jarmuła. Żużlowcy Śląska trzykrotnie zdobywali wicemistrzostwo Polski w roku 1969, 1970 i 1973 (w roku 1972 trzecie miejsce). Ale potem Śląsk stracił tor i kibiców. W 1985 roku po raz ostatni wystąpił w rozgrywkach I ligi.

Rybnik znowu pierwszy

Na Śląsku rozgrywano najważniejsze imprezy międzynarodowe. Znowu Rybnik był pierwszy (m.in. w 1961 roku eliminacje drużynowych mistrzostw świata i dwa półfinały kontynentalne indywidualnych mistrzostw świata w 1966 i 1968 roku). Najlepsze drużyny świata rywalizowały w 1961 i 1966 roku na torze we Wrocławiu. Obydwa finały zakończyły się zdobyciem przez Polaków mistrzowskiego tytułu, przy niewielkim udziale rybniczian.

21 września 1969 roku organizatorem kolejnych mistrzostw był Rybnik. Zainteresowanie przerosło oczekiwania. Wielu kibiców, dla których zabrakło biletów, oglądało zawody, wchodząc na drzewa rosnące obok stadionu. Po dramatycznej rywalizacji polska drużyna, w której obok Edwarda Jancarza i Andrzeja Pogorzelskiego jechało dwóch zawodników z Rybnika (Stanisław Tkocz i Andrzej Wyglenda oraz wychowanek rybnickiej szkółki Henryk Gluecklich), zdobyła złoty medal. Śląska publiczność mogła podziwiać największe gwiazdy światowego żużla, a działacze pokazali, że wiedzą, jak organizować zawody tej rangi.

Dwa lata później otrzymali prawo organizacji finału mistrzostw świata par. Znowu sprzedano wszystkie bilety. I znowu sukces Polaków. Doświadczony Andrzej Wyglenda i młodszy od niego zawodnik Kolejjarza Opole Jerzy Szczakiel zostali mistrzami świata, zdobywając komplet punktów. Śląsk urósł do miana najważniejszego ośrodka sportu żużlowego w Polsce.

75

Chorzowski rekord świata

Na początku lat 70. zbudowano na Stadionie Śląskim tor żużlowy. 2 września 1973 roku na trybunach zasiadło 100 tysięcy widzów. Nigdy wcześniej ani później tylu widzów nie oglądało rywalizacji żużlowców. Kibice liczyli na młodego Zenona Plecha lub doświadczonych Pawła Waloszkę czy Edwarda Jancarza, ale pierwszy w historii polskiego sportu żużlowego tytuł Indywidualnego Mistrza Świata wywalczył zawodnik opolskiego Kolejjarza Jerzy Szczakiel. O zwycięstwo musiał powalczyć w dramatycznym wyścigu barażowym z wielkim Ivanem Maugerem z Nowej Zelandii.

Po raz ostatni indywidualny finał odbył się tu w 1986 roku. Zawody o Grand Prix Europy rozegrane 17 maja 2003 roku, które w pięknym stylu wygrał sześciokrotny mistrz świata Szwed Tony Rickardsson, były ostatnimi w historii tego obiektu.

Po roku 1989 kluby żużlowe przeżywały wielki kryzys. Zakłady pracy przestały je finansować. Działacze, przyzwyczajeni do strumienia pieniędzy, o które nie trzeba było zabiegać, nie byli na to przygotowani. Wiosekcyjne molochy, do których należał także ROW Rybnik, nie miały szans. W 1993 roku ROW zakończył działalność, a sekcję żużlową przejął Rybnicki Klub Motorowy, który w 2003 roku wywalczył awans do ekstraklasy. Po jednym sezonie musiał jednak opuścić grono najlepszych.

A potem – raz w górę, raz w dół. W roku 2016 drużyna rybnicka powróciła do najwyższej klasy rozgrywkowej i zajęła szóste miejsce, utrzymując się w gronie najlepszych. Klub przekształcił się w spółkę, a dzięki naciskom kibiców powrócił do starego logotypu i nazwy.

Optymizmem powiało także w Świętochłowicach. 17 lipca 2015 roku, po 13 latach przerwy, na stadionie Skałka odbyła się impreza pod nazwą „Speedway – reaktywacja”. Władze miasta planują przebudowę i modernizację stadionu. Może to droga do odrodzenia się kolejnego żużlowego klubu? ■

Henryk Grzonka

– dziennikarz sportowy, był redaktorem naczelnym Radia Katowice

Waldemar Szymczyk

Górnicy. Choć bez kopalni



Kleofas nie fedruje już od 13 lat, ale klubowi 06 Kleofas Katowice udało się dotrzeć do 110. urodzin. Jubileusz nie przypominał gali mistrzów sportu, jakie oglądamy w telewizji. Zabrakło drogich alkoholi, wytrawnego menu, szykownych kreacji. Kilkudziesięciu facetów usiadło przy stole, by zjeść rosół, roladę, napić się zimnej wódki i powspominać czasy, kiedy stawali na ringu w barwach ukochanego klubu.





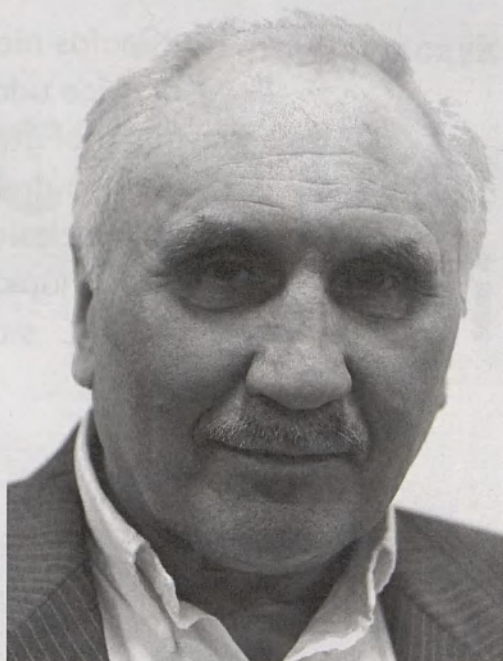
Józef Sadko – 173 walki, 130 wygranych.

– Nie wiem, na czym to polegało, ale u nas zawsze było pod górkę, zawsze brakowało pieniędzy. Nawet gdy w innych klubach górniczych nie wiedzieli, co z nimi robić – mówi Józef Sadko, zawodnik, a potem trener związany z 06 Kleofas Katowice od prawie 50 lat.

Zakazany klub

Rok 1906. Załęże jest samodzielną gminą, ma 15 tysięcy mieszkańców. Wzdłuż obecnej ulicy Gliwickiej wyrastają okazałe kamienice. Od końca XIX wieku właścicielem tutejszych pól górniczych jest spółka Giesche. Przy tak bogatym inwestorze musiały zacząć powstawać kluby sportowe, które dały robotnikom rozrywkę po ciężkiej pracy. Zaczęło się oczywiście od klubu piłkarskiego. Sportverein Zalenze powstał 23 sierpnia 1906 roku. O sekcji bokserskiej nie było wtedy jeszcze mowy – przepisy policyjne zakazywały uprawiania tej dyscypliny w całych Niemczech. Dopiero po I wojnie światowej boks przywędrował na Śląsk wraz z żołnierzami, którzy wracali z jenieckich obozów alianckich. Już pod koniec 1918 roku stoczono pierwsze walki. Pojedyunki trwały 4-9 rund. Ale więcej było młócki niż prawdziwego boksu. Walki odbywały się na festynach, cyrkowych arenach, w ogródkach przy restauracjach.

Boks stopniowo zyskiwał wymiar praktyczny: w okresie plebiscytowym zalecano go funkcjonariuszom Abstimmungspolizei, a potem szkolenie bokserskie było obowiązkowe w Policji Wojewódz-



Adam Kuliński – 165 walk, 130 wygranych.

twą Śląskiego. Obok piłki nożnej i zapasów stawał się bardzo popularną dyscypliną. Mimo że brakowało trenerów, ujednoliconych przepisów, sprzętu, a zawodnicy sami musieli ponosić koszty treningów, kupować buty, spodenki i rękawice, powstawały kolejne kluby. Trenowano w wolnym czasie: dwa-trzy razy w tygodniu po dwie-trzy godziny.

8 lutego 1923 roku powstał Śląski Związek Bokserski, do którego weszło kilkanaście klubów, m.in. KS 06 Załęże. W Sali Powstańców (obecna Filharmonia Śląska) zorganizowano mistrzostwa Śląska. Imprezę można uznać za pierwszy turniej tej rangi w Polsce. Walczyło 55 zawodników.

17 października 1924 roku zorganizowano pierwszy w Polsce turniej międzyokręgowy Śląsk – Poznań, również w Sali Powstańców. Walczył w nim Feliks Stamm (w barwach Poznania, po latach legendarny trener), który pokonał Hadinka.

KS 06 Załęże siedzibę miał w restauracjach, których właścicielami byli Niemcy. Dominowali oni zresztą we władzach. Z tego powodu klub był inwigilowany przez policję. W 1925 roku został nawet umieszczony w wykazie organizacji, do których funkcjonariusze policji nie powinni wstępować (władze sanacyjne doprowadziły do jego spolszczenia dopiero na przełomie 1929/1930 roku).

W cichą wojnę polsko-niemiecką wpisywały się też mecze między drużynami polskiego Śląska i Śląska niemieckiego. Pierwszy turniej odbył się w czerwcu 1926 roku na stadionie 1 FC Katowice i zgromadził 5 tysięcy widzów. Polacy wygrali 12:4. Mecze odbywały się co roku aż do dojścia do władzy

hitlerowców w 1933 roku (Niemcy, choć w tamtych czasach potęga pięściarska, wszystkie pojedynki przegrali). Zresztą międzywojnie to złote czasy dla śląskiego boks. W 1929 roku zarejestrowanych było w ponad 20 klubach aż 600 zawodników.

W okresie okupacji lokale, sprzęt i boisko klubu zostały przekazane organizacji Turn und Sportverein Zallenze. Sekcje bokserskie przestały istnieć. Wielu zawodników i działaczy zostało wcielonych do Wehrmachtu, niektórzy musieli się ukrywać bądź uciekać przed represjami.

Słodkie jest życie boksera?

W czasie plebiscytu większość mieszkańców Załęża opowiedziała się za Niemcami. Po wojnie wielu z nich zostało wysiedlonych albo trafiło do obozu pracy m.in. przy kopalni Kleofas bądź Fabryki Maszyn Górniczych. Ale już 13 maja 1945 roku klub się odrodził. Patronem została kopalnia, co uwieczniono w nowej nazwie: Robotniczy Klub Sportowy Kleofas Katowice (od listopada 1947 roku – Górniczy Związkowy Klub Sportowy).

Reaktywował się Śląski Okręgowy Związek Bokserski. Pod koniec lat 40. działały w jego ramach 72 kluby, w których trenowało 1100 zawodników. W latach 1945–1949 odbyło się 10 spotkań reprezentacji Śląska z zagranicznymi drużynami. Najciekawsze, choć z powodów pozasportowych, było to z drużyną z Helsinek. Miało się odbyć w Hali Parkowej przy ulicy Kościuszki w Katowicach, ale do ostatniej chwili stało pod znakiem zapytania. Finowie zamiast pieniędzy zażądali po 20 kg cukru na zawodnika. Był to wówczas towar reglamentowany i śląscy działacze mieli problem. Ale kilkanaście minut przed walką do wypełnionej po brzegi hali wniesiono osiem worków i Helsinki mogły wygrać 11:5.

20 kwietnia 1949 roku doszło do połączenia GZKS Kleofas z KS Napęd i GZKS Eminencja. Nowy klub przyjął nazwę Górnik Załęże-Dąb (potem Górnik Katowice III). Egzekutywa Komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej kopalni Kleofas nie była jednak zadowolona, że klub jest tak słabo związany z kopalnią. Ostatecznie w 1956 roku powstało Koło Sportowe Górnik, a rok później Górniczy Klub Sportowy 06. W kwietniu 1959 roku sekcja bokserska wywalczyła mistrzostwo w rozgrywkach klasy „B” pod wodzą Franciszka Kika (późniejszego trenera reprezentacji Polski). W drugiej połowie roku beniaminka okrzyknięto odkryciem rozgrywek w klasie „A”, został liderem ligi. Ale potem przyszły słabsze występy i klub nie awansował już wyżej. Do trzeciej ligi pięściarze z Załęża dostali się w 1962 roku, rok później, po wyjazdowym zwycięstwie w Radzionkowie nad miejscowym KS Ruch 11:9, mieli szansę wejść do II ligi, ale nie udało się.

W 1965 roku klub po raz kolejny zmienił nazwę, tym razem na GKS Załęże, a rok później włączono go do struktur GKS Katowice. Sekcja bokserska była jednak marginalizowana. – I to było niestety widać, nie byliśmy traktowani tak jak np. bokserzy GKS Jastrzębie – wspomina Józef Sadko. – Boks był piątym kołem u wozu. Działacze martwili się, żebyśmy do pierwszej ligi nie awansowali, bo koszty będą większe. Liczyła się tylko piłka nożna.

Sadko po raz pierwszy przyszedł na trening 5 listopada 1968 roku. Przyjechał do szkoły górniczej kopalni Kleofas z Zalasowej, w Małopolsce. Po lekcjach toczyło się nudne życie w internacie, więc wybrał się kiedyś ze starszymi kolegami na trening bokserski. Zajęcia odbywały się w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej nr 24. Na treningach większość stanowili chłopcy z internatu. Miejsowych było dwóch-trzech. – Mimo że Załęże uchodziło za trudną, niebezpieczną dzielnicę, tutejsi chłopcy chyba za bardzo cenili sobie wygodę, nie byli przyzwyczajeni do dyscypliny – przypuszcza Sadko.

A lekko nie było. Od 8.00 do 14.00 lekcje w szkole, potem obiad, chwila przerwy i o 16.00 codziennie półtorej godziny ciężkiego treningu. Sukcesy przyszły szybko. Już w 1971 roku został mistrzem Śląska juniorów, dwa lata później zdobył brązowy medal mistrzostw Śląska.

Ale nie było można zajmować się tylko sportem. Najpierw sychta, potem trening. Żadnej taryfy ulgowej. Dopiero od 1972 roku Sadko trzy razy w tygodniu pracował w kopalni jako mechanik maszyn i urządzeń górniczych, a na dwa dni był oddelegowany z kopalni do klubu. „Zawodowstwo” przyszło w drugiej połowie lat 70., kiedy przestał zjeżdżać na dół i całkowicie mógł się poświęcić uprawianiu boks.

Gwiazda Kleofasu

Sadko boksował do 1979 roku. W tym czasie pojawiła się w klubie jedna z największych gwiazd polskiego boks – Henryk Średnicki. – Był niesamowity na treningach. Walił w worek bez końca i mówił: Ja się nie męczę, nie umiem się zmęczyć – śmieje się Sadko.

Średnickiego pamięta też Adam Kuliński, który trenował w Kleofasie od początku lat 70. i stoczył w swojej karierze 165 walk. – Byliśmy razem z Heńkiem w kadrze Śląska, jako juniorzy, a potem seniorzy. Nie do zdarcia, maszyna do bicia – mówi o nim. – Było widać, że będzie wybitnym bokserem.



Irosław Butowicz – 170 walk, 120 wygranych.

Średnicki zdobył dla GKS Katowice mistrza Polski, był też pierwszym zawodnikiem klubu w reprezentacji kraju. Debiutował w niej 13 października 1974 roku w przegranym 10:12 meczu ze Stanami Zjednoczonymi (Średnicki swą walkę wygrał). Niestety, w roku 1975 odszedł do GKS Tychy, a potem do Jastrzębia, w którego barwach odnosił największe sukcesy: mistrz świata wagi muszej z Belgradu (1978), dwukrotny mistrz Europy (1977, 1979). Tak o swoim podopiecznym mówił trener Stanisław Dragan: „Heniek był po prostu urodzony do boksu. Miał naturalną wagę musz, a mógł występować też w papierowej. Jego atutami były: duża siła ciosów, jak na tę wagę, szybkość i niesamowita ambicja. On nigdy się nie poddawał. Jestem pewny, że nie do końca wykorzystał swój talent, bo ukoronowaniem jego kariery powinno być mistrzostwo olimpijskie” (startował na igrzyskach w Montrealu i w Moskwie).

Skoro najlepsi zawodnicy natychmiast trafiali do innych klubów, na które stawiał resort górnictwa, GKS Katowice skupił się na szkoleniu młodzieży. Wychowankiem jest Adam Kuliński, który przyjechał do szkoły górniczej w latach 70. z Okręgu na Lubelszczyźnie. – Nie byłem nigdy grzecznym chłopcem – przyznaje. – Zresztą zgodnie z powiedzeniem, że z aniołka nie zrobisz pięściarza – śmieje się. – Kiedyś obejrzałem film z Danielem Olbrychskim *Bokser* i wiedziałem już, że to jest to, co chcę w życiu robić. (Notabene sam zagrał w 1991 roku w filmie francuskim *Le Brasier*. Zdjęcia kręcono m.in. w Rudzie Śląskiej. Pokazał się



Damian Kuźma, prezes O6 Kleofas AZS AWF Katowice.

w kilku ujęciach, jak górnicy wychodzą z szczyty i patrzą na bokserów walczących na ringu).

W tamtych latach walki toczono w kinie Kleofas przy ul. Gliwickiej 208. – Mniej więcej raz na miesiąc ustawiany był ring. Przychodziło mnóstwo mieszkańców Załęża, ale także z okolic – wspomina Kuliński. Było mu już trochę lżej niż Sadko. Z pracy na dole zwalniali go 1,5 godziny wcześniej, żeby mógł pójść na trening. – Ale szef był mściwy. Wysyłał mnie do najgorszych robót. Dopiero od 1973 roku, kiedy w NRD wygrałem przed czasem swoją walkę, zajmowałem się tylko boksowaniem.

Rok 1973 był w ogóle szczęśliwy, bo klub wreszcie dostał własną halę przy ulicy Obroki. – Duża sala treningowa, zaplecze socjalne, biurowe, wreszcie mieliśmy komfortowe warunki – wspomina.

W 1978 roku pięściarze GKS, trenowani przez Mieczysława Woszczka, bez straty punktu awansowali do II ligi. Przyczynili się do tego m.in. Sadko i Kuliński.

Prawie nokaut

Kariera zawodnicza Irosława Butowicza przypadała na lata 80., kiedy boks zaczynał przeżywać kryzys. Widać to było po topniejącej liczbie klubów. Na początku 1980 roku zarejestrowanych było w okręgu tylko 13 sekcji. Butowicz wtedy zaczynał, a bokserzy znowu musieli zjeżdżać na dół, bo załogi nie chciały utrzymywać ich ze swoich pensji.

Przyjechał do szkoły przy kopalni Gottwald (od 1974 roku nowa nazwa kopalni Kleofas) z Gubina

i od razu zaczął treningi, bo boks uprawiał tu jego starszy brat. – Rok wcześniej przyjechałem do brata na wakacje, wziął mnie na trening. Założyłem rękawice, zacząłem worki obijać. W pewnym momencie podszedł do mnie trener i spytał: Skąd ty to umiesz? Zaproponował internat i treningi od zaraz. Ale rodzice się nie zgodzili, musiałem więc wrócić do domu, dokończyć podstawówkę. Przyjechałem do Katowic dopiero po roku.

Najpierw trafił pod opiekę trenera Leszka Dyczka, potem Józefa Sadko. W roku 1984 zaczął go trenować Franciszek Kik. – Połowa ekipy odpadła już po kilku tygodniach, bo nie wytrzymywała kondycyjnie treningu – wspomina Butowicz.

Pamięta też rosnący nacisk polityczny. – Kiedyś przyszedł na trening dyrektor ds. pracowniczych kopalni i zaproponował, żebyśmy wstąpili do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Byłem kapitanem, miałem silną pozycję, bo zdobyłem tytuł Mistrza Śląska, byłem też medalistą mistrzostw Polski. Nie pasowało mi to, więc odpowiedziałem w imieniu zespołu, że sportowcy nie powinni działać w organizacjach politycznych. I na tym się skończyło.

Butowicz szczególnie zapamiętał rok 1987, kiedy wszyscy w czynie społecznym budowali małą halę treningową przy ulicy Obroki. – Przed treningiem nosiliśmy w ramach rozgrzewki worki z cementem i cegły, a potem był zasadniczy trening. Trwało to rok, ale hala powstała.

Jednak powoli kończył się dobry klimat. Butowicz pamięta, że pod koniec lat 80. wprowadzono zasadę, że ma co drugi dzień iść do pracy w kopalni, ewentualnie pracować cztery godziny, a pozostałe spędzać na treningu. Ale nie przypomina sobie, żeby był przez innych górników atakowany z tego powodu. – Wypłaty dawali w cechowni, w rogach stały telewizory i leciały na wideo nasze walki. Wszyscy je oglądali i gorąco komentowali – wspomina.

Zmiany ustrojowe po roku 1989 spowodowały jeszcze większe problemy finansowe w śląskim sporcie. Wielkie zakłady przemysłowe, huty i kopalnie, które dotąd utrzymywały sekcje sportowe, same zaczęły ledwo wiązać koniec z końcem. W roku 1991 po raz ostatni odbyły się mistrzostwa Śląska seniorów.

Zaczęła rozpadać się także struktura GKS Katowice. Po raz ostatni pięściarze wystąpili pod tą nazwą w rozgrywkach II ligi w 1990 roku. Założycielskie zebranie 06 Kleofas odbyło się 21 sierpnia tego samego roku. Prawie wszyscy założyciele byli pracownikami kopalni (znowu Kleofas) lub byli związani z klubem. 1 września 1991 roku kopalnia przekazała klubowi halę sportową przy ulicy Obroki oraz kilka innych obiektów. Ale zlikwidowano etaty dla bokserów. – Na szczęście zostaliśmy przeniesieni do firm zewnętrznych, którym kopalnia zlecała roboty – wspomina Butowicz (pracował w wentylacji, potem jako ratownik górniczy, na treningi chodził wieczorami).

Mimo problemów klub awansował do I ligi pięściarskiej w 1993 roku. Ale musiał się wycofać z rozgrywek, bo brakowało pieniędzy. Ostatnim wielkim osiągnięciem był występ Marcina Walasa w mistrzostwach świata w Budapeszcie, które odbyły się w 1997 roku. Ten 15-krotny reprezentant Polski stoczył 199 walk, z czego 155 wygrał.

W 1998 roku rozpoczęły treningi kobiety. Do pionierek można zaliczyć Agnieszkę Szwedę i Dorotę Kosatkę, które stoczyły pierwszą w województwie walkę pokazową.

Obecny prezes Damian Kuźma, który pełni tę funkcję od 2011 roku, też jest wychowankiem klubu. Przyszedł po raz pierwszy na trening w 1999 roku. Miał wtedy 15 lat. Przyprowadził go kolega, który już wcześniej trenował. – Pamiętam, że w sali zawsze było dużo ludzi, było ciepło, działała sauna, były czyste szatnie. Potem z roku na rok robiło się coraz gorzej.

W 2002 roku kopalnia przestała finansować klub. Kilka firm nadal go wspomagało, ale to już nie były te pieniądze co dawniej. Jedynym liczącym się mecenasem stało się miasto Katowice. W 2006 roku klub ogłosił upadłość i przejęło go stowarzyszenie, które jest właścicielem do dziś. – Jesteśmy jedynym klubem bokserским w Katowicach. Koncentrujemy się na szkoleniu dzieci i młodzieży. Mamy ich pod opieką ok. 30. Coraz częściej przychodzą też poboksować dla relaksu ludzie w średnim wieku, także kobiety. Rocznie przewijają się przez klub ok. 100 osób, to też dodatkowe źródło pieniędzy – mówi Kuźma.

W 2015 roku Kleofas stracił halę przy ulicy Obroki. Została zburzona. – Dowiedzieliśmy się o tym na tydzień przed wjechaniem buldożerów. W ostatniej chwili przewoziliśmy prywatnymi samochodami sprzęt i pamiątki – wspomina Kuźma.

Obecnie zawodnicy trenują w budynku GKS-u Katowice, dostali też pomieszczenia na stadionie AWF przy ulicy Kościuszki. Zmieniła się po raz kolejny nazwa klubu. Brzmi 06 Kleofas AZS AWF Katowice. Ile jeszcze lat 110-letni klub przetrwa? Tego prezes Kuźma nie wie. ▣

Korzystałem z książek: Henryk Marzec, *80 lat śląskiego boksu*, Antoni Steuer, *100-lecie 06 Kleofas Katowice*

Waldemar Szymczyk

– wieloletni redaktor „Gazety Wyborczej”, dyrektor wydawniczy Imago PR

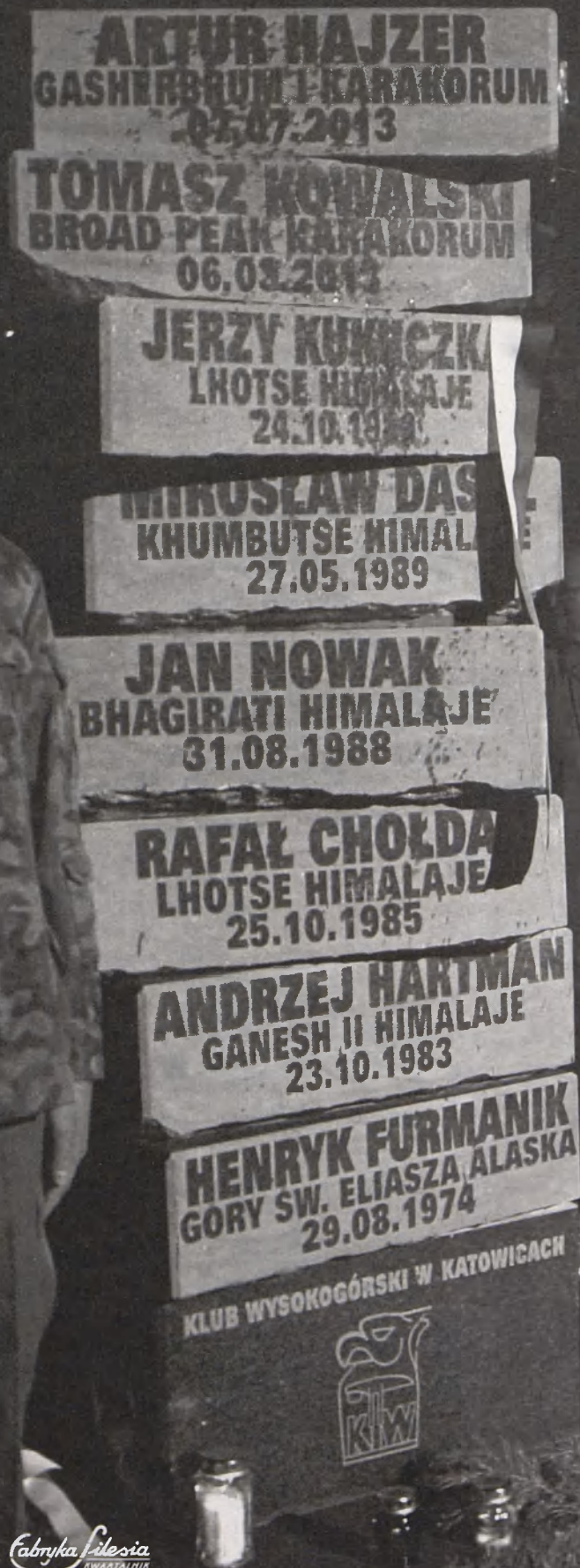
Pomnik pamięci śląskich himalaistów
w katowickim parku Kościuszki.

Jan Matuszyński

Czas triumfów i dramatów

82

ARCHIWUM PRYWATNE JANA MATUSZYŃSKIEGO



Fabryka Silesia
KWARTALNIK

83

Wbijamy szpilkę z nitką na mapie, mierzymy
długość nitki do Halicza, Tarnicy, Rysów, Trzech
Koron, Babiej Góry, Łysicy, Skrzycznego i Śnieżki.
Z żadnego większego miasta w Polsce w te rejony
nie jest relatywnie tak blisko, jak z Katowic.
„Stolica polskich gór?!“

Fabryka Silesia
KWARTALNIK



16 października 1978 roku. Wanda Rutkiewicz staje na wierzchołku Mount Everestu (8848 m). Nikt przed nią z kraju nad Wisłą nie miał na to szans. Samej Wandzie też trochę pomógł przypadek. Miała wprowadzić na szczyt koleżankę z Niemiec, bo wyprawę zorganizowali nasi zachodni sąsiedzi. Koleżanka nie dała jednak rady, zawróciła, a Rutkiewicz poszła na szczyt. Udało się. Pierwsza Europejka, druga kobieta w ogóle.

Od lewej:
Ryszard Warecki,
Jerzy Kukuczka
i Ignacy „Walek”
Nendza w bazie
pod Annapurną
(1988 r.).

Złota era

Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki pokonali tę górę dwa lata później. Też mieli satysfakcję, bo otwarli rozdział w dziejach światowego wspinania: zdobywanie ośmiotysięczników zimą. A zaczęli od najwyższego. O tej porze roku (17 lutego 1980) jeszcze nikt nigdy nie był tak wysoko.

24 października 1989 roku na południowej ścianie Lhotse (8511 m) zginął Jerzy Kukuczka. Ta symboliczna, zaskakująca środowisko śmierć zatrzymała polski czas w górach najwyższych. Nasz król Himalajów nie żyje? Nikt nie chciał wierzyć, że drugi w świecie człowiek w koronie ośmiotysięczników (pierwszym jest Reinhold Messner) tym razem nie miał szczęścia. Nie miał, pękła lina, Jurek spadł z 3,5-kilometrowego urwiska.

Kukuczka, Wielicki. Dwa nazwiska przywołane w kontekście milowych kroków w historii polskiego, światowego wspinania. Wielicki ma się dobrze. Prawdopodobnie w 2017/2018 roku poprowadzi wyprawę na K2, ostatni szczyt ośmiotysięczny niezdobyty zimą. We wrześniu 2016 roku obchodził 20-lecie koronacji kompletem kolosów Himalajów i Karakorum (5. pozycja w królewskim rankingu). Obaj współwładcy krainy szczytów najwyższych reprezentowali katowicki Klub Wysokogórski.

Poszerzmy nieco ramy kalendarzowe i listę ważnych nazwisk: Zbigniew Abgarowicz, Janusz Baranek, Adam Bilczewski, Janusz Chmielowski, Rafał Chołda, Andrzej Czok, Mirosław „Falco” Dąsał, Zdzisław Dziędzielewicz, Henryk Furmanik, Artur Hajzer, Andrzej Hartman, Bożena Hartman-Momatiuk, Jan Kielkowski, Aćka i Marek Łukaszewscy, Majer, Czesław Momatiuk, Ignacy „Walek” Nendza, Paweł Palus, Jan Nowak, Grażyna Nowak-Pawłowska, Ryszard Pawłowski, Andrzej Popowicz, Dariusz Porada, Witold Sas-Nowosielski, Wacław Sonelski, Ryszard Szafirski, Zbigniew Terlikowski, Ryszard Warecki, Tadeusz Wojtera, Adam Zyzak... Niepełna lista obecności i nieobecności wielkich i większych, jak same góry.

Wszyscy wymienieni (i nieodnotowana w tym miejscu armia wspinaczy) to ludzie związani ze śląskim środowiskiem alpinistycznym zrzeszonym głównie w Harcerskim Klubie Tatarnickim i kołach centralnego Klubu Wysokogórskiego: gliwickim i katowickim, a od 3 marca 1974 roku, kiedy to powołano do życia Polski Związek Alpinizmu, w samodzielnych, regionalnych klubach.

Bytom w Andach

Był rok 1971. W „Taterniku” czytamy: „Śląska wyprawa Andy 1971. W okresie od 22 maja do 17 września 1971 r. na terenie Peru działała I Polska Wyprawa w Andy Peruwiańskie zorganizowana przez śląskie koła Klubu Wysokogórskiego z okazji 50-lecia powstań śląskich pod patronatem członka Rady Państwa, przewodniczącego WRN w Katowicach gen. Jerzego Ziętka. Po dwóch wyprawach przedwojennych była to trzecia polska ekspedycja na kontynent południowoamerykański”.

Adam Zyzak: „Heniek Furmanik (szef) był jakoś związany rodzinnie z Jerzym Ziętkiem. To nam trochę pomogło. Poza tym wysłaliśmy do 3 tysięcy instytucji i zakładów pracy w regionie prośbę o wsparcie finansowe (...). Przyszło może ze 100 odpowiedzi w ogóle, z czego 10 pozytywnych, skutkujących dość symbolicznymi kwotami. Poważniejsze pieniądze za udział w wyprawie dwóch operatorów wpłaciła warszawska Wytwórnia Filmów Dokumentalnych. Dewizy przydzielono nam... decyzją rządową. Wojsko pożyczyło nam dwutonową ciężarówkę GAZ 63A i 8-osobową terenówkę. Do Peru popłynęliśmy statkiem Polskich Linii Oceanicznych, ponosząc tylko koszty własnego utrzymania. Wcześniej firma Hartwig »przerzuciła« sprzęt, samochody i zaopatrzenie z Katowic do Gdyni. My poleciliśmy samolotem do Gdańska, za darmo... Tak w ogóle, formalnie, to byliśmy na półrocznej delegacji z Urzędu Wojewódzkiego (...). Wyprawa zdobyła łącznie 17 andyjskich szczytów, w tym 7 dziewiczych, na 4 poprowadzono nowe drogi. Trzy góry, które nie miały nazw, ochrzcziliśmy: Bytom, Silesia i Kopernik”. Czy bytomianie wiedzą, że mają swoją górę w Ameryce Południowej?

Śląska wyprawa w Andy to było coś. Pół roku, ciężarówkę i ludzie na statku przez ocean, setki kilometrów w górach, tysiące metrów po górach i szczytach, wizyty u peruwiańskich notabli, złote i srebrne odznaki zasłużonych dla województwa i medale 50-lecia powstań śląskich.

Gierek i Everest

85

Trzy lata później Furmanik dopina jeden z pomysłów chodzących mu po głowie już dłuższy czas: Alaska, Góry św. Eliasza, McKinley (6194 m, od 2015 roku – Denali), dach Ameryki Północnej. Popłynęli „Batorym”, prawie całe Stany Zjednoczone i kawałek Kanady pokonali ciężarówkami i helikopterami. Tak miało być i było. Ale miało być jeszcze COŚ. Adam Zyzak: „Furmanik chciał więcej i więcej. Gdy w 1971 roku wracaliśmy z Peru, wiedzieliśmy już na statku, że celem następnej wyprawy będą góry Alaski. Ale to było nic w porównaniu z tym, co chodziło mu po głowie: Alaska to tylko wstęp do Everestu! Jeszcze przed wyjazdem Heniek rozpoczął przygotowania. Przewidywał, że pomoże w tym sam towarzysz Gierek. Dalszy ciąg nie nastąpił. Śmierć Heńka i Krzyska Tomaszewskiego, ciężkie odmrożenia Kukuczki i Sznytzerza skasowały nam radość z górskiego sukcesu. Paradoksalnie tragedia miała miejsce właściwie po zakończeniu głównej części działań. Lawina kompletnie nas zaskoczyła, Heniek i Krzysiek mieli mniej szczęścia niż cała reszta”.

W sześć dni weszli zachodnim żebrem na Denali, później były jeszcze Mount Hubbard i Hector. Jednemu z niezdobytch i nienazwanych szczytów dali na imię Mount Poland. Przypomnijmy: Jan Bagsik, Janusz Baranek, Adam Bilczewski, Michał Gliński (lekarz), Henryk Furmanik (kierownik), Jerzy Kalla, Wojciech Kłosok (radioamator), Jerzy Kukuczka, Jerzy Sznytzer, Krzysztof Tomaszewski, Roman Trzeszewski (filmowiec), Adam Zyzak.

Pięć lat później – jesienią – gliwiczanie współ z kolegami z Katowic i Opola jadą na Lhotse. „Taternik” znów daje wyprawie przydomek „śląska”. Cel: czwarte wejście na czwartą górę Ziemi. Zespołem dowodzi Adam Bilczewski. W składzie jest znowu Kukuczka. W 1977 roku nie udało mu się wejść na Nanga Parbat (8125 m). Teraz nie tylko Jurek liczy na swój pierwszy ośmiotysięcznik. Do tego momentu tylko jedyńca Wanda ma to już za sobą. „Po przeprowadzeniu akcji górskiej w bardzo dobrym stylu, bez jakiegokolwiek awarii, a w dodatku bez korzystania z pomocy Sierpów” – relacjonował Adam Bilczewski. W ciągu pięciu dni na szczycie Lhotse staje osiem osób, w tym trójka bez użycia aparatów tlenowych. Sukces w pełnym blasku. Himalaje stoją otworem, także dla nas.

Wkrótce potem Wielicki z Cichym są zimą na Evereście. W trakcie tej samej, przedłużonej wyprawy Andrzej Czok i Kukuczka zdobywają najwyższą górę świata południowym filarem. Nazwiska utożsamiane ze śląskimi klubami wysokogórskimi pojawiały się w różnych narodowych i międzynarodowych konstelacjach.

Kluby też nie zasypiały gruszek w popiele. Z licznych przedsięwzięć wymyślonych i realizowanych przez Ślązaków zwróćmy uwagę na dwa, które – choć niemal w całości przygotowane przez ekipy z Katowic, Gliwic i Jastrzębia – nie figurują w annałach pod hasłem: „śląskie”.

W przypadku próby pokonania południowej ściany Lhotse w 1985 roku to zrozumiałe, Walek Fiut reprezentował Speleoklub Morski z Gdyni, reszta uczestników wystąpiła w barwach KW Katowice. Natomiast dłaczego zakończona przejściem gigantycznej ściany wyprawa na Haramosh (1988 rok) nie doczekała się regionalnego przydomku, tego nie wie nikt. Może lepiej było nie drażnić centrali? Wszak cały splendor z tytułu wysokogórskich sukcesów spływał wtedy na Śląsk.

Kukuczka jesienią 1987 roku skończył zdobywanie Korony Himalajów i Karakorum. Wielicki „wbiegł” na Broad Peak (8057 m) w 23 godziny. Wielicki z Kukuczką pokonali Kangczendzongę (8695 m) zimą. Hajzer był partnerem Kukuczki na Annapurnie (8091 m) i Shishapangmie (8025 m). *Notabene* pierwszym Polakiem na tej ostatniej był katowiczanie, Ryszard Warecki. (Kukuczka z Hajzerem „robili” inną, nową drogę, reszta – siedem osób – dotarła na szczyt drogą klasyczną). Mistrzostwo świata!

Góra górą

Gdzieś z tyłu głowy czasem pojawiał się wierzchołek Lhotse widziany od południa. Marzenie sprzed lat. Już Bilczewski, organizując wyprawę w 1979 roku, myślał, jak by tu... Nie dostał pozwolenia. Poszli drogą pierwszych zdobywców, od zachodu.

Lhotse '85 to pierwsze zderzenie z południową, ponadtrzykilometrową ścianą ośmiotysięcznika. Problemem XXI wieku, jak mawiał Messner. Pod wodzą Janusza Majera, szefa katowickiego Klubu Wysokogórskiego, walczą: Wielicki, Pawłowski, Kukuczka, Chołda, Hajzer, „Falco” Dąsał, Fiut. Chołda ginie. Na wysokości ok. 8200 metrów wyprawa kończy się także sportową porażką.

Lhotse '87 – akt drugi. Wielicki i Hajzer osiągają w ścianie 8300 metrów. Biwakują w strefie śmierci. Wycofują się. Lawina zabija Czesława Jakiela, Walek Fiut ledwo uchodzi z życiem. Znowu góra górą. Lhotse '89 – Wielicki i Hajzer w wyprawie Reinholda Messnera pokonują w ścianie „ledwo” 7200 metrów. Kolejna porażka. Lhotse '89, po raz drugi – Kukuczka z Pawłowskim mają do szczytu ok. 200 metrów. Monstrualna ściana prawie w zasięgu. Odpada Kukuczka, pęka lina. Jurek spada w przepaść. Pawłowski wraca. Klęska.

Spasowali. Ściana padła w 1990 roku. Rosyjska dwójka Bierszow – Karatajew stanęła na wierzchołku 1 października, w niecały rok po śmierci Kukuczki.

Kolektywnie na kominach

Paweł Pallus (w 1964 roku współzałożyciel Harcerskiego Klubu Taternickiego): „Zaczęło się dawno, od skałek, Tatr, sporadycznie Alp, a w latach 60. Hindukuszu. Afganistan był tani, droga wiodła przez Związek Radziecki. Daleko, w miarę wysoko, ale bez większych problemów. Było jeszcze trochę Afryki: góry Atlasu, grań Ruwenzori i znów Hindukusz. Wszystkie te wyprawy miały jeden feler: dewizy. Ale radziliśmy sobie i z tym, zapraszając uczestników z zagranicy, którzy wpłacali na konto wypraw dolary. Wydawaliśmy też foldery tematyczne. Śląskie zakłady pracy »reklamowały się« w nich, co miało raczej znaczenie symboliczne, jednak pozwalało na legalne przekazanie pieniędzy na cele wyprawowe. Na podobnych zasadach katowicki klub jesienią 1977 roku zorganizował swoją pierwszą wyprawę w Himalaje. Celem była Nanga Parbat. Niestety bez powodzenia, choć Jurek Kukuczka, Marek Pronobis i Marian Piekutowski byli bardzo blisko. Przegrali z pogodą. W trakcie przygotowań część przyszłych uczestników wyprawy pracowała przy porządkowaniu i myciu hal fabrycznych”.

Ignacy „Walek” Nendza – instruktor alpinizmu, współzałożyciel Harcerskiego Klubu Taternickiego, wychowawca pokoleń wspinaczy: „Było coś takiego jak FASM – Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. Powstawały »kolektywy«, którym wolno było zarabiać pieniądze z przeznaczeniem na konkretne cele. Nikt ich nie dostawał do ręki. Ale też nikt nie protestował, gdy wspieraliśmy nimi organizację wypraw. Przy klubie katowickim założyliśmy koło ZMS-u, a przy nim zaczął działać ów kolektyw. Do niego zapisali się niemal sami »starcy« (...). Swoją kolektyw miał również Harcerski Klub Taternicki. W okresie największej prosperity HKT kupił ciężarówkę i nyskę. Gdzie wtedy było najwięcej kominów? Na Śląsku. Toteż tu było najwięcej roboty”.

Kiecki w paczkach

Kominy były jak magnes. Ludzie przyjeżdżali z różnych zakątków Polski. Krzysztof Wielicki urodził się w Wielkopolsce, studiował we Wrocławiu: „Do Tychów, do Fiata, przyjechało ze mną 23 elektroników tylko



Henryk Furmanik zginął na początku lat 70.

Ciągle do końca nie wiadomo, dlaczego wtedy, tu i tak. Położenie, czas, możliwości, ludzie i predyspozycje? Fakty przemawiają same za siebie. Lata, do których zaglądamy, to niepowtarzalny czas w historii śląskiego i polskiego wspinania. Można nań spojrzeć przez pryzmat triumfów, z refleksją nad tragediami lub odwrotnie.

z mojego roku (...). Śląsk przyciągał tłumy. Z ilości rodziła się jakość. To także dotyczyło środowiska górskiego. Jeśli ktoś się wspinał w innej drużynie, gdzieś w Polsce, to teraz zmieniał barwy i dołączał do reprezentacji Śląska (...). Katowicki klub przy Chopina 2 tętnił życiem dniami i nocami (...). Jednoczyliśmy się w trakcie imprez, wyjazdów i wypraw. Razem pracowaliśmy od pewnego czasu w klubie, a raczej dla klubu, pośrednio dla siebie. Z wiaderkiem farby i malarskim wałkiem. Sytuacja w kraju ogólnie była dość kiepska, tymczasem alpinizm miał się dobrze. Dziś tę prostą metodę zarabiania pieniędzy nazwałbym cichym sponsoringiem przez zakłady przemysłowe. Zdarzało się, że pracowaliśmy dwa, trzy miesiące w roku i zarobiona kasa pozwalała na wyjazd, a transakcje w trakcie wyjazdu dawały utrzymanie rodzinie.

W pierwszej połowie lat 80. na mój adres zaczęły przychodzić spore paczki. Pierwsza była kompletnym zaskoczeniem. Miejsce nadania: New Delhi. Nazwisko nadawcy: znane. W środku pozwijane w kłębek zwiewne sukienki w dużej liczbie. To nie był prezent dla mnie. Po dookreśleniu mechanizmu podobne paczki trafiały do rodziny bliższej, potem dalszej i sprawdzonych przyjaciół. Sprawdzonych. To była podstawa”.

Krzysztof Wielicki, współwładca gór najwyższych, uśmiecha się: „Nie byliśmy gangiem przemytników! Owszem, handlowaliśmy sprzętem, kurtkami puchowymi. Były w cenie. Kupowaliśmy kiecki, w ogóle ciuchy, które w Polsce szły na pniu. Nierzadko były zamawiane. Ale to były drobne inicjatywy biznesowe”.

Spłot okoliczności

Ciągle do końca nie wiadomo, dlaczego wtedy, tu i tak. Położenie, czas, możliwości, ludzie i predyspozycje? Ślązacy są jacyś inni? Krzysztof Wielicki: „Trochę tak, tacy lepiej zorganizowani. »Etos pracy« – wyświechtane, ale ciągle prawdziwe. Fakt, że w tamtych latach Śląsk pracował na całą resztę Polski. Mniejsza o argumenty i powody. Tak było. Okoliczności obiektywne (...). To do Katowic udało się w 1988 roku przyciągnąć szczególnych gości, naszych wysokogórskich wspinaczy z Europy i świata, na pierwszy w Polsce przegląd filmów górskich. Diemberger, Schell, Schauer, Walde i dziesiątki innych. Brakowało tylko Reinholda Messnera, który nie lubi, gdy ktoś kradnie mu show, a wtedy miał to jak w banku. W Katowicach rządził Jurek Kukuczka”.

Dariusz Kortko, szef katowickiej „Wyborczej”, współautor (wraz z Marcinem Pietraszewskim) biografii *Kukuczka. Opowieść o najsłynniejszym polskim himalaiście*: „Nie fetyszyzowałbym fenomenu śląskiego wspinania. Decydowały okoliczności. Tu była szansa. Można było zarabiać pieniądze niezbędne w organizacji wypraw. Ważne, że właśnie okoliczności były odpowiednio wykorzystywane. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie w trakcie rozmów, opowieści i przygotowań do publikacji książki”.

Fakty przemawiają same za siebie. Lata, do których zaglądamy, to niepowtarzalny czas w historii śląskiego i polskiego wspinania. Można nań spojrzeć przez pryzmat triumfów, z refleksją nad tragediami lub odwrotnie.

W parku Kościuszki w Katowicach, nieopodal drewnianego kościółka św. Michała Archanioła, stoi pomnik. Na nim nazwiska: Furmanik, Hartman, Chołda, Nowak, Dąsał, Kukuczka, Kowalski, Hazjer. Za każdym z nich kryją się górskie sukcesy i dramaty. ■

Jan Matuszyński

– dziennikarz, był redaktorem naczelnym tygodnika „Echo” i sekretarzem programowym TVP Katowice

Marcin Zasada

Dogonić stracony czas

Śląsk był sportową potęgą przed i po wojnie. Z infrastruktury zbudowanej nie tylko 50, ale nawet 100 lat temu korzystamy do dziś, czym chwalić mogliby się chyba tylko nieżyjący już architekci. Zaniedbania w tej materii odrabiamy, ale często wbrew realiom ekonomicznym.

Na stadionie wybudowanym w 1936 roku piłkarze Ruchu Chorzów grają do dziś. Trybuny stadionu Polonii Bytom pamiętają jeszcze wizytę w tym mieście Adolfa Hitlera. Pół wieku liczą sobie najbardziej reprezentacyjne obiekty widowiskowe w regionie – Stadion Śląski i katowicki Spodek. Gdyby wskazać dziedzicę, w której Śląsk jeszcze do niedawna zupełnie tkwił w przeszłości, byłby to właśnie sport.

Obiekty sportowe mają to do siebie, że starzeją się szybciej niż pałace czy kamienice – po prostu ich funkcjonalność, względy bezpieczeństwa czy zwykła wygoda widzów z czasem rozmijają się z wymogami nowoczesności. Wspomniany stadion Ruchu to bardzo wymowny przykład. Gdy trzy lata przed wybuchem II wojny światowej montowano na nim nową, awangardową zadaszoną trybunę główną (bez słupków podtrzymujących dach, które ograniczały pole widzenia), był on najnowocześniejszą areną piłkarską w Polsce. Gmina Wielkie Hajduki, dzisiejszy Chorzów, kupiła trybunę w wyniku szczęśliwego splotu okoliczności – po tym, jak jej pierwotny odbiorca, Wielkopolskie Towarzystwo Wyścigów Konnych, zrezygnował z transakcji.

Dziś ta część stadionu przy ul. Cichej zasługuje, być może, na wpis do rejestru zabytków. Jest też bez wątpienia ważnym świadectwem historii miasta i wyjątkowych w skali kraju sukcesów piłkarzy Ruchu (14 tytułów mistrza Polski). Ale jeśli cały obiekt, poza kosmetycznymi zmianami, w XXI wieku wciąż przypomina o epoce międzywojnia, to najlepszy dowód, że od dawna nie przystaje do potrzeb współczesności. Chorzów od lat przymierza się do budowy nowej areny, ale miasta na nią po prostu nie stać (90 mln – tyle ma kosztować w optymistycznym wariantcie). Pieniądze, które w zeszłorocznym budżecie zarezerwowano na projekt „Stadion”, chorzowski samorząd pożyczył Ruchowi (18 mln zł).

Real przegrał w Bytomiu

Wróćmy jeszcze do przedwojennej przeszłości. Zanim w Chorzowie otwarto zadaszoną trybunę, w sąsiednich Katowicach najsłynniejszym obiektem sportowym od 1931 roku był Torkat – pierwsze sztuczne lodowisko w Polsce. W zależności od pory roku nieistniejący obiekt przy ul. Bankowej (dziś stoi tu Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej, CINIbA) gościł hokeistów i łyżwiarzy figurowych lub piłkarzy i tenisistów, w tym również światowe gwiazdy sportów zimowych. Po wojnie na Torkacie zdążyli wystąpić koszykarze Harlem Globetrotters. Po pożarze w 1973 roku obiekt zaczął podupadać – zamknięto go w 1994 roku.

Na podzielonym poplebiscytową granicą Śląsku sport był jednym z wielu pól polsko-niemieckiej rywalizacji. W 1929 roku otwarto stadion miejski w Bytomiu, w którym wcześniej sportowo-rekreacyjne życie toczyło się wokół obiektu na terenach kopalni Heinitz (późniejszy Rozbark). Istniało tam duże i małe boisko piłkarskie, była trybuna dla 800 osób, bieżnia lekkoatletyczna oraz korty tenisowe, zaś zimą urządzano lodowisko. Jakkolwiek niezwykle to brzmi, właśnie tam w 1923 roku piłkarze klubu Beuthen 09 pokonali Real Madryt 2:1. Mistrzowie Hiszpanii przyjechali na Śląsk w ramach gościnnej wizyty. Dodajmy, że w 1931 roku otwarto w Bytomiu imponującą, zaprojektowaną w stylu funkcjonalizmu, krytą pływalnię, zaplanowaną ponoć jako obiekt rezerwowy-treningowy na potrzeby olimpiady w Berlinie.

Przywołany na początku stadion miejski w Bytomiu, noszący dziś imię Edwarda Szymkowiaka, to przypadek jeszcze bardziej jaskrawy od chorzowskiego. Przez lata był jedynie doraźnie remontowany lub przebudowywany, a świadectwem ciągłej prowizorki niech będzie klubowy budynek Polonii, postawiony w latach 80. jako... gmach tymczasowy. Budowę nowego stadionu, w ramach dużego sportowego kompleksu (m.in. z dwoma lodowiskami oraz basenem), na swój wyborczy sztandar wpisał dwa lata temu prezydent miasta Damian Bartyła. Jest gotów przeprowadzić tę inwestycję na kredyt i wbrew możliwościom ekonomicznym Bytomia, bo, jak sam przekonuje, tylko przez sport może być realizowana prawdziwa rewitalizacja społeczna miasta.

Kto wyciągnął wnioski z Gliwic

Paradoksalnie jednak ta idea zgodna jest z tym, w co na Śląsku wierzone przez całe dziesięciolecie. Po pierwsze, w społeczną misję sportu, po drugie – w potrzebę realizowania tej misji za pomocą architektonicznych molochów. Różnie się te plany kończyły. W połowie lat 20. ubiegłego stulecia w Gliwicach, wówczas najbardziej usportowionym mieście na Górnym Śląsku, działało 35 klubów, dlatego lokalny samorząd uznał, że koniecznością jest budowa dużego, wielofunkcyjnego obiektu. Efektem był projekt w pełni zadaszonego, mieszczącego ok. 20 tysięcy widzów stadionu, z bieżniami lekkoatletycznymi, torem wyścigowym, zapleczem usługowym oraz basenem pływackim i kortami tenisowymi obok. Kom-

pleks miał powstać w 1926 roku, ale przy budżecie nadwyższonym takimi inwestycjami, jak dworzec czy lotnisko oraz w obliczu nieoczekiwanych kłopotów ze szkodami górniczymi, inwestycja przeciągnęła się o 10 lat i finalnie obiekt, który otwarto w 1936 roku, był znacznie mniej spektakularny, niż przewidywano.

Władze dzisiejszych Gliwic najwyraźniej wyciągnęły wnioski z tamtej historii, bo ich miasto doczekało się nowego stadionu jako pierwsze na Śląsku w XXI wieku. Arena, której gospodarzem są piłkarze Piasta, jest kameralna (niespełna 10 tysięcy widzów), wybudowano ją w rok i była przede wszystkim nieporównywalnie tania, jak na obecne warunki (mniej niż 60 mln zł). To zupełne przeciwieństwo nowego stadionu w Zabrzu, postawionego w miejscu obiektu z 1934 roku. Jego koszty przekroczyły 350 mln zł, choć pierwotnie szacowano, że zamkną się w 200 mln. Pierwszy etap prac, w trakcie których wybudowano trzy trybuny, miał trwać 20 miesięcy, a zakończył się po blisko pięciu latach. Nie wiadomo, kiedy miasto wybuduje czwartą, najważniejszą trybunę, dzięki której pojemność obiektu zbliży się do 32 tys. miejsc (obecnie 24,5 tys.).

Konkurencja nas przegoniła

Obecna dekada to z całą pewnością epoka renesansu porównywalna z międzywojnem – nowe obiekty piłkarskie działają w Gliwicach, Zabrzu, Tychach, a budowa kolejnych ma wkrótce ruszyć w Bytomiu i Katowicach (obecny stadion przy ul. Bukowej ma już prawie 62 lata). W Gliwicach kończą stawiać największą w regionie halę widowiskowo-sportową (prawie 14 tys. widzów), w tym roku w Katowicach ruszy projekt budowy trzech basenów. We wrześniu planowana jest inauguracja Stadionu Śląskiego, po długiej i bardzo kosztownej, ponad 650-milionowej modernizacji.

Najnowsze dzieje chorzowskiego giganta (rocznik 1956) najmocniej pokazują inny problem, jaki mamy na Śląsku z obiektami sportowymi. Dawna potęga regionu utożsamiana ze stadionem narodowym, na którym odbywały się najważniejsze mecze polskiej reprezentacji piłkarskiej, jest dziś w cieniu m.in. Warszawy, Gdańska, Poznania czy Wrocławia. Symbolicznym odstawieniem Śląska na boczny tor w tej dziedzinie był wybór miast gospodarzy Euro 2012 i do dziś nie ma żadnej gwarancji, że wielkie imprezy futbolowe na stałe wrócą do Chorzowa. Po prostu dogoniła nas konkurencja z innych części Polski, która kiedyś nie była w stanie rywalizować ze Śląskiem finansującym sport dzięki swojej silnej przemysłowej kondycji. Władze województwa nie potrafiły, lub nie chciały, dostrzec tego zjawiska, dlatego uparcie finansowały remont stadionu, który w 2017 roku będzie mniej nowoczesny i mniej funkcjonalny niż starsze o sześć lat obiekty w stolicy czy na Pomorzu.

Widać to dobitnie w tabeli piłkarskiej ekstraklasy, w której nie ma już ani targanych finansowymi problemami Górnika Zabrze i Polonii Bytom, ani GKS-u Katowice. Spadek grozi też Ruchowi Chorzów. Piast Gliwice jest ligowym przeciętniakiem. Wszystkie kluby, kiedyś utrzymywane przez przemysł, do dziś nie znalazły nowej formuły funkcjonowania na wolnym rynku i są finansowane przez samorządy.

Bolesne skutki rośnięcia w siłę pozaśląskiej konkurencji wskazuje także sytuacja Spodka. Hala, która w ubiegłym roku obchodziła 45. urodziny, wciąż może szczycić się mianem najsłynniejszej zamkniętej areny sportowej w Polsce. Ale dziś to miasto dopłaca organizatorom wielkich imprez, by ściągnąć je do Katowic. 100 kilometrów dalej, w Krakowie, stoi hala większa i nowocześniejsza. Kolejna, przypominamy, niebawem zostanie otwarta w Gliwicach.

Warto pamiętać także o kosztach utrzymania takich obiektów – Stadion Śląski ma obciążać budżet województwa w wysokości 10 mln zł rocznie. 5 mln zł rocznie Katowice płać zarządcy Spodka – to, według różnych szacunków, połowa lub jedna trzecia pieniędzy, jakie trzeba wydać za użytkowanie hali. I jeszcze jeden szczegół – wszystkie nowe areny sportowe budujemy na Śląsku na kredyt. Niektóre będziemy spłacać jeszcze wtedy, gdy nowoczesne obecnie stadiony będą kojarzyć nam się z tym, z czym dziś kojarzy się Stadion Śląski. Czyli z przeszłością. ■

Marcin Zasada

– publicysta, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”

Paweł Czado

Wieloryb, który nie może zmienić się w białego słonia

92

93

Gdyby ktoś kazał wam podać tylko jedno skojarzenie ze
śląskim sportem, byłby to zapewne wspaniały stadion
w Chorzowie. Zbliża się czas, kiedy wreszcie znów
będziemy mogli z jego trybun oglądać wielkie mecze.

Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Jak to się wszystko zaczęło? Wcale nie na Śląsku! „Cały naród buduje swoją stolicę”. Pod takim hasłem rozanielone dziewczęta i uśmiechnięci junacy w mundurach i furażerkach z brygad Służby Polsce pomagają odbudowywać Warszawę. Wykorzystuje się rozbiórkową cegłę z odległych miast, choćby z Raciborza, Nysy albo Wrocławia. Wywozi się do Warszawy wiele zabytkowych dzieł. Stolica rośnie jak na drożdżach, a regiony zaciskają z niechęcią zęby.

Ambicja pułkownika

Sport zaraz po wojnie nie jest w PRL-u najważniejszy. Jest na dalekim planie. Na igrzyska do Londynu Polska wysła symboliczną reprezentację, która zdobywa tylko jeden brązowy medal. Brakuje w kraju stadionu, z którego społeczeństwo mogłoby być dumne. W drugiej połowie lat 40. wszystkie mecze reprezentacji Polski odbywają się na wybudowanym przed wojną Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie (czyli tam, gdzie gra Legia). Tylko jeden raz, w 1948 roku, odbywa się jedno spotkanie na stadionie Ruchu Chorzów – z Rumunią (reprezentacja Polski nie wraca już tam nigdy).

Lud potrzebuje jednak chleba i igrzysk. Dlatego w 1950 roku rozpoczynają się przygotowania do budowy Stadionu X-lecia – chodzi o dziesiątą rocznicę powstania Polski Ludowej, przypadającą 22 lipca 1954 roku. Na Śląsku przypatrują się temu ze skrywaną niechęcią. Jerzy Ziętek, wówczas jeszcze pułkownik, a nie generał, i jeszcze wicewojewoda, a nie wojewoda, wpada na pomysł, żeby zbudować „stadion gigant” na Górnym Śląsku. Marzy, aby Stadion Śląski był pierwszym oddanym do użytku tak wielkim obiektem w Polsce, chciałby, żeby udało się wyprzedzić Warszawę.

Według ówczesnej mody trybuny buduje się na wałach. W Warszawie setki furmanek zwalają na miejscu przyszłego stadionu gruz z ruin. Tymczasem na Śląsk po cichu ściągają robotników z Czechosłowacji, żeby przyspieszyć tempo. Ale ludzi, którzy mogliby pomóc w budowie – oczywiście za darmo – szuka się wszędzie. Pracować każdy może, więc swoich przedstawicieli przysyłają nawet... kluby sportowe. To nie żart: Stadion Śląski własnymi rękami buduje Gerard Cieślik, a Stadion X-lecia – kolarz Stanisław Królak, który w 1956 roku jako pierwszy Polak wygra Wyścig Pokoju. Jednak na budowę kluby sportowe nie patrzą wcale z miłością i oddaniem. Niektórych trzeba do pomocy wręcz zmuszać. „11 klubom z województwa stalinogrodzkiego zagrożono zawieszeniem, żeby odprowadziły do kas komitetu budowy 10-procentowy dodatek do cen biletów!” – pisała prasa. Pisała z oburzeniem, bo jak można w ogóle do czegoś zmuszać, skoro cel szczytny?! W pośpiechu przydarzają się różne dziwaczne historie: na przykład pod koniec budowy w sektorze 36. w Chorzowie tryska... tajemnicze źródło! Zamieszanie! Początkowo nikt nie wie, o co chodzi. Dopiero potem okazuje się, że to zasypane w pośpiechu w tym samym miejscu dwa lata wcześniej zwały śniegu...

Wyścig wygrywa jednak stolica. Stadion X-lecia w pośpiechu zostaje oddany w 1955 roku z okazji Światowego Festiwalu Młodzieży, mającego być dowodem na wyższość socjalizmu nad kapitalizmem. Wyprzedza otwarcie Śląskiego o rok. Ale mało kto jeszcze kojarzy, że pierwszy mecz reprezentacji Polski odbywa się wcześniej jednak na Stadionie Śląskim – z okazji otwarcia w Chorzowie przegrywamy 22 lipca 1956 roku z NRD. Futbolowy debiut Stadionu X-lecia przypada dopiero trzy miesiące później – pod koniec października Polska zwycięża 5:3 Norwegię (wszystkie gole w tym meczu zdobywają śląscy piłkarze występujący wówczas w Legii).

Wziąć w ramiona ruskiego generała

Związki wódki z futbolem w Polsce zawsze były znaczne, także w latach 50. Wprawdzie na Stadionie Śląskim szybko pojawia się tablica informująca o 4,5-procentowej granicy dopuszczalnego stężenia alkoholu w płynach, które można spożywać podczas meczów, ale społeczeństwo niewiele z tego ograniczenia sobie robi. Granica ewidentnie jest przekraczana: po meczach reprezentacji pod ławkami zostaje mnóstwo flaszek po wódce, czasem nawet kieliszki, sztućce i... resztki po zakąskach. Spryciarze szybko się tego domyślają i nazajutrz po meczach można zebrać obfity łup oczekiwany w punktach skupu...

Okazuje się, że alkohol ma działanie nie tylko pobudzające, ale i łagodzące. W październiku 1957 roku Polska gra mecz eliminacji mistrzostw świata ze Związkiem Radzieckim. Goście są oczywiście faworytami, pierwszy raz uczestniczą w eliminacjach mundialu, ale rok wcześniej na igrzyskach w Melbourne zdobywają mistrzostwo olimpijskie. Polska po dwóch wspaniałych bramkach Cieślika wygrywa 2:1, a pijani kibice ściskają się z radości z obecnymi na meczu... radzieckimi generałami. Jak to możliwe?

Opowiadał mi o tym kiedyś Marian Ryba, wówczas zastępca prokuratora generalnego i naczelny prokurator wojskowy, a po latach prezes PZPN: – W 1957 byłem w grupie negocjacyjnej dotyczącej stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Goście chcieli się jakoś rozerwać, więc zostałem poproszony, żeby załatwić bi-

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC



Zbliża się czas, kiedy wreszcie znów będziemy mogli z trybun Stadionu Śląskiego oglądać wielkie mecze. Przynajmniej taką mamy nadzieję...

lety na ten mecz. Na Śląski wyruszyła kawalkada samochodów. Było trzech radzieckich generałów, pułkownik, minister, prokurator i ja. Dojeżdżamy do stadionu, a tam nas nagle zatrzymują i... żądają przepustki na samochód. Zawiozłem gości do najbliższej kawiarni, a sam zacząłem coś kombinować, żeby wstydu nie było. Dzwonię, dzwonię, ale z nikim się nie mogę porozumieć, bo wszyscy już wyjechali na mecz. Wymyśliłem, że pierwszego napotkanego oficera milicji poproszę o pomoc. Powiem, że jestem upoważniony przez komendanta głównego, który zresztą był moim kolegą. Udało się, ale kiedy wjechaliśmy na stadion, okazało się, że dostaliśmy bilety na... normalne miejsca wśród zwykłej publiczności! Kiedy Cieślik strzelił gola, kibice zaczęli się ściskać ze wszystkimi dookoła. Może trudno w to uwierzyć – także z radzieckimi generałami! Dobrze, że nie się moim gościom nie stało... Potem wyszło na jaw, że między ławkami po meczu znaleziono 50 tysięcy butelek po wódce...

Ale nie zawsze jest tak pięknie: czasami alkohol na Śląskim powoduje agresję. Nawet wobec uczestników wydarzeń na murawie.

„Tutaj, bracie, jesteś niepotrzebny”

Oto zapomniany przykład: w eliminacjach do mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku reprezentacja Polski natrafiła na Włochów, Szkotów i Finów. Biało-czerwoni mają szansę na awans do ostatniego meczu, w którym ulegają Italii na rzymskim Stadio Olimpico w Rzymie aż 1:6. Z meczów eliminacyjnych jeden odbył się na Śląskim. Polacy zremisowali ze Szkotą 1:1. Mecz był bardzo zacięty, a jego dramaturgia była tym

60 lat temu wyścig wygrała stolica. Zresztą ostatnio też. Jakie szanse będzie miał odnowiony Stadion Śląski?

96

większa, że toczył się w strugach deszczu. Właśnie podczas tego spotkania dochodzi do sytuacji, która omal nie kompromituje Polski na arenie międzynarodowej. Po jednym z fauli szkockiego napastnika Edward Szymkowiak zwinia się z bólu.

Nasz najlepszy wówczas bramkarz prezentował specyficzny styl gry. Był szaleńczo odważny i bardzo często rzucił się pod nogi szarżujących rywali, ale nie nogami do przodu, lecz... głową. Dlatego bardzo często sędziowie musieli przerywać grę, zdarzało się, że kopnięty Szymkowiak schodził z boiska opatrywany przez lekarzy, ale potem na nie wracał (w międzyczasie bronił jego następcę, wówczas przepisy pozwalały na taką powrotną zmianę). W meczach reprezentacji Polski zdarzyło się to dwukrotnie (w 1953 roku w meczu z Czechosłowacją na pięć minut w drugiej połowie Szymkowiaka zastąpił Jan Klaczek, a w 1956 – w meczu z Norwegią na dziesięć minut – Józef Machnik).

W spotkaniu ze Szkocją jest podobnie, ale tym razem dłuższa przerwa nie jest potrzebna, Szymkowiak szybciej dochodzi do siebie. Mimo to w sąsiedztwie polskiej bramki pojawia się nagle... dwóch oburzonych kibiców, „mających poważne problemy z utrzymaniem równowagi”. Upojeni, płacząc się na nogach, ubzdurali sobie, że trzeba własnoręcznie pomścić „Szymka”.

Na szczęście przytomnością umysłu wykazuje się rezerwowy w tym meczu Zbigniew Szarzyński, pomocnik Gwardii Warszawa. Podbiega i łapie wpół jednego z tych mocno pijanych fanów, zanim ten wtacza się na boisko, i odprowadza na bok, mówiąc (moglibyśmy nawet uznać, że łagodnie i czule): „Tutaj, bracie, jesteś niepotrzebny”. Pijacków udaje się powstrzymać, więc sędzia Siergiej Alimow ze Związku Radzieckiego na szczęście nie musi przerywać meczu.

Jakiś czas temu cały świat podniecał się niezwykłym wykonaniem rzutu karnego przez piłkarzy Barcelony podczas ligowego meczu z Celtą Vigo. Lionel Messi nie tylko zaskoczył rywali i kibiców, ale także niektórych piłkarzy z Barcelony, kiedy zamiast strzelać rzut karny, postanowił piłkę odegrać do Luisa Suáreza. – Nigdy nie widziałem, by coś takiego ćwiczyli na treningu, ale jestem przekonany, że musiało to być zaplanowane – skomentował ich kolega z drużyny Andrés Iniesta. Było. Ale nie jest to wcale nowość!

Dokładnie w taki sam sposób padł gol na Stadionie Śląskim już 57 lat temu. 2 maja 1959 roku Polonia Bytom rozgrywała w Chorzowie ligowy mecz z Polonią Bydgoszcz. Był to najważniejszy punkt wielogodzinnego uroczystego programu z okazji Święta Pracy. 75 tysięcy widzów miało szczęście zobaczyć wspaniałe zwycięstwo bardzo silnych wówczas bytomian, którzy rozbili rywali 5:0. Byli mocni, a do tego mieli ulańską fantazję: już w drugiej minucie arbiter podyktował karnego. Świetny środkowy napastnik Henryk Kempny szturchnął lekko piłkę do przodu (właśnie tak jak po latach Messi), wystartował do niej inny bytomski as Jan Liberda (tak jak Suárez) i dopełnił formalności „z elegancją primabaleriny” – odnotował sprawozdawca. Okoliczności były tym bardziej niezwykle, że akurat ten mecz był pierwszym, który odbył się na Stadionie Śląskim przy sztucznym oświetleniu. Pierwszy raz zapłonęły lampy...



97

„Boże, coś Polskę”

Warto pamiętać, że Stadion Śląski to nie tylko futbol. To także polityka. W 1981 roku przeciętna płaca wynosi 7311 zł, a emerytura i renta – 3240 zł. Oficjalnie dolar kosztuje 38 zł, na czarnym rynku w lipcu skacze ze 130 do 180 zł. Dochód narodowy obniża się w porównaniu z rokiem poprzednim o 16 procent. W sklepach nie ma prawie nic. Za bony, po zarejestrowaniu w wybranym sklepie, ludzie teoretycznie mogą kupić mięso, cukier, kaszę, ryż albo mąkę, a dla dzieci dodatkowo mąkę czy mleko w proszku. A gdyby wtedy wychodził kwartalnik „Fabryka Silesia”, musiałby być kupowany spod lady, bo półki zalegały wtedy dzieła wyłącznie słusznie ideologicznie.

14 czerwca 1981 roku tysiące ludzi przyszło na Stadion Śląski z powodów pozasportowych. W niedzielne popołudnie odbędzie się spotkanie z Lechem Wałęsą, bilety w cenie 20 zł rozprowadzały Komisje Zakładowe NSZZ „Solidarność”. Wałęsa w otoczeniu fotoreporterów przemarszerował na środek murawy. Pod parasolami został oficjalnie powitany m.in. przez przedstawicieli episkopatu. Z trybun splotywały kartki z pytaniami. Wałęsa opowiadał o podwyżce cen, o reformie gospodarczej. – Czy Solidarność ulegnie w sprawie wolnych sobót w górnictwie? – pytali ludzie z trybun. – Nie. Macie wolne soboty. Węgiel to skarb, ale nie kosztem waszego zdrowia – odpowiadał Wałęsa. Na zakończenie zaintonowano nie tylko „Jeszcze Polska nie zginęła” (na tym stadionie słyszane wielokrotnie), ale i „Boże, coś Polskę”...

Biały słoń

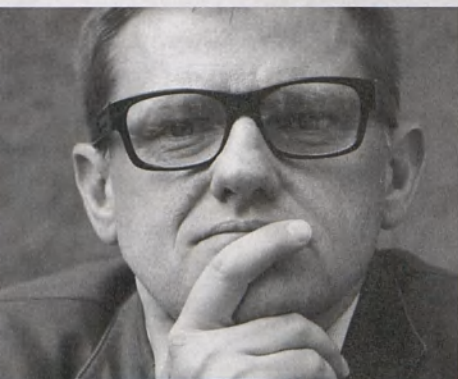
Obecnie Stadion Śląski jest modernizowany, trwa to już od 1993 roku. Jesienią ubiegłego roku Waldemar Kita, pochodzący z Czeladzi menedżer kierujący firmą, która uchodzi za lidera na polskim rynku marketingu i konsultingu sportowego, w wywiadzie dla katowickiej „Gazety Wyborczej” stwierdził, że Śląski jest mocnym kandydatem na „białego słonia”, chociaż jego zdaniem ten proces jest z pewnością do zatrzymania i odwrócenia.

„Białym słoniem” określa się w biznesie sportowym obiekt piękny, duży, monumentalny, ale generujący wysokie koszty utrzymania, a jednocześnie mający małe przychody. – Teraz chorzowski obiekt potrzebuje znakomitych, wysoko płatnych, wręcz topowych menedżerów, którzy nadadzą sens tej inwestycji. Śląski ma potencjał, ale jego wykorzystanie to już zupełnie inna sprawa. A połączenie potencjałów stadionu i Parku Śląskiego wygenerowałoby niesamowity efekt synergii – uważa Kita.

Mnie Śląski kojarzy się z wyrzuconym na brzeg niezwykle wielorybem. Takim widziałem go 2 wżeśnia 1981 roku, kiedy tata pierwszy raz w życiu zabrał mnie na mecz międzypaństwowy (Polska grała wtedy z RFN). Dlatego teraz trzeba zrobić wszystko, żeby ten nasz swojski wieloryb nie zmienił się w tego nieszczęsnego białego słonia... ☐

Paweł Czado

– publicysta sportowy, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”



ZBIGNIEW KADŁUBEK

W pełnym składzie

Drużyna związana jest z życiem i rytmem miasta. Przynajmniej kiedyś tak było. Świetliste, przez chwilę zielonkawe, potem żółtawe i niebieskie płaszczyzny boiska ostrawskiego mienią się i są środkiem potężnego działania pamięci. Dookoła wysoka temperatura głosów.

Razem z Otą Filipem, rocznik 1930, czeskojęzycznym pisarzem śląskim, moglibyśmy rozłożyć przed sobą stare fotografie drużyny FC Śląska Ostrawa. Albo innego śląskiego klubu. Wszystko to było ruchem, ale teraz jest mgłą. Czytam o tym w jednej z najlepszych śląskich powieści. W całości piłkarsko-śląsko-tragicznej książce Filipa pt. *Wniebowstąpienie Lojzka Lapaczka ze Śląskiej Ostrawy* (pięknie przełożonej przez Jana Stachowskiego).

Bramka. Na bramce stał Ludwa Kocifaj. Miał na sobie fioletowy sweter. Syn Grzegorza Kocifaja, który prowadził zakład krawiecki obok piekarni Lapaczka. Stary Kocifaj wystawiał w ciepłe wieczory liturgiczne dramaty na tle *króliczków*. Ludwa Kocifaj był zatem synem herezjarczy Świętego Krzyża, a to znaczyło, że odziedziczył po nim pewien brak wiary w rzeczywistość i lęk przed światem.

Obrona. Na obronie grał Emeryk Cach, rzeźnik z zawodu. Na boisku był twardy, jak na rzeźnika przystało, to znaczy często po jego interwencjach piłkarzy drużyny przeciwnej odwożono do szpitala. Posiadał wielki talent do skupiania się na faulowaniu. Marszczyło mu się wtedy czoło z myślowego wysiłku – i ścinał zawodnika z nóg. Drugim obrońcą FC Śląska Ostrawa był Wacław Jurzena. Grał czysto, można powiedzieć, czysto w tym sensie, że faulował bez przerwy. Kibice drużyn rywali uwielbiali go wyzywać.

Pomoc. Na pomocy grał Karol Pasterniak. Był początkującym producentem napojów gazowanych. Na boisku, tak jak w firmie, „za każdym razem robił, co konieczne”. Górnikiem z zawodu był pomocnik środkowy Herbert Gozco, bardzo delikatny człowiek. Pracował w kopalni „Trójca” i był fanatykiem uczciwości. Skrupulant. Do tego stopnia był cnotliwy, że przyznawał się do faulu, którego nie popełnił. Trzeci pomocnik był Żydem i nazywał się Dawid Wiesenthal. Prowadził gospodę

...wysokości mogą
nabrać tylko nad
boiskiem piłkarskim FC
Śląska Ostrawa...

Ota Filip

„Po Dębem”. Miejsce klubowych spotkań FC Śląska Ostrawa. Strzelał zarówno prawą, jak i lewą nogą.

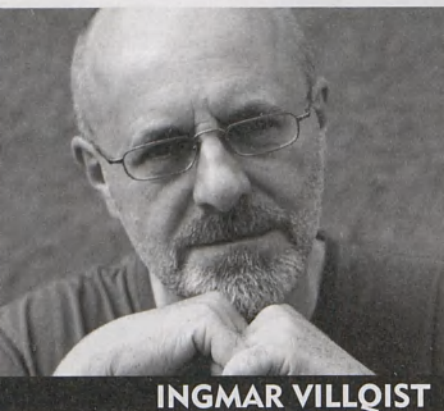
Atak. W ataku grało aż pięciu zawodników. Pierwszym z nich był Jan Krajczek, który walczył o swoją tożsamość, bo nie wiedział, kim jest. Raz myślał, że jest Polakiem (po ojcu), a raz, że jest Niemcem (w chwilach przygnębienia). Zabiegał o niego polski klub z Karwiny. „Jest zatem zrozumiałe, że był graczem znerwicowanym”. Niemiecki zarząd klubu SC Morawska Ostrawa (ci z drugiej strony rzeki) miał zatem podstawy, żeby zabiegać o Krajczka. Ostatecznie parę stów rozwiewało narodowościowe dylematy piłkarza – i dalej grał w FC Śląska Ostrawa. I wtedy nie mogli ani Polacy, ani Niemcy dłużej perswadować. Własta Plewka – drugi napastnik – był górnikiem z kopalni „Trójca”. Nie lubił pojedynków jeden na jednego. Kolegował się z grającym na pomocy Herbertem Gozłą. Po wygranym meczu wracali razem do domu z równo poskładanymi banknotami w kieszeni (całe 20 koron). Za gwiazdę zespołu uchodził Karol Hynesz, dobry rzemieślnik futbolu pozbawiony talentu. Zawodowstwo jednak bez zarzutu. Klub sprowadził go z Brna. Hubert Muszla, czwarty napastnik, miał szczęście do piłki: była tam, gdzie on, a on tam, gdzie ona. Idealny rozgrywający. Na lewym skrzydle grał blondyn Ada Lakubec. Wierzył w futbol, a dokładniej w FC Śląska Ostrawa, i w Związek Radziecki. W młodzieżówce komunistycznej był tak samo idealistyczny i narwany jak na murawie. Cieszył się dużym autorytetem, bo do końca (przegranego) meczu wierzył w zwycięstwo.

Podczas meczu można się urodzić. Na przykład w 60. minucie spotkania, w niedzielę wrześnieową i jeszcze letnią, po bramce strzelonej przez Adę Lakubca. Gdy wyje 1913 kibiców. A wrzask rodzącego się dziecka miesza się z okrzykami kibicowskimi. Chór kibiców i nowego życia. Był rzut karny, bo Emeryk Cach sfaulował Wacława *vel* Wenzela Deutschera (imię zależy od czasu politycznego) tuż przed bramką. „Panie Boże – modlił się stary Lapaczek, sekretarz zarządu FC Śląska Ostrawa – bądź sprawiedliwy przynajmniej w dzień, kiedy zostałem ojcem. Przecież to niemożliwe, żeby mnie dziś spotkał tak wielki zawód. Niechbym miał dziewczynę, byle tego nie strzelił”. I nie strzelił, i urodził się Łojzek Lapaczek.

Wtedy Deutscher nie trafił do bramki Kocifaja. W 1935 roku próbowano Deutschera zwerbować do FC Śląska Ostrawa (klubu wówczas drugoligowego). Deutscher był już wtedy zdecydowanie Wenzelem, a nie Wacławem. Nie przekonało go ani 6, ani 7, ani nawet 8 tysięcy koron na rękę. Zaczął robić inną karierę niż futbolową. Jako Aryjczykowi nie za bardzo mu się uśmiechało występowanie w jednych barwach z żydowskim pomocnikiem Wiesenthalem i grającym na skrzydle komunistą Lakubcem. „Tego by tylko brakowało – myślał Deutscher – żebym musiał czekać na podanie od brudnego Żyda albo słuchać, jak bolszewik na mnie wrzeszczy: »podaj!«”. A piłkarz z niego był znakomity i piłka nożna straciła, gdy „zaczął chodzić w krótkich spodniach oraz białych kolanówkach” jako członek partii Sudetoniemieckiej. Po obu brzegach Ostrawicy wyrażano ubolewanie – szkoda dobrego piłkarza.

To nie był idylliczny świat. Ale była drużyna. Łojzek, bohater książki, widział to z góry, szubując ponadczasowo nad Ostrawą. Ja też to widziałem z bliska: mam w głowie, w rodzinie i w sercu Lakubców, Deutscherów, Filipów i jednego Wiesenthala. Chyba dalej grają w pełnym śląskim składzie na jakichś lepszych boiskach.

Bo na czym polega pełny skład drużyny? Na tym, że grają wszyscy. ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

TOR!!!

Było to oczywiste i nieuchronne jak nauka chodzenia, obecne i niezbędne dla dziecięcego bycia we wspólnocie.

Nikt nie zastanawiał się, dlaczego to robi codziennie, a nawet ukradkiem w niedziele, choć wtedy można się było narazić na skarcenie przez rodziców, niechący ubrudzić niedzielne spodnie i dostać szlaban na robienie tego w poniedziałek i kolejne dni tygodnia. Zaczynało się to, nie wiadomo kiedy, chyba jeszcze w późnym przedszkolu, a na pewno już z początkiem podstawówki, od pilnego obserwowania starszych kolegów, którzy robili to właściwie bez przerwy; między lekcjami, bo same lekcje były dłuższymi pauzami pomiędzy tym, co robili po lekcjach na szkolnym, asfaltowym boisku, na podwórkach pomiędzy domami, ulicach, co powodowało niewyobrażalne awantury wpadających na jezdnię i rozganiających towarzystwo przerażonych ojców i matek, na chodnikach, nawet w klatkach schodowych, kiedy padał deszcz, na skwerach, nędznych wówczas trawnikach – wszędzie, gdzie było trochę miejsca i w miarę płasko. To był rytuał, mantra prawie religijna, wyczekiwana inicjacja, święty czas dopuszczenia do uprawiania z innymi kultu; wyznawanego i praktykowanego w owych czasach najpewniej przez wszystkich uczących się w okolicznych chorzowskich szkołach podstawowych. Kto tego codziennie nie czynił w swej zbiorowości, ten nie istniał.

Do praktykowania tej podwórkowej religii niezbędny był przedmiot posiadający tajemną moc przyciągania do siebie jak magnes dwóch, kilku, kilkunastu młodych ludzi, którzy oddaliby wszystko, aby tylko móc gonić, niezależnie od pory dnia, pogody, w hipnotycznym zapamiętaniu za tą czarodziejską kulą; móc ją dotknąć, kopnąć końcem buta, jego wewnętrzną bądź zewnętrzną stroną albo samym szpicem lub piętą. Owa kula, wymarzona, ze skóry, zszywana z białych i czarnych ośmioboków (my oglądaliśmy taką w akcji jedynie na małych ekranach czarno-białych telewizorów), najczęściej gumowa, w różnych rozmiarach – nieważne, istotne, że była, że ktoś ją miał i przynosił na podwórkę. Wrywało mu się ją z ręki, ledwo się pojawił i od nogi do nogi zaczynało się g r a n i e, zaczynał się *szipil*; do zmroku i po zmroku; byle grać, bez boiska, bramek, butów z korkami, linii, sędziów z gwizdkami, zegarka – byle grać, jak najmniej gadania,

bo wszystko aż nadto jasne – grać! Do dziesięciu, pięć i zmiana albo w nieskończoność; całymi latami!

Fusbal – nasza święta piłka nożna; najjaśniejsza przewodniczka w ciemnych, brudnych, oprószonych sadzą, zamglonych podwórkach w Batorym; rozświetlała wszelkie mroki jak robaczek świętojański albo w istocie czarodziejska kula ze skóry lub gumy, która mknęła nad ziemią, wykręcała w powietrzu zachwycające figury; wolna, niezależna, nieprzewidywalna, często groźna, bo rozbijająca czyjś nos albo szybę w oknie - wtedy było po *szpilu*. To była bardzo demokratyczna wspólnota, bo grać mógł każdy; byle chciał i nie mędrkował. *Szpil* weryfikował wszystko, równał nieubłagane różnice w zarobkach rodzi-ców i markę dzinsów; wyznaczał meczową hierarchię; najlepší, naj-twardsi – w ataku, grubasy w bramce, okularnicy i astmatycy (jak ja) w obronie. Nie było zmiłuj; bo jak coś nie tak, to wrzask: „Śłyż!”; a to było najgorsze, bo można już było tylko stać przy *ausie*. Trzeba się było starać i wykazywać; zwłaszcza *brylorze* i astmatycy, bo chętnych do grania było wielu. A te niezapomniane okrzyki grających, odbijające się od ścian domów wyznaczających podwórze: *Tor!*, *Mital*, *Aus!*, *Nasz-czylone!* albo iście filozoficzne sentencje: *Kożdo mondrala ni umi kopnońć bala*, albo bardziej dosadnie: *Kożdy dupek bije w supek*. Cztery potęż-ne, wysokie po niebo kolumny, cztery błękitne minarety rozświetlały dwa razy w tygodniu nasz piłkarski Olimp, stadion Ruchu przy Cichej (jak otworzyłem okno w kuchni i się wychyliłem, widziałem zimną łunę reflektorów nad Batorym). To tam grali w prawdziwą piłkę nasi bogowie, herosi *fusbalu*, wyklejaliśmy z ich fotografii wycinanych ze „Sportu”, „Tempa”, „Wieczoru”, „Trybuny”, „Dziennika” ołtarzyki na słoniakach nad łózkami. Zaś same mecze, rzadko na żywo ogląda-ne, bo byliśmy zbyt mali, by nas wpuszczono w ten wrzący emocjami żywioł albo bilety były nie na naszą dziecięcą kieszeń, choć czasem udawało się, bo dorosły kibic mógł wprowadzić na mecz dzieciaka. W każde popołudnie piłkarskich igrzysk na Ruchu przez Hajduki uli-cami, podwórkami sunął tłum kibiców; szary, bezbarwny jak wszyst-ko w PRL-u, ale skupiony, odświeżony, pełen wyczekiwania, nadziei na sportową walkę i uczciwy rezultat, bo wydawało się wtedy (o naiw-ności!), że uczciwość dotyczy już tylko sportu. No i ten zapach towa-rzyszący przedmeczowym zmaganiom; niepowtarzalny, zapamiętany – zapach palonego słonecznika, sprzedawanego na chodnikach pro-wadzących na Cichą z płóciennych woreczków, słoików, odmierzany kieliszkami z grubego szkła, wsypywany, jeszcze gorący, pachnący do kieszeni. Tłum sunął miarowo, pogryzał słonecznik, rozsiewał wkoło szeleszczące pod butami łupiny...

W mroźnych w owych czasach zimach grało się na podwórkach, dopóki nie spadł śnieg i mróz nie skuł boiskowych klepisk. Wtedy boiska między domami zamieniały się w lodowiska; na prostokąt rozgarniętego śniegu lało się wodę sztywnym od mrozu szlauchem, sypało bandy, zaznaczało cegłami bramki i grało, grało *hokejfelami*, goniąc za krążkiem z puszki po paście do butów wypełnionej plaste-liną, na łyżwach przykręcanych korbką do grubych podeszew całymi dniami (rzadko kto miał prawdziwe *hokejówki*), ale późno po zmroku też, bo srebrzystoszare, pełne muld tafle podwórkowych lodowisk oświetlały okna stojących wkoło domów. To były sceny godne pędz-la Hendricka Avercampa, holenderskiego mistrza zimowych pejzaży. Tyle że o wiele piękniejsze. ■



KRZYSZTOF KARWAT

DALEKO STĄD

Ach, ten Lubański

Największe, najważniejsze wydarzenie sportowe związane z Górnym Śląskiem? Trudny wybór, bo niektóre miały miejsce daleko od Katowic czy Opola, a ich bohaterów i świadków nie ma już wśród nas.

Czymś niezwykłym była seria tytułów mistrzowskich Ruchu Wielkie Hajduki, która zapewne trwałaby dłużej, gdyby nie wybuch II wojny światowej. Nie zawsze uświadamiamy sobie, że siedziba tego klubu znajdowała się na terenie gminy, która wówczas nie miała praw miejskich, a została przyłączona do Chorzowa dopiero w roku 1939. Ruch pierwsze trofea zdobywał na marnym, peryferyjnym boisku, zrazu nie dopuszczanym do rozgrywek. Przez lata borykał się z problemami finansowymi, długo nie było go stać na zatrudnienie profesjonalnego trenera. A jednak wkrótce zdominował ligę, a jego zawodnicy stanowili trzon reprezentacji Polski.

Od tego czasu utrwaliło się przekonanie, że Ślązacy mają szczególny talent do *fusballu*. Bywało, że w ekstraklasie grało po 5-6 zespołów z Górnego Śląska i zawsze któryś z nich dobijał się do czołówki. *To se ne vrati?*

Niezwykłym wydarzeniem był mecz Polska – Brazylia. Został rozegrany w czerwcu 1938 roku. Debiut na mistrzostwach świata był transmitowany przez Polskie Radio i choć nie wszyscy mogli odbierać sygnał z dalekiego Strasburga, to jednak Śląsk też wstrzymał oddech i zebrał się przy radioodbiornikach, bo – jak się miało okazać – cztery bramki strzelił Ernest Wilimowski, zaś piąta padła po faulu na nim, z karnego. Polska jednak przegrała 5:6, po dogrywce, i musiała czekać prawie 40 lat na podobne emocje. Uwaga! Dwuminutowe fragmenty tego meczu utrwalone zostały na taśmie filmowej, a ja dopiero niedawno do nich dotarłem. „Ezi” i czarnoskóry Leônidas obok siebie. Dwie legendy światowego futbolu! Dzięki temu zapisowi przynajmniej możemy się domyślać, jak nadzwyczajnymi byli czarodziejami boiska.

Wiadomo: kula ziemiska to globalna *kula* – w dzieciństwie z respektem tak właśnie nazywaliśmy prawdziwą piłkę, taką z prawdziwej skóry, którą raczej nie należało obijać o ściany ani nawet *kulać* po asfalcie, bo mogłaby się zniszczyć.

Co by jednak nie rzec o polsko-brazylijskim pojedynku, nie miał wymiaru globalnego, choć nam mogło się tak wydawać, bo w cieniu tej legendy wzrastaliśmy. Ale Ślązacy nie musieli czekać długo na hit klasy światowej. Kilkanaście dni później doszło do wielkiego pojedynku bokserskiego o mistrzostwo świata wszechwag. Rękawice skrzyżowali mieszkający na Pomorzu Max Schmeling (były czempion) i czarnoskóry (z domieszką krwi indiańskiej) Joe Louis (aktualny mistrz). To był rewanż za walkę sprzed dwóch lat. Wówczas lepszy okazał się Niemiec. Znokautował swego młodszego przeciwnika w 12. rundzie.

W dzieciństwie opowiadano mi, że naprawdę cały Śląsk przylgnał do radioodbiorników, które wystawiano w oknach *familoków*. Transmitowały stacje niemieckie, oczywiście bez problemu dostępne także po drugiej stronie granicy. Były to bodaj pierwsze pojedynki pięściarskie podniesione do tak wysokiej rangi, daleko wykraczającej poza sport i rozrywkę. Atmosferę skutecznie podgrzali dziennikarze po obu stronach Oceanu, swoje dołożyli propagandyści i politycy. Kontekst był aż nadto czytelny: biała rasa raz jeszcze, i to definitywnie, miała udowodnić swą wyższość (choć Schmeling nie był nazistą ani rasistą). A tu taka kłapa! Równie wielka, jak wielkie były zwycięstwa czarnego Jesse Owensa na olimpiadzie w Berlinie. Louis w pierwszej rundzie w ciągu kilkadziesiąt sekund trzykrotnie powalił przeciwnika. I się skończyło. Świat musiał na coś równie spektakularnego czekać czterdzieści lat, do walki Muhammada Alego z George'em Foremanem. Nie wierzycie? Tę tezę można zweryfikować. To niepojęte: obie walki Schmelinga i Louisa można obejrzeć w internecie, i to w jakości technicznej, w jakiej nie zobaczymy polskich mistrzów z lat 50., 60., a nawet wczesnych 70.! Polecam.

Kiedyś mówiło się, że prawdziwym kibicem jest tylko ten, kto „na żywo” śledzi wydarzenia, bo nie ma takiego medium, które oddałoby całą głębię atmosfery towarzyszącej sportowej rywalizacji. Wiele w tym prawdy, ale teza ta pomija nieprzebrane złoża fanatyzmu, ubieranego w narodowe czy klubowe barwy i udającego patriotyzm. Nie uwzględnia chuligaństwa, a nawet bandytyzmu wkraczającego na stadiony. I lekceważy rodzaj ryzyka, jakie kibic podejmuje, gdy potem okazuje się, że taki czy inny pojedynek został „ustawiony” albo zwycięzca stosował niedozwolone środki farmakologiczne. To czynniki, które odstręczają kibiców, nakazują im pozostanie w domach, a w najlepszym przypadku – włączenie telewizorów.

Chciałoby się powiedzieć: kiedyś było inaczej i lepiej, a bilety wstępu na areny sportowe nie były tak drogie jak obecnie. Pewnie dlatego jako nastolatek miałem okazję obejrzeć mecz Polska – Anglia na Stadionie Śląskim, uchylający naszej reprezentacji bramę do mistrzostw świata w Monachium. To był pierwszy i jak dotąd ostatni mecz, który wygraliśmy z Anglikami. Ale drugiej bramki nie zobaczyłem! Nie zobaczyłem, jak Włodzimierz Lubański wykorzystuje błąd sławnego obrońcy Bobby'go Moore'a, błyskawicznie podciąga pod pole karne i ostrym strzałem z piętnastu metrów, odbitym od słupka, pokonuje bramkarza. Stało się tak, bo w przerwie meczu – jako tego najmłodszego – wysłano mnie po jakieś napoje chłodzące. Tiok był olbrzymi, długie kolejki, więc jak szalony biegłem po schodach, bo nagle, w 47. minucie, stadion podniósł głos, a ci na jego koronie wspięli się na palce. Zasłonili mi cały świat!

Ach, ten Lubański. Dwa lata wcześniej strzelił w Chorzowie Ruchowi cztery bramki. Niestety, wszystkie widziałem! ■



Julian Kornhauser (redaktorzy tomu: Adrian Greń, Jakub Kornhauser)

Wiersze zebrane

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2016, 715 s.



Redakcja naukowa: Maciej Fic

W dialogu z historią, polityką i kulturą. W stulecie urodzin Wilhelma Szewczyka

Wydawnictwo Cum Laude, Katowice, Bielsko-Biała 2016, 204 s.



Dobrawa Skonieczna-Gawlik (fotografie: Robert Garstka, Bartosz Gawlik)

Tropem badaczy Zagłębia Dąbrowskiego

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach, Katowice, 397 s.



Józef Krzyk

Szalfynster. Od kopalni Ferdynand do Muzeum Śląskiego

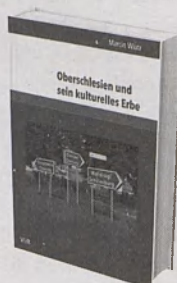
Agora SA, Warszawa 2016, 162 s.



Opracowanie: Jan Rzymelka

Sztambuch rodzinny, czyli w poszukiwaniu własnych korzeni

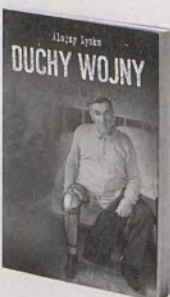
Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice, 144 s.



Marcin Wiatr

Oberschlesien und sein kulturelles Erbe

Verlag V&R unipress, Göttingen 2016, 324 s.



Alojzy Lysko

Duchy wojny. Tom 6. W przekleństwie kalectwa

Offsetdruk i media, Cieszyń 2016, 129 s.



Eva Tvrdá

(przekład: Karolina Pospiszil)

Dziedzictwo

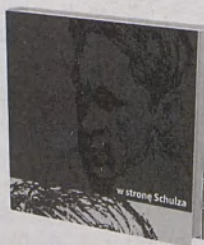
Silesia Progress, Kotórz Mały 2016, 134 s.



Arkadiusz Gola

Ogródowa 1

Pałac Schoena. Muzeum w Sosnowcu, Sosnowiec 2016, 147 s.



(katalog wystawy)

W stronę Schulza

Muzeum Miejskie w Zabrze, Café Silesia, Zabrze 2016, strony nienumerowane

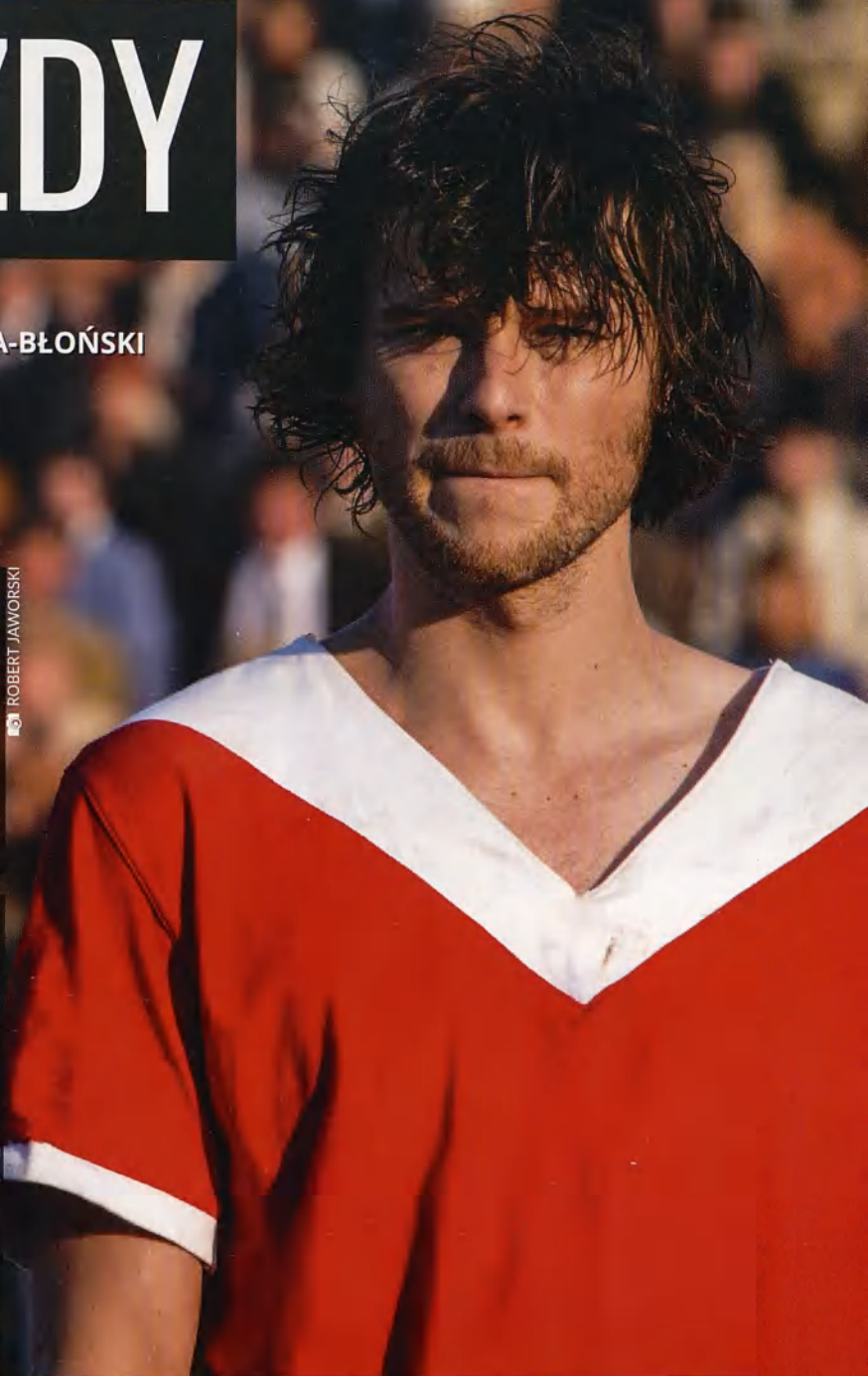
GWIAZDY

SCENARIUSZ:
JACEK KONDRACKI, JAN KIDAWA-BŁOŃSKI

ZDJĘCIA:
MICHAŁ ENGLERT

REŻYSERIA:
JAN KIDAWA-BŁOŃSKI

ROBERT JAWORSKI



JUŻ TEJ WIOSNY W KINACH

W FILMIE WYSTĘPUJĄ:

Mateusz Kościukiewicz, Karolina Szymczak,
Sebastian Fabijański, Magdalena Cielecka, Marian Dziędziel,
Adam Woronowicz, Aleksandra Gintrowska, Paweł Deląg,
Wojciech Meczaldowski i inni

Produkcja:

FILM
POINT GROUP

Koprodukcja:

Zabrze
w sercu Śląska

